Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/ona0000marj

O N A

TEJŻE AUTORKI:

ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.
ATMA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.
BARCIKOWSCY — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
BŁĘKITNI — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.
BYLI I BĘDĄ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
CZAHARY — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
CZARNY CHLEB — NOWELE — WYDANIE DRUGIE.
JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POW. — WYD. CZW.
JERYCHONKA — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.
JOAN VIII. 1—12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
KĄDZIEL — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.
KWIAT LOTOSU — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.
MACIERZ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
MAGNAT — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
NA FALI — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE.
NA WYŻYNACH — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE.
RAGNARÖK — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.
STRASZNY DZIADUNIO — POW. — WYD. PIĄTE.
SZARY PROCH — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE.
WRZOS — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE.
Z GŁUSZY — NOWELE — WYDANIE TRZECIE.

MARJA RODZIEWICZÓWNA

O N A

POWIEŚĆ

WYDANIE TRZECIE

LWÓW—POZNAN
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO
1922

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Z TŁOCZARNI WYDAWNICTWA POLSKIEGO WE LWOWIE

I.

Do izdebki, służącej jej za mieszkanie, słońce wstępowało pierwsze i budziło ją. Wstawała wtedy żywo, codzień zaniepokojona, czy nie zaspała, broń, Boże.

Ale wielki, murowany pałac, którego zajmowała poddasze, był głuchy i niemy, a świat przed oknem, różowy od świtu, ledwie się budzić zaczynał.

Była pierwsza w całym dworze.

Uspokojona, odmawiała krótki pacierz, zaplatała dwa wielkie, ciemne warkocze i upinała je bez cienia pretensji wokoło głowy, obywając się przytem bez lustra; odziewała się w wytartą, starannie cerowaną i oczyszczoną kamlotową sukienkę, kładła na wierzch wielki dymkowy fartuch i była gotowa.

Pośpiesznie sprzątała izdebkę, otwierała okienko, przyczem starannie obracała do słońca wazonik z mirtem, brała ze stolika trzy pęki kluczów, koszyk z robotą i wychodziła z izdebki.

Mieszkanie jej sąsiadowało z sypialniami pokojowych i tam wchodziła najpierwej.

— Moje drogie, — odzywała się łagodnie, prosząco — wstawajcie już. Pani będzie nierada!

Rozespane garderobiane czasem mruczały niechętnie, czasem przeklinały służbę „psią", zwykle jednak, ułagodzone mimowolnie jej głosem i tonem, zrywały się posłuszne i dziękowały za przysługę.

A ona, kiwnąwszy im przyjaźnie głową, szła dalej.

Z wyżyn strychu zstępowała na padół folwarku. Schody były strome i ciemne, ale je dobrze znała i stąpając prędko, mruczała do siebie jak wyuczoną lekcję:

— Śniadanie przygotować, wydać prowizje z apteczki, kompoty, soki, galarety, przesuszyć stołową bieliznę. Przyjadą kupcy na owce, obejrzeć pytlowaną mąkę, czy się mole nie dobrały, zdać tygodniowo rachunek z pachtu, rój pszczoli może dziś wyjdzie... no, i serwety poznaczyć. To i koniec! A może co zapomniałam?...

Schodziła na dół, aż do suteren. Największym kluczem otwierała drzwi do apteczki, potem do piwnicy, potem do różnych innych składów. Kucharze i szafarka szli za nią; napełniała ich naczynia i worki produktami, załatwiała porządnie i prędko kwestję alimentarną, całodzienną.

Potem zamykała śpiżarnie i pobrzękując kluczami, wybiegała na dziedziniec folwarczny, pełen budzącego się życia i ruchu, i śpieszyła w stronę obór, gdzie dojono krowy.

Który ją spotkał z oficjalistów, pozdrawiał bardzo przyjaźnie:

— Dzień dobry, panno Konstancjo. Pani bo zawsze „najranniejsza!“

— I pan słońca nie zasypia! — odpowiadała z uśmiechem.

Z obór biegła do piwnicy i dozorowała pomiaru i zlewania mleka, a stamtąd, napędzana obawą opóźnienia, wracała znowu do pałacu.

W sali jadalnej pod jej nadzorem lokaje zastawiali dla państwa stół do śniadania.

Ogrodnik przynosił przepyszny bukiet, zjawiały się na śnieżnej bieliźnie saskie filiżanki, ciężkie srebro, w ozdobnych koszach eleganckie przysmaki. Przy oknie ustawiano maszynkę do kawy i samowar i ona zajmowała tam swe miejsce.

Odpinała fartuch i chowała go na spód kosza, a natomiast wydobywała serwetę nową i haftowała na niej kunsztownie spleciony monogram pod koroną o licznych gałkach.

Czekała zwykle dość długo, spoglądając niekiedy od roboty swojej to na zegar, to w okno, słońcem objęte, uważna na każdy szelest w głębi mieszkania.

Pierwsza ukazywała się zwykle pani domu, osoba okazałych kształtów ze śladami piękności na twarzy, osoba arcyenergiczna i arcykapryśna.

— A, jesteś już! To dobrze. Daj mi kawy!

Takie było codzienne powitanie.

— Zła śmietanka! Pewnie szafarka za twemi plecami podlewa ją wodą. Tyle razy ci powtarzam, żeś powinna mniej polegać na służbie, a więcej sama się zajmować.

— Dobrze, ciociu! — odpowiadała ze zwykłą swą pogodą.

Była zatem krewną, nie sługą.

Pani domu sączyła powoli kawę i egzaminowała ją ściśle: ile było mleka, ile usmażono konfitur, co ma robić dzisiaj. Powoli rysy jej rozchmurzały się i łaskawie spoglądała na szczupłą postać dziewczęcia, pochyloną nad delikatnym haftem.

— Wypijże śniadanie! — kończyła rozmowę zupełnie już uprzejmie.

Potem przychodził zwykle do jadalni sam gospodarz, człek mocno otyły i przysadzisty, z natury jowjalny i szczery.

— Ha, Kostusia! — wołał od progu — jak mi dasz kapitalnej herbaty, to ci coś powiem ciekawego!

Dostawał herbatę, rozsiadał się wygodnie, zapalał cygaro i zaczynał drażnić się z dziewczyną.

— Słyszałem, że dzisiaj wstałaś o godzinę później.

— Nie, wujaszku! Jak codzień — broniła się.

— Słyszałem też, żeś wczoraj spaliła na karmelki syrop do konfitur.

— Dajże jej spokój, mój drogi! — protestowała pani.

— Podobno ją oszukał na trzy złote kupiec od twarogu — recytował dalej.

— Nie może być, — oburzała się wtedy — jeśliby nawet oszukał, to swojemi pieniędzmi dołożę.

— Pi, pi, pi! Co za hardość! A dużo ty ich masz? Może mnie pożyczysz!

Śmiała się serdecznie i on się śmiał, tworząc na suficie arabeski z dymu, rozkoszując się swym dobrobytem, spokojem i dobrem zdrowiem.

Pani domu opuszczała jadalnię i udawała się na przechadzkę do ogrodu, a na jej miejsce ukazywały się dwie pociechy i chluby domu, dwie panienki w eleganckich szlafroczkach, z utrefionemi loczkami, uśmiechnięte pieszczoszki i faworytki rodziców.

Szczebiotały z ojcem po francusku, między sobą po angielsku, do Kostusi nie odzywały się wcale.

Chrupiąc biszkopty, przypuszczały do ojca szturm o przyjemności i rozrywki, układały wycieczki lub odwiedziny w sąsiedztwie.

Kostusia haftowała w milczeniu.

Nareszcie panienki kończyły ranny posiłek i wybiegały, pociągając za sobą ojca.

Wówczas ona sprzątała przysmaki, lokaje zdejmowali nakrycie, spożywała kęs chleba z herbatą i wybiegała do roboty.

Przez dzień cały potem czarny jej kamlot i pasiasty fartuch widać było po wszystkich zakątkach dworu, migała jak wielki, żałobny motyl od sernika

do wędlarni, od lamusa do kurników, od ogrodu do pasieki. Zaglądała w kąty i zakąty, chwaliła, ganiła, prosiła i uśmiechała się, jak mrówka niestrudzona i silna, jak skowronek wesoła. Do obiadu i wieczerzy zjawiała się w pałacu, zarządzała zastawę i miała swe miejsce w gronie rodziny, na szarym końcu stołu.

Czasem odzywano się do niej protekcjonalnie lub żartobliwie, przy gościach ignorowano ją zupełnie.

Tak do późnej nocy krzątała się i krzątała.

Dopiero gdy pałac oświecał się rzęsiście, a na folwarku do snu się zabierano, wstępowała powoli na swe wyżyny.

Była to dla niej jedyna chwila odpoczynku. Siadywała u okienka i założywszy spracowane ręce, śpiewała, do gwiazd zwracając oczy i myśl.

Wspominała wówczas dzień, pracowicie spędzony, i wewnętrznie z siebie zadowolona, śpiewała głośno i wesoło, potem wspominała rodziców pomarłych, bezdomność swoją, wielkie sieroctwo i piosenka stawała cichszą, nuta przeciąglejszą, aż cichła zupełnie.

Gdy potem klękała do pacierza, odmawiała same tylko modlitwy za umarłych; dla siebie nie umiała prosić o nic. Bo i o co? Zdrowa była, krzywdy nie miała od nikogo, nie zazdrościła nikomu niczego.

Prosiłaby o coś przecie, ale wiedziała, że rodzice z pod ziemi nie wrócą, do domu jej nie zabiorą, więc tylko gorąco się modliła dla nich o niebo, dla siebie o siły i ochotę szczerą, by dobrodziejom swoim

płacić mogła zawsze i zawsze za dach ten, za strawę, za każde słowo przyjazne, za spojrzenie życzliwe. Tło i grunt natury tej, nawskróś szczerej i prostej, stanowiła do przesady posunięta wdzięczność i ofiarność.

Los od dziecka nauczył ją obywać się bez wielu, bez żadnych słodyczy żywota, nauczył też ją pokory i cichości, poświęcenia i zapomnienia o sobie; praca ustrzegła ją od goryczy, dała pogodę i spokój, wyrobiła trzeźwy sąd i poczucie samodzielności.

Mało uczona, posiadała zasady prawe, wrodzoną logikę, umysł jasny, ogromny zapas stanowczości i woli. Mogłaby przy tych zasobach zapragnąć szerszych celów, wyrywać się do nieograniczonej swobody — wdzięczność trzymała ją w szarym cieniu zależnego stanowiska. Dzieckiem małem od martwej piersi matczynej ją wzięli ci ludzie, dalecy krewni, hodowali, karmili, uczyli — teraz ona płaciła z lichwą, przywiązała się do nich jak krzewina młoda do ziemi i jak krzewina nie pomyślała nigdy, że siły i urodę nie sama ziemia jej dała, ale także słońce letnie, majowe, rosy wieczorne...

Gdy drobinę tę, napół martwą, przed laty pan domu przyniósł pewnej nocy do żony, w połę płaszcza otuloną, pani zafrasowała się mocno. Dziecko mogło umrzeć, co gorzej, skompromitować ich, ale pan ręką na perswazje machał.

— Co tam — rzekł. — Skowrońska, konając, zaklęła mnie na boże rany, bym dziecko za swoje

wziął i wezmę! Niech się, co chce, dzieje! Co rzucimy za siebie, znajdziemy przed sobą — nie tu — to tam! Dziecko zostanie. Niech z naszą Jadwisią śpi w kołysce!

Dziecko zostało. Było z niem dużo kłopotu, kosztowało dużo starań. Kostusi opowiadała o tem stara wieśniaczka, która ją wykarmiła.

Gdy doszła piętnastu lat, zaczęła płacić.

Nie spostrzegła pani domu, jak ten podlotek począł ją we wszystkiem wyręczać, jak jej wreszcie zdjął z barków cały trud gospodarski; nie zdali sobie państwo sprawy, dlaczego od trzech lat dochód domowy wtrójnasób urósł, a rozchód o połowę się zmniejszył.

Lubili Kostusię, ale nie znali jej wcale.

Wesołość jej brali za głupowatość, pracowitość za wrodzoną chciwość, łagodność za lęk przed ich powagą, brak wszelkich pretensyj za ograniczenie.

Kostusia lubiła ich wszystkich. Ciotka gderała nieraz, ale to tylko wskutek częstej migreny, starsza kuzynka, piękna Fela, traktowała ją zgóry, ale bo była starsza, nie chowały się razem i była już tak z natury dumna; młodsza, Jadwisia, jej rówieśnica i towarzyszka w dzieciństwie, drwiła i przekpiwała jej wytartą sukienkę, opalone ręce i prostakowate rumieńce; Jadwiśka była bo zawsze kpiarz i śmieszek! Szczególne przywiązanie żywiła Kostusia do wuja. Pamiętała, że on ją przyniósł maleńką do domu, że

ją często gładził po głowie, a czasem w swe ręce brał jej twarz i całował w czoło. Kostusia za wuja gotowa była iść w ogień! Żarty jego były takie zabawne i serdeczne, on też najwięcej myślał o niej.

Z podróży przywoził jej zawsze pamiątkę, na gwiazdkę obdarzał narówni z dziećmi własnemi, a w ciągu roku, gdy dojrzał za wiele łat w sukience, wsuwał jej do fartucha trochę pieniędzy i wołał wesoło:

— Kostusiu, jak mi się nie ubierzesz porządniej, każę cię jutro postawić w prosie, wróblom na postrach, ludziom na widowisko! Pamiętaj!

Predylekcję też szczególną miała Kostusia do kuzynka Kazia, który tylko na parę letnich miesięcy przyjeżdżał ze szkół do domu. O rok był młodszy od niej, dziećmi będąc, bawili się z sobą najlepiej, zawarł nawet pakt koleżeństwa, którego ani lata, ani oddalenie nie zatarło.

Chłopak był jak ona pracowity i ambitny, podczas wakacyj czytywał jej piękne książki, pomagał jej w zajęciach, wyciągał z sobą w niedzielę na dalekie spacery łódką po rzece lub pieszo po gajach, otaczających dwór. Śpiewali wtedy lub śmiejąc się, odnajdywali kryjówki, gdzie przed laty udawali Robinsona.

Tak bywało latem. Ale potem przychodziła pracowita jesień, Kazio odjeżdżał, ptaszki milkły, Kostusia zbierała resztę owoców, napełniała śpiżarnię konserwami i suszeninami, dozorowała sprzętu wa-

rzywa, zlewała złote miody, topiła wosk, a z pierwszemi płatkami śniegu żegnała świat smutny i nikła na czas jakiś, owładnięta wielką tęsknotą za latem.

Wtedy nie budziło już jej słońce, lecz przyzwyczajenie. Wstawała przy świetle lampki, odziewała się w futerko i kapturek, zsiniałe ręce chowała w wełniany zarękawek, dreptała po mrozie i śniegu. Wieczory trwały bez końca. Na dole bawili się goście często, sąsiedztwo było liczne i zażyłe, a dom ten uważano za najświetniejszy.

Kostusia wówczas siadywała u siebie i szyła. Ciotka dawała jej robotę dla siebie lub córek, było też do sporządzania dużo bielizny domowej, dużo szarego płótna na gospodarskie potrzeby.

I siebie oporządzała wtedy z podarowanych przez ciotkę, wysortowanych sukienek letnich Jadwisi.

Z tego powodu Kostusia miała zwykle perkale na zimę, a wełnianki na lato.

Na ten szczególny zbieg okoliczności zwrócił uwagę, jak zwykle, wuj żartobliwie. Uśmiała się z jego konceptów szczerze, bez cienia urazy. Jej zawsze dogadzało wszystko, a perkalik, tak srodze skrytykowany, właśnie bardzo się jej podobał. Poco go miała chować aż do lata.

Wuj się uśmiał dosyta, uszczypnął ją za policzek, a w dwa tygodnie potem przywiózł jej z miasta ładną, granatową flanelkę.

Kostusia aż się przestraszyła, podziękowała ze łzami, ale flanelki nie włożyła nigdy.

Żałowała na krawca, szyć sama nie umiała, schowała ją na sam spód zielonego kuferka, gdzie miała całą swą garderobę i wszystko, co swojem nazywała na świecie.

W te długie, samotne wieczory na strychu towarzyszył jej świerszcz, przyniesiony ze strąkami fasoli do łuskania i ulokowany za piecem, a wśród zimy, w najtęższe mrozy, dostawała zawsze kwaterunek. Przychodziła do niej mamka, biedna komornica, ulokowana za łaską wuja w chatynie samotnej na granicy majątku.

Latem zarabiała w polu, zimą głód i zimno wypędzało ją z budy. Brała z sobą prząśnicę i garść lnu, podpierała kołkiem chatę, nakładała na siebie, ile miała, odzieży i szła do dworu. Kostusia, za pozwoleniem ciotki, dawała jej przytułek. Baba przędła w kącie za piecem, wygrzewając swoje kości, i gwarzyła ze swą *zazulą*.

Po wsiach uchodziła za wielką znachorkę, umiała też wiele bajek i pieśni, które czasem, rozochocona, śpiewała trzęsącym się głosem.

Kostusia lubiła bajki, a szczególniej jedną, o którą codzień prosiła i którą zwała „moją“ bajką.

...Był kiedyś biały dwór, a w nim dwa gołębie białe i w nim pisklę maleńkie, ot, takie malutkie. Na dwór spadły ognie, a na gołębie *szulaki* (jastrzębie).

Urwały głowę gołębiowi i poleciały, urwały głowę gołębicy i poleciały. I po małe przyleciały, ale nie znalazły — i odleciały. Taki bajki koniec: na dworze żyto faluje — to tu, to tam, niby żywe. A pod żytem, pod ziemią, pod siwą, gołąb leży — taj przez to żyto stęka: „gdzie gniazdo moje?“ — taj przez trawę miedzową szepce: „gdzie malutkie moje?“. Nie płacz, gołąbko moja, nie płacz, malutkie twoje piórkami porosło, w skrzydełka uderzyło! Gołębie przylecą w swaty, zagruchają, zatokują, taj gniazdo jej złote uścielą!...

Baba nie miała nikogo na świecie. To cudze dziecko wykarmiła swem mlekiem i do niego w swem sieroctwie jak do swego rodzonego przylgnęła. Opowiadała czasem Kostusi, jak jej męża zły człowiek *pouroczył*, jak mu uroki kołtunem wyszły, pokręciły ręce i nogi, aż umarł. Nie płakała po nim. Opowiadała potem, jak jej ostatniego, Janka, mlecznego brata Kostusi, na noclegu przy koniach zła febra opadła, że ni zioła, ni wywary, ni maście nie pomogły. Zbielał jak „gęś“, spuchł „jak szklanka“ taj za tamtemi na mogiłki poszedł.

Wtedy w jej zapadłych, mgławych oczach, zjawiały się wielkie, ciche łzy i płynęły powoli, a ona i otrzeć je zapominała, zasłuchana w swe ciężkie wspomnienia.

Święta Bożego Narodzenia przerywały na czas jakiś monotonję zimowego życia Kostusi. Miała wtedy sporo krzątaniny w kuchni i domu, piekła strucle, za-

kładała czyste firanki, stroiła pokoje dla gości, dobywała z kredensów najparadniejsze nakrycia i adamaszkową bieliznę.

Od Nowego Roku liczyła dni do wiosny. Zwykle wtedy zostawała czas jakiś sama, bo państwo z całą rodziną wyjeżdżali do miasta, w części, by odwiedzić syna, w części dla karnawału.

Wtedy Kostusia pilnowała całości domu i służby i zarządzała wielkie oszczędności.

Ciotka za powrotem zastawała wszędzie wzorowy porządek i uradowaną twarzyczkę Kostusi na progu. Znajdowała też na swem biurku sporą paczkę pieniędzy zaoszczędzonych, oglądała składy i śpiżarnię i dawała Kostusi pamiątkę jaką; pierścionek z koralikiem, broszkę srebrną, sztuczkę płótna na koszule.

Fela podawała jej rękę, Jadwisia darowywała resztki cukierków i znoszone sztuczne kwiaty, wuj, jak zawsze, żartobliwy, całował zarumienioną w same usta.

— To od Kazia! — mawiał, mrugając oczami.

Usta Kostusi były czerwone i świeże, a ona sama smukła i pomimo niezgrabnego stroju, zręczna. Twarzyczkę miała ściągłą i rumianą, oczy siwe, ładnie ocienione, pełne siły i prawdy — nad gładkiem czołem ciemne włosy, bardzo bujne i jedwabiste.

Taka była — ona — nazewnątrz i duchowo.

II.

— Było lato w samym początku, 16 maja i niedziela: Kostusia zapamiętała ten dzień.

Wuj przyszedł do śniadania wdwójnasób wesół i rozpromieniony.

— Ej, Kostusiu, Kostusiu! — zawołał od progu — ani się spodziewasz, jaką ci przynoszę nowinę! Dajno, serduszko, herbaty.

Dziewczynka poskoczyła żywo.

— Kazio zdał egzamin szczęśliwie! — rzekł.

— Chwała Bogu — szepnęła.

— I dzisiaj przyjeżdża do nas.

Kostusia jak zorza pokraśniała, a oczy jej stanęły w blaskach niesłychanej radości.

Wuj palcem pogroził.

— Ej dziewczyno, dziewczyno, jak mi się poważysz chłopca zbałamucić!...

Zatrzymał się, srożąc minę...

— To was zawiozę do parafji — i do ołtarza prosto! — dokończył, ubawiony jej przestraszoną twarzą.

— Kostusiu! — zabrzmiał z progu głos pani domu — trzeba przygotować i odświeżyć mieszkanie Kazimierza. Proszę, żebyś się z tem na służbę nie spuszczała, bo zrobią źle.

— Wiem, ciociu. Sama się zajmę!

— Czy już po Kazia poszły konie, papo? Czy z pewnością przyjedzie? — wołały, wchodząc, siostry.

— Fela pewnie spodziewa się sprawunków! — odparł.

— Naturalnie! Prosiłam go o letni kapelusz i najnowsze fasony amazonek.

— A ja czekam na włóczki i jedwabie — dodała Jadwiga.

— Zatem ręczę wam, że sprawunki będą. O Kazia mniejsza. Dla Feli mam jeszcze jedną ciekawą nowinę.

— Niech papa powie! — prosiła piękna panna.

— Przyjdzie jeszcze ktoś, ale bez sprawunków!

— Ciekawam! Papa pewnie żartuje...

— No, no, domyśl się! Pamiętasz przecie ostatni karnawał.

— Ach, więc ktoś z karnawału? Tylu miałam tancerzy!

— Mój drogi! — wmieszała się pani — nie traktuj nas zagadkami! Jesteśmy dorośli. Spodziewasz się gości?

— Sewer Stamierowski spotkał mnie wczoraj i pytał, czy może dzisiaj złożyć paniom swoje uszanowanie.

— A ten się skąd tu znalazł! — zawołała Jadwisia.

— Przed tygodniem wrócił do domu.

— Pogodzili się z ojczymem? — spytała pani.

— To trudno przy ich charakterach — odparł wesoło.

— Stamierowski! — ozwała się Fela — doskonale prowadzi kotyljona.

— I doskonale podobno robi długi! — dodała pani.

— Opowiadał mi Kazio, wtrąciła Jadwisia, że jest niesłychanie gwałtowny. W szkołach o byle co chciał policzkować profesorów, wypędzono go też. W wojsku zaś także nie długo usiedział z powodu ciągłych pojedynków. Bardzobym chciała zobaczyć go w złości.

— Wszystko to prawda, ale to nie przeszkadza, że jest to najlepsza partja w powiecie — dodał pan poważnie.

— Doprawdy!

Panią zajęło to widocznie.

— Naturalnie. Stamierów wart okrągłe trzykroć. Wprawdzie z ojczymem nie skończy bez procesu, ale w każdym razie, gdy się chłopak ustatkuje, będzie miał na czem żyć i używać. Co ty na to mówisz, Felo! Podobał ci się Stamierowski? Hę!

— Ho, ho! Ja wiem, że była nim zajęta w karnawale — zaśmiała się Jadwisia.

Piękna Fela ruszyła lekceważąco ramionami, wstała majestatycznie i wyszła bez odpowiedzi.

Za nią gonił śmiech ojca i siostry.

— Mój drogi, — badała dalej pani — dlaczego sądzisz, że Stamierowski ma się procesować z ojczymem.

— Widzisz, duszko, — zaczął pan — Stamierowska stara majątek swój zapisała w dożywocie drugiemu mężowi, a w razie śmierci syna na własność Rudakowskiemu. Syn ma tylko połowę dochodów i zadowalniać się musi tem, co mu Rudakowski ofiarować raczy. Znasz Rudakowskiego przecie. Ciekawe muszą być rachunki z tych dochodów! Dziwię się, że dotąd nie otruł Sewera! Ergo — proces być musi prędzej czy później.

— Jeżeliby jednak Stamierowski na serjo pomyślał o Feli, ty mu dopomożesz? Wszak to krzycząca krzywda i wyzysk haniebny!

— Hm, będzie na to czas. Lubię tego szaławiłę i chciałbym go za zięcia. Co Bóg da. Zobaczymy.

Kostusia, słuchając półuchem, drżała z niecierpliwości. Śniadanie przeciągało się nad miarę, a jej tak śpieszno było ustroić pokoiki Kazia.

Skończyło się wreszcie i dzieweczka podskoczyła na pierwsze piętro, śpiewając wesoło.

Pod jej pracowitą ręką pokoiki przyjaciela przybierały odświętny, elegancki pozór. Była w połowie roboty, gdy ją turkot spłoszył. Poskoczyła do okna z pękiem zieleni w ręku, którą maiła ściany.

Nie spojrzała na konie i powóz, nie zastanowiła się, że godzina była zbyt wczesna na przyjście pociągu — wychyliła się i rzucając pod stopy wysiadającego świeże gałązki, zawołała z wybuchem radości:

— Kazio! Kazio!

Przybyły podniósł oczy zdumione. Był to zupełnie obcy jej człowiek. Przez sekundę on ujrzał promienną twarzyczkę, ona śniadawe oblicze, kruczy wąs i bardzo wyraziste oczy. Potem ona się cofnęła, śmiertelnie zawstydzona, on wszedł do sieni.

Kostusi ze strachu i przykrości serce zabiło młotem, schowałaby się chętnie pod ziemię, zdawało się jej, że ze wszech kątów patrzą na nią drwiące oczy, że cały świat wie i urąga z jej roztrzepania.

Chciała płakać albo uciec stąd na zawsze. Na myśl spotkania tego obcego przy obiedzie krew jej zamierała w żyłach.

Niesposób jednak było wypełnić choć jeden z rozpaczliwych projektów. Odnalazł ją na górze ogrodnik, żądając nasion, musiała wyjść między ludzi.

Spożyto już dwie potrawy, gdy się nareszcie ośmieliła wsunąć do jadalni.

Cichutko zajęła swe miejsce u rogu stołu.

Gość siedział pomiędzy Felą i Jadwisią, zajęty ożywioną rozmową, i zdawało się, że nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

Był to oczekiwany Sewer Stamierowski.

Piękny, dwudziestokilkoletni człowiek, zgrabny, silnie zbudowany, ubrany z wyszukaną elegancją.

Nadmiar zdrowia, sił i szalonych fantazyj tryskał zeń. Rozmawiał swobodnie i wesoło o karnawałowych wspomnieniach, a tymczasem chwilami dzikie bunty łatały mu w oczach, nieposkromione myśli swawoli rozdymały ruchliwe nozdrza, uśmiechy przekory rozchylały usta.

Ręce jego niespokojnie skubały wąsy, widocznym wysiłkiem powstrzymywał się od niesfornych ruchów. Był bardzo przyzwoity, ale nienaturalny w tej chwili. Po dość długiej przerwie spojrzał na osamotnioną i milczącą dziewczynkę, z którą go nikt zapoznawać nie myślał. Musiał ją poznać, przypomnieć sobie niefortunny okrzyk i powitanie, bo się uśmiechnął lekko, i zwracając się do Feli, spytał zcicha:

— Kto to jest?

— Uboga krewna... Dopomaga mamie w gospodarstwie — odparła obojętnie piękna panna.

Sewer nie opowiedział, jak go ta uboga krewna powitała. Rozmowa stała się ogólną.

Przy końcu obiadu głos wuja ocucił Kostusię z martwoty.

— Moje dziecko, — zawołał rozochocony — musiałaś na przyjazd Kazia wydobyć nielada specjał z piwnicy. Coś mi od bufetu stary węgrzyn zalatuje. Dajno go nam pokosztować.

Znowu Sewer spojrzał na nią i przeprowadził wzrokiem do kredensu.

Zrozumiał. Uboga krewna żywiła afekt do kuzynka.

Kostusia wydała lokajom wino i jak zwykle, nie czekając, aż wszyscy wstaną, wymknęła się z jadalni.

Wybiegła na drogę, za dwór, i na skręcie stanęła chwilę. Woddali kurz się kłębił, poznała konie i ludzi. Poznał też ją młodzieniec w uniwersyteckiej czapce, o poczciwych jak ojciec oczach. Poznał, z powozu wyskoczył i uścisnął po bratersku.

Powóz potoczył się do stajen, oni ręka w rękę poszli pieszo przez ogród.

— Ależ, Kostusiu, wyrosłaś i wyładniałaś. A twoje gospodarstwo jak idzie? A mamka zdrowa? A wędki nasze w komplecie? Cóż słychać w domu?

— Goście są...

— Kto?

— Ze Stamierowa.

— Co, Rudakowski. To monstrum! A, tom trafił!

— Nie, pasierb jego.

— Sewer narwany! A ten tu czego?

— Może do Feli...

— Majaczysz, Kostusiu.

— Dlaczego?

— Ot, wiesz! Tak mi się wyrwało. Bo, prawdę mówiąc, jak może kto Feli zapragnąć. To mi się w głowie nie mieści.

— Fe, Kaziu, Fela dobra bardzo.

— Tobie, Kostusiu, i stary Harpagon Rudakowski wydałby się dobrym. Przywiozłem ci dużo ładnych książek, a ty mnie zato odkarmisz przez wakacje. Zamęczyły mnie egzamina.

— Bardzoś mizerny i blady. Poco się zamęczać!

— A ty poco się zamęczasz?

— Ja... nie. Co ja tak bardzo robię — potrząsnęła głową. — Zresztą ja co innego! — dodała po namyśle.

— Cóż innego? — pytał.

— Ja wypłacić się muszę wam za wszystkie dobrodziejstwa.

— A mnie za kogo masz? Za pasożyta? A jaż mało mam wypłat? Wypłacić się muszę ziemi, która mnie karmi; braciom, wśród których żyję; rodzicom. co mi dali siły i naukę. Każdy ma wypłaty, Kostusiu. a kto o nich nie pamięta, ten zwierzę. Nie mów mi więc, żem inny jak ty. Obojeśmy ludzie, tylko ty stokroć lepsza.

— To ty teraz majaczysz, Kaziu! — zaprotestowała.

Stali przed domem. Chłopak ją uścisnął serdecznie i zniknął za drzwiami, ona odeszła do swych zatrudnień.

Zobaczyli się znowu przy wieczornej herbacie. Ona zdaleka, od stolika z samowarem, uśmiechała się doń, pilnując, by miał pod ręką ulubione przysmaki,

on podchodził do niej parę razy, wbrew etykiecie, służył za łącznik między nią a resztą biesiadników.

Badawcze spojrzenie Sewera śledziło ich pilnie. Więc afekt był obustronny. Szczęśliwi ludzie.

Po herbacie gość wyjechał, pożegnany wezwaniem do częstszych odwiedzin. Z Kazimierzem umówili się o wspólne polowanie, z panną Felicją ułożyli się o konne spacery. Podobał się ogólnie.

Kostusia, gdy się znalazła sama w izdebce, pomyślała też z wdzięcznością o nim. Dobry był, nie zdradził jej powitania, nie drwił. Przypomniała sobie jego jedno spojrzenie, gdy Kazio jej za herbatę dziękował — było smutne.

Kostusię smutek cudzy bolał okropnie!

Od tego dnia we dworze coś się zmieniło. Sewer Stamierowski bywał często, co parę dni prawie, przesiadywał długo; Fela stała się przystępniejszą, odzywała się grzecznie nawet do Kostusi. Czworo młodych bawiło się doskonale, następowały po sobie spacery konno i pieszo, przejażdżki łódką i powozem, krokiet i wolant. Kostusia spotykała ich tylko, zawsze zajęta, wymawiając się i prosząc Kazia, by jej do towarzystwa nię wciągał.

Ładnieby wyglądała w takim razie gospodarka. Któżby bielił płótno, ktoby doglądał masy świeżo wykłutych piskląt? Szafarka? Co to warte obce ręce, płatna służba! Ona sama być musi! Rozrywana na wsze strony — widywała tylko kawalkaty i krokiet,

widywała też często Sewera i oswoiła się z nim zupełnie.

Nikt ich nie zapoznał i nie zamienili z sobą trzech słów. Spotkawszy się, zamieniali milczący ukłon. Sewer jakby się przejął duchem całego domu, uważał ją za sprzęt, nieodłączny we dworze — a szczególniej w pałacowej jadalni.

Wieczorem, gdy się zbierano w salonie, ona biegła do swej izdebki i czytała chciwie ciekawe książki, dar Kazia.

— Tak upłynęło kilka tygodni. Między służbą szeptano już stanowczo, że Sewer stara się o Felę, w sąsiedztwie też o niczem innem nie mówiono.

Jedni radzili, drudzy odradzali. Były wersje, że młodzi są już po słowie, że wyprawa się szyje, że pan Odachowski ma w imieniu przyszłego zięcia rozpoczynać proces z Rudakowskim.

Że to wszystko było bajką, o tem najlepiej wiedziała Kostusia. Staranie się Sewera było widoczne, ale do oświadczyn jeszcze nie doszło. Fela, znieciepliwiona, zaczynała narzekać, że ją kompromituje, że go widzieć nie chce, że to warjat, narwaniec! Jadwisia nie traciła nadziei, że go potrafi do złości doprowadzić, pan domu żartował sobie z całego świata, pani żółć i niepokój wylewała w gderaniu na Kostusię. Najgorszy zaś malkontent był Kazio.

Pewnego wieczora wyśliznął się z towarzystwa i zjawił się w izdebce na strychu.

— Pobawmy się po swojemu, Kostusiu! — zawołał.

— Nie można! Goście są!

— Zlituj się! Daj mi na chwilę o tem zapomnieć! Nie pamiętam tak nudnych wakacyj! Co to za goście! Sewer! To mi osobliwość! Przecież on o mnie się nie stara!

— Ale o twoją siostrę, a ciocia nie lubi, żebyś ich samych zostawiał.

— Przyjemna rola! Pilnować zakochanych. Jest przecie na to Jadwisia! I poco ich pilnować?! Czy ty wiesz, Kostusiu, co to zakochany?

— To człowiek bardzo dobry!

— At, gadasz! To istota chytrzejsza od kota, zwinniejsza od węża, psotniejsza od sroki. Żeby pułk ich pilnował, potrafią się przecie pokryjomu pocałować, jeśli zechcą, naturalnie. Ale mnie się zdaje, że ci nasi pseudozakochani, nie mają potemu ochoty. Nie wiem też, skąd pewnik, że Sewer stara się o Felę. Ja nic podobnego nie zauważyłem. Równie dobrze może się kochać w Jadwisi lub w tobie. To nawet wedle mnie prawdopodobniejsze.

— Co też ty, Kaziu, prawisz?

— To, co mi się zdaje. Zmarnowane moje wakacje! Kostusiu, czy ci nie żal naszych przeszłorocznych i innych! Gdzie nasze śpiewy, wspólne czytanie, gospodarowanie we dwoje! Kostusiu, pobawmy się choć raz po swojemu!

Kostusia śmiała się serdecznie.

— Jakże się mamy bawić?

— Ot, pokaż mi swe skarby, całą zawartość zielonego kuferka!

Śmiejąc się, wyciągnęli skrzynkę na środek izdebki. Było w niej trochę bielizny i sukienek, a najwięcej zużytych bombonierek i pustych flakonów od perfum.

— Pewnie prezenty Jadwisi! — rzekł ze złością.

Potwierdziła. Pokazała mu potem ową sławną flanelę od wuja, igielnik od ciotki, wachlarz od Feli.

— A precjozy? — spytał żartobliwie.

Z dawnych lat pamiętał, że klejnociki swe chowała w blaszanem pudełku od herbaty. Znalazł je, do rąk wziął i potrząsnął — było puste.

— Gdzie twoje klejnoty? — zawołał.

— Fi! Naco mi one! — odparła wymijająco — odsuwając na bok blaszankę.

Ale on nie ustępował.

— No, powiedz, powiedz, coś zrobiła z tem! — prosił.

— Niema! Sprzedałam! — przyznała się wreszcie.

— Kto kupił?

— Pisarz dla żony!

— Ileż ci dał?

— Pięć rubli!

— Gdzież one?

— Oddałam mamce!

— Poco?

— Bo od miesiąca chora leży!

Umilkła i zamyśliła się poważnie.

— Kostusiu, czemuś mamie nie powiedziała!

— A poco, kiedy jeszcze były pieniądze.

— A mnie czemuś w to nie wtajemniczyła?

— Cóżbyś pomógł! Mówię ci, były pieniądze i na chleb, i na doktora, i na lekarstwa!

— Ale teraz już niema?

— Owszem, starczy jeszcze na tydzień.

— A potem co będzie?...

Siedzieli naprzeciw siebie, na ziemi, nad wypróżnionym kuferkiem, otoczeni gratami.

Kazio patrzał na te skarby, widocznie rozdrażniony. Kostusia z lubością i dumą.

Na ostatnie jego zapytanie zamyśliła się chwilę, jakby coś rachowała w pamięci.

— Mamce lepiej — odparła. — Wstaje, już i chodzić zaczyna. Zresztą mam jeszcze flanelkę. Każdy ją chętnie kupi, taka śliczna.

Pogładziła miękką tkaninę. Znać było, że uważała ją za najdroższą swą własność i że odda ją bez żalu w potrzebie dla kogoś miłego.

— Pójdziemy jutro w odwiedziny do mamki! — zawołał Kazio! — To wstyd, żem o tem dotąd nie pomyślał.

— Nie miałeś czasu i jutro go mieć nie będziesz. Słyszałam, że wszyscy jadą na imieniny do Rudki.

— Mogę nie jechać!

— Jakże! A pamiętasz przeszłych wakacyj? — kochałeś Rózię!

— Ba! Rok minął. Dawno zapomniałem.

Kostusia zrobiła przerażoną minę.

— Zapomniałeś!

— Tybyś pewnie nie zapomniała! — zaśmiał się.

— Nie, nigdy.

— Wiernabyś była do śmierci?

— A jakże. Nie kochałam nigdy i mnie nikt nie kochał, ale myślę, że zapomnieć dobrego nie można!

— Wyobrażasz sobie, że kochanie bywa koniecznie dobre?

— Nie wiem, ale kochanie to własność, a któż swej własności nie lubi, nie szanuje, nie broni!

— Skądże ty o tem, nieboże, wiesz, kiedy nic nie masz własnego na świecie! — rzekł smutno.

— Ej, ty coś tak się wypytujesz jak ksiądz na spowiedzi. Mam wszystko, co mi potrzeba!

Pochyliła się nad kuferkiem i ze spodu zupełnie wyjęła zwitek jakiś, zawinięty w jedwabną chusteczkę.

— Oto moja własność! — rzekła z dumą.

Rozwinęła chusteczkę i pokazała mu wielki papier.

— To moja metryka, a to rodzinne dokumenty, a to matki kartka ostatnia do wuja! To moje! — powtórzyła z mocą, całując papiery.

Odłożyła je z czcią na bok i pokazała mu, również z chusteczki wydobyte, dwa wybladłe dagerotypy.

— To ojciec i mama! Jak zbiorę pieniędzy, kupię ramki i nad łóżkiem sobie powieszę. Nie widzisz nic! Czekaj, patrz pod światło. O, ja widzę doskonale!

Uśmiechnęła się do obrazków i długo się im przyglądała. Gdy je odłożyła wreszcie, twarz miała skurczoną i łzy w oczach. Zwalczyła je bohatersko.

— Widzisz, Kostusiu! Nie wszystko masz, co ci potrzeba. Nie płacz! — rzekł, obejmując ją wpół.

— To tak sobie! — szepnęła, szukając dalej.

Na dnie chusteczki już nic nie było, tylko dwa złote pierścionki, wytarte i ściemniałe.

Pokazała je Kaziowi.

— To obrączki ślubne rodziców! — rzekła zcicha.

Schowała je napowrót, zawinęła starannie chustkę.

— To i wszystko! — dodała, zaglądając na spód skrzynki.

— Jeszcze coś było czarnego w zwitku! — spytał.

— Kawałek chleba! — rzekła. — Jak dwór nasz się spalił, matka wzięła te papiery, kawałek chleba i mnie i precz poszła. Wujowi oddała ze mną i te pamiątki, a wuj mi je oddał, kiedym wyrosła. Mój złoty wuj!

— A ty te papiery oddasz także, a temi obrączkami się zaręczysz. Pokaż, spróbuję, czy na mnie dobre!

— Naco ty ze mnie żartujesz, Kaziu!

— Broń, Boże! Nie chciałabyś się ze mną zaręczyć?

— Nie! — odparła stanowczo. — Nie dla mnie ciebie rodzice hodowali i nie dla ciebie jam się urodziła. Ty sobie pan jesteś dla jakiej pani, a ja sierota dla sieroty. I tej obrączki ci próbować nie dam, boby ci ona przyniosła, broń, Boże, złą dolę, jaką widziała, w jakiej ją zdjęto z martwego palca! Moja ona i nikomu jej nie dam! Dla ciebiebym chciała świata całego i marzonego szczęścia...

— Ale siebiebyś nie ofiarowała! — spytał z przykrością widoczną.

— Nie. Bobym wujowstwu była jak ta gadzina, co człowiek w zanadrzu odegrzał sobie na zatracenie. Nie gniewaj się, Kaziu, nie gniewaj! Będę ci służyła do śmierci, tobie i żonie twojej, i dzieciom. Zobaczysz, jak nam razem będzie dobrze!

— Tak, aż przyjdzie jaki sierota, który cię weźmie. Nawet mnie nie wspomnisz!

— Nikt po mnie nie przyjdzie, Kaziu! Żartowałam sobie. Będziemy zawsze razem!

— A jeślibyś kogo pokochała?

— Zostałabym.

— A jeśliby ciebie kto pokochał?

Zamilkła i układała śpiesznie swe graty.

— Wtedybyś nas zapomniała! — rzekł smutno.

— Nie, alebym mu płaciła, płaciła! Kochanego poświęcić można, a kochającego nigdy! Ty tak samo myślisz, Kaziu?

— Tak samo, alebym nie chciał zobaczyć domu naszego bez ciebie. Już lepiej pokochaj sama!

Kostusia zaśmiała się serdecznie. Pokazała mu jeszcze ściany i wieko kuferka, wyklejone jaskrawemi obrazkami i opowiadała z zajęciem, gdzie i jak przyszła do ich posiadania.

— Po chwili chłopak się rozchmurzył.

— Pójdziemy jutro do mamki! — zawołał, wstając.

Obejrzał się po stancyjce.

— Jak tu u ciebie schludnie i wesoło. Mirt urósł ogromnie od przeszłego roku. Dajno mi z niego gałązkę na pamiątkę dzisiejszej odmowy!

— Ach, Kaziu! Takiś niepoczciwy. Dałabym ci cały wazon, ale Fela już go zamówiła sobie na ślubne bukieciki! W całej cieplarni niema równie ładnego. Tak mi się wdzięcznie odpłacił za staranie.

Przesunęła rękę po listkach.

— Żebyś widział, jaki był malutki. Dostałam gałązkę od pisarzowej na szczęście i zamyśliłam sobie: jeśli mi się przyjmie, to ojcu i mamie dobrze w niebie! Widzisz, jak wybujał?

Wybrała najlepszą gałązkę i włożyła mu ją w klapę.

— Idź już, Kaziu! — szepnęła smutno — będą cię szukać i ciocia się zmartwi!

— Wypędzasz mnie. Pocałujże na pożegnanie!

— Ej, nie! — rzekła, cofając się o krok.

— To ja cię pocałuję!

— Czy chcesz, żebym się ciebie bała i nie wierzyła?

— Tego nie chcę!

— To bądź, jaki byłeś. Zejdziemy razem, bo ciocia kazała mi przyjść do siebie przed spoczynkiem. Pewnie ma jakieś rozporządzenie na jutro.

Chmura wróciła na czoło Kazimierza. Obraził się za ostatnią lekcję, nie doświadczając nigdy oporu Kostusi, podwójnie był dotknięty bolesną odprawą.

Skłonił się jej i wyszedł, nie rzekłszy słowa. Lekkie jej kroki słyszał za sobą na schodach, nie obejrzał się jednak. Na dole on przez dziedziniec wszedł do sieni, ona zwróciła się do garderoby.

— Do widzenia! — zawołała.

Nic nie odparł, zadąsany.

Nazajutrz spotkał ją w ogrodzie rano i skłonił się etykietalnie.

— Do mamki nie będę towarzyszył, — rzekł sucho — jadę do Rudki na imieniny.

— I ja się oddalić nie mogę — ozwała się nieśmiało, zmrożona jego tonem i posępnym wyrazem twarzy. Ciocia kazała zebrać agrest i maliny.

— Pomyślnego zbioru życzę!

Kostusia zbladła i zadrżała.

Podniosła na niego żałosne oczy.

— Gniewasz się na mnie, Kaziu? — szepnęła.

— Skądże i jakiem prawem. Zastosowuję się tylko do twojej woli. — Mam być obcy, ha, to będę.

Zawrócił się na pięcie i odszedł.

Patrzała za nim długo, przerażona, zmartwiała z żalu i strachu.

Co się stało? Za co on ją karał? Co mu zrobiła złego? Ogarnęła ją niezmierna żałość i przygnębienie. Chwyciła koszyki, znoszoną pasterkę Jadwisi włożyła na głowę i zgarbiona, smutna, powlekła się w koniec ogrodu.

Upał dnia tego panował straszny, a maliny rosły na słońcu. Czoło Kostusi, pochylone nad robotą, szkliło się potem, nie śpiewała jak zwykle. Wczoraj ciotka wygderała ją. Powiedziała, że jest opieszała. Chodziło o maliny te właśnie. Dzisiaj Jadwisia wydrwiła girlandową różyczkę, którą sobie wpięła w warkocz.

— Kostusia strzela oczkiem na młodego rządcę — opowiadała przy herbacie.

Wuj był nadąsany.

— Niech sobie strzela! — mruknął. Nikt jej zamążpójścia nie broni! Może dzisiaj dawać na zapowiedzi.

Fela przez ramię spojrzała na nieszczęsną różę.

— Kostusia wcale kwiatów nie szanuje — zauważyła. — Rozporządza się jak własnemi.

— Mam nadzieję, że mnie nie zmusisz do obierania jagód przez najemne ręce — rzekła ciotka kapryśnie.

Kostusia u stolika z samowarem uśmiechała się, jak zwykle! Oddychała tylko szybko i głęboko, a nagłe rumieńce, to znowu bladość zmieniały się jej na twarzy. Śniadania nie tknęła, nic się jej jeść nie chciało. Dla niepoznaki ugryzła kawałek chleba. Gorzki był jak piołun, zagryzł w gardle, ledwie go przegryźć zdołała, a gorycz nieznośną ciągle czuła. Co jej się stało dzisiaj? Przecież z ludźmi tymi wzrosła, znała ich dobre i złe humory, kochała ich. Dlaczego ją ta gorycz tak piekła okropnie.

Ciotka gderała słusznie, wuj może był niezdrów; Jadwisia zawsze żartowała, a i Fela miała rację. Róża nie jej była, nie miała prawa jej zrywać dla swej przyjemności.

I Kazio był w swem prawie. Przyszedł do niej i żartować chciał, a ona mu zrobiła przykrość. Zamiast się zaśmiać, prawiła morały. Nie dziw, że się obraził.

Tak myślała, schylona nad żmudną robotą, uznojona i samotna.

Wyłożyła sobie wszystko, znalazła rację i usprawiedliwienie, tylko nie znalazła ulgi i argumentu na tę gorycz, co jej jak kleszczami ściskała gardło i piersi, na nieokreśloną tęsknotę za czemś, czego sama nazwać nie umiała.

Daleki turkot oznajmił jej odjazd państwa do Rudki. Była sama, i nikt nie zobaczy, jeśli pobiegnie do mamki na parę godzin. Trzy dni jej nie odwie-

działa, może starucha gorzej zapadła, a w budzie nikt jej nawet wody nie poda.

Kostusia czuła, że tam odzyskałaby równowagę. Wyprostowała się i zmierzyła okiem robotę.

Była zaledwie w połowie dokonana. Z głuchem stęknięciem schyliła się znowu, otarła pot z czoła i zbierała dalej pachnące, purpurowe jagody.

Wysiłkiem woli zaczęła myśleć o czem innem.

Jutro znowu będzie dobrze. Ciotka ją pochwali, Kazia przeprosi, wuj odzyska humor, Jadwisia żartować będzie na temat wspomnień z zabawy, bo o Felę może się przy tej okazji Sewer oświadczy. To tylko dzisiaj taki dzień feralny. Wszystko minie!

Gorycz, uciskająca gardło, ustąpiła nieco. Tylko zamiast swobody i uspokojenia poczuła Kostusia, że ją zagryzło w oczach, zapaliło pod powiekami, i raptem wielkie, ciche krople poczęły jej płynąć po twarzy, spadać na ręce, rosić purpurowe jagody.

To ta gorycz tak ustępowała od serca. Przerażona, Kostusia schyliła się jeszcze niżej; wstydziła się słońca, ptasząt, lichego owadu.

A łzy biegły wciąż. Ktoś je widział przecie i liczył. Ten sam, co na fali czasu i w secinach wieków rachuje na ziarnkach piasku, karbuje na gwiazdkach wszystkie bóle bez głosu, wszystkie łzy bez łkań, wszystką krew serdeczną — niemą i niewidzialną...

W gęstwinie malin było cicho. Od dworu dolatywał stłumiony ruch roboczy, a w chmielnikach

słabo ćwierkało ptactwo, ubezwładnione upałem. Ciemna sukienka Kostusi posuwała się wzdłuż symetrycznych rzędów, nie ustając ani na chwilę.

Zatopiona w swych myślach, zmęczona łzami i trudem, nie słyszała coraz bliższych kroków, nie zauważyła szelestu rozchylanych krzaków.

Wysoki cień zasłonił jej słońce. Podniosła wtedy oczy. O krok przed nią stał Sewer.

Przeraziła się, jakby ducha ujrzała, a i on wyglądał zakłopotany.

Patrzał na nią minutę, mnąc w ręku czapkę.

— Przepraszam panią. Powiedziano mi w pałacu, że pani może mnie objaśnić, kiedy państwo Odachowscy wrócą z Rudki.

Wymówił to nierówno, zacinając się co parę słów.

Oprzytomniała nareszcie i zamiast odpowiedzi, zawołała:

— To pan nie był w Rudce?

— Nie byłem i nie będę.

— Spodziewano się tam spotkać z panem. Nie wiem, kiedy wrócą.. Prędko zapewne — dodała po chwili.

— Zatem pani pozwoli, że na nich zaczekam. Upał dzisiejszy nie zachęca do podróży.

Nic nie odpowiedziała, zakłopotana i onieśmielona obecnością, rozmową i narzuconą rolą gospodyni. Sewer zdjął rękawiczki i odchodzić nie myślał. Wyrazista jego twarz mieniła się tysiącem szybkich myśli

i wrażeń, wśród których przeważała radość i zmieszanie.

— Przepraszam panią — ozwał się znowu. — Dotąd nikt nas ze sobą nie zapoznał. Zdawało mi się, że pani nie pragnie mej znajomości, a Kazimierz, proszony o tę usługę, zbył mnie wymijająco. Do usług pani: Sewer Stamierowski.

— Konstancja Skowronska — szepnęła nieśmiało.

Wyciągnął do niej dłoń, kłaniając się nisko. Przerażona, cofnęła swoją, zaczerwienioną od jagód.

Spostrzegł ten ruch i o krok postąpił.

— Wszak mi pani uścisku dłoni nie odmówi. Cofa pani swą pracowitą rękę, ja ją właśnie dla tej pracowitości szanuję i pragnę uścisnąć.

Oczy jego, zuchwałe i ogni pełne, miały w tej chwili wyraz niewymownej słodyczy i prośby.

Dziewczynka wahająco spełniła żądanie tych oczu. Sewer jeszcze więcej się pochylił i zamiast uścisnąć, rękę tę ciemną szybko poniósł do ust.

Kostusia odskoczyła, stała się czerwieńszą od malin w koszyku.

— Co pan robi! — szepnęła żałośnie.

— Nie wkraczam w cudze prawa — rzekł z przymuszonym uśmiechem. — Wiem, że ta ręka jest komuś przeznaczona i tylko składam pani hołd należny. Pani tutaj, w Podgaju, jest najświetniejszym klejnotem. Nie dziwię się, że po niego sięgnięto, tylko żałuję, żem panią poznał — za późno.

Kostusi w głowie tworzył się chaos. Dzień cały łzy myśli ciężkie rozstroiły ją zupełnie. Słowa Sewera zagadkowe, dziwne, osłupiały ją doreszty. Milczała, mieniąc się na twarzy. On może spostrzegł to i zrozumiał, że ją męczył.

— Przepraszam panią, — rzekł — jestem zawsze gwałtowny, a nad uczuciami swemi z trudnością panuję. Zamiast być wdzięcznym za towarzystwo, dokuczam pani. Teraz pozwoli sobie pani w pracy dopomóc.

Nie czekając odpowiedzi, począł zbierać jagody.

— Niech pan tego nie robi! Rąk pana szkoda, a przytem tutaj tak gorąco... Proszę w cieniu odpocząć.

— Jeżeli razem, to i owszem!

Potrząsnęła głową przecząco.

— Będziemy zatem pracowali razem.

— Ciocia się dowie i będzie nierada

— Skądże się ma dowiedzieć?

— Pan powie.

— Dlaczego ten wniosek? Nie powiedziałem przecie, w jakich warunkach zobaczyłem pierwszy raz panią. Wprawdzie nie miałem racji do chluby...

Kostusia spojrzała nań znów żałośnie.

— Nie powiedziałem i nie powiem. Szczęśliwy Kazimierz. Za takie powitanie jabym wszystko, co posiadam, oddał.

— Pan pewnie ma kogoś drogiego na świecie, kto pana serdecznie wita. Niema takiego, sądzę, czło-

wieka, żeby bez przywiązania był, bez przyjaźni. Chyba on sam nikogo nie kocha!

— Człowiek ten stoi przed panią! — rzekł szyderczo.

— Pan? — spytała zdziwiona. — Ja myślałam, że pana wszyscy kochają! Pan taki wesół...

— Dlatego, że się zawsze śmieję, myśli pani? Śmiech tylko u ludzi dzikich oznacza wesołość. Człowiek cywilizowany posługuje się nim, gdy ma ochotę jęczeć, wyć lub zgrzytać zębami. A pani sama? Czy pani uśmiech z radości płynie i ze szczęścia? Nie! Mnie, gdy patrzę na panią, żal za serce ściska, a co w duszy pani poza tym uśmiechem trosk i bólów się kryje...

— Mnie i pana nie można porównywać!

— Zapewne, bo ja jestem szubrawiec i szaławiła, a pani prawie święta! Ale poza tem stoimy zupełnie narówni, bo oboje jesteśmy samotni na świecie.

— Pan sierota?

— Gorzej, bo mam ojczyma tylko!

— A rodziców pan pamięta?

— Matkę tylko. Niedawno umarła...

— Dobra była pewnie dla pana...

— Nic mi nigdy ani dobrego, ani złego nie uczyniła. Rzadkom ją widywał. Miała nowego męża i nowe dzieci, a jam i tego męża, i dzieci nie znosił i jak zwykle, uczuć nie taiłem. Dzieci poumierały, a matka testamentem zapisała mnie w niewolę ojczyma...

Takie są moje stosunki rodzinne! Nie słodsze od pani sieroctwa ani trochę...

Zaśmiał się ironicznie i po chwili ciągnął dalej, zmieniając ton:

— Mniejsza o mnie. Zasłużyłem w części na swój los. Gdy na kark silny, zuchwały i uparty padają razy, to po ludzku słuszne i żadnego nie dają do politowania prawa, ale gdy na ramiona słabe i zmęczone tłoczą jarzmo nad siły, wtedy ja się wzdrygam i kipię cały wściekłością. I opada mnie szalona chęć z ramion tych jarzmo zrzucić albo na swoje wziąć. Pani się dziwi mej mowie i niczem nieuzasadnionej poufałości... Taką mam naturę, niecierpię długich wstępów i próżnych słów. Otóż powiem pani jeszcze otwarciej: nie rozumiem Kazimierza. Jabym nie zniósł, by moja wybrana cierpiała w moich oczach!

Kostusia przestała zbierać jagody. Podniosła spokojne czoło i topiąc w gorących oczach Sewera swe ciemne, głębokie źrenice, rzekła poważnie, bez cienia zmieszania i nieśmiałości.

— Pan się zupełnie myli. Nikt mi jarzma nad siły nie kładł na barki i nikt mnie nie wyzyskiwał. Ramiona mam silne, a com na nie wzięła, to nie z nakazu było, ale z własnej woli! A tego, co pan o Kazimierzu mówi, nie rozumiem. Wybraną jego nie jestem i nie cierpię w jego oczach. Jak każdy człowiek jestem. Mam swe troski i pociechy, ale póki swe obowiązki spełniam, nie jestem nieszczęśliwa,

i póki za dobro otrzymane płacić mam siły, jestem spokojna...

— Rozumiem panią — odparł równie poważnie. — Raz pierwszy mówimy ze sobą, ale znam panią od miesiąca, widuję prawie codziennie. Oczy moje śledzą panią, a uszy i myśl chciwie łowią każde słowo. Jesteś pani jak każdy człowiek, prawda, ale nie dla mnie!... Proszę nie ściągać brwi groźnie. Wolno pani być świętą, wolno pani dolę swą za dobrą uważać — ale i mnie wolno pragnąć innej dla pani i serdecznie pożałować.

Kostusia w milczeniu spoglądała na niego. Los tak dziwnie zdarzył, że dziś właśnie, na jej smutek i łzy niedawne, padały jak krople oliwy serdeczne słowa. Było to dla niej coś nieznanego, niemarzonego nawet nigdy. Zaprotestowała raz, teraz już nie protestowała; czuła się dziwnie, do gruntu poruszoną i wdzięczną temu obcemu za to szczególne zajęcie i współczucie. Szczególny człowiek. Znała go od godziny zaledwie, a tak jej w tej chwili wydawał się swojskim, tak prędko przyszło porozumienie, taką ku niemu uczuła ufność i wiarę.

— Dziękuję panu za dobre słowo! — szepnęła. — I ja dla pana pragnę dobrej doli!

Machnął ręką.

— Ja, pani, prędko zginę marnie! — rzekł z goryczą. — W przepaść się staczam i w ciemnościach błądzę bez nadziei zatrzymania, bez możności prze-

darcia tej czarnej nocy. Chciałbym tylko, żeby ścieżki pani jasne były... Pani się nie gniewa za to, com powiedział! Dziękuję... powiem coś jeszcze. Przyjechałem tu dzisiaj umyślnie, by móc z panią spędzić parę godzin! Bóg wie, kiedy się zdarzy druga sposobność — może już nigdy! Czy pani mnie zachowa w przyjaznej pamięci?

Uśmiechnęła się doń słodko.

— Zachowam! Pan taki był dobry dla mnie!

— A jednak Kazimierz lepszy!

— Dlaczego mi pan to powtarza. Wszak to naturalne, że Kazia kocham z całego serca. Tyle lat się znamy!

Chciał coś rzec, ale się widocznie pohamował.

Spojrzała na słońce, potem na drogę za parkanem.

— Wujostwo się spóźniają! — zauważyła.

— Bawią się widocznie dobrze! — rzekł obojętnie. — Ale oto i robota nasza skończona!

— Tak prędko! — uśmiechnęła się, zdziwiona — anim się obejrzała.

— I ja także! Cóż będziemy dalej robić? Spocznijmy!

— Jak pan życzy...

— Zabieram pani czas?

— Ej, nie! Tylko pan się znudzi okropnie.

— Niema obawy. Chyba pani?...

Usiedli w bujnej trawie, w cieniu gruszy-emerytki. Kostusia machinalnie zrywała różnobarwne kwiatki wokoło siebie, Sewer patrzał na nią i milczał.

— Jutro i pojutrze, i dalej, i dalej potoczą się dnie zwyczajne! — ozwał się wreszcie. — Panią będę widywał zdaleka tylko, niedostępną! Czy pani ma swoje towarzystwo? Rozmawia pani kiedy z równymi sobie?...

— Jak trzeba, to rozmawiam.

— Ale dla przyjemności?

— Dla przyjemności z Kaziem!

— A jakież pani miewa rozrywki?

— Śpiewam sobie! Jeżeli jest czas i swobodne konie, to mnie wuj posyła do Stamierowa na mszę, w niedzielę.

— To pani zna Stamierów?

— A jakże. Znam też i ojczyma pana! Spotkałam go parę razy na plebanji.

— Podobał się pani? — spytał szyderczo.

— Nie, bo kłócił się z proboszczem o składkę i odmówił mu stanowczo!

— Tak. Pokazywał mi jednak w rachunkach paręset rubli na kościół! Gdzież pani bywa jeszcze?

— Bywam po folwarkach wuja i bywam daleko, aż na granicy Podgaju, u mamki swojej.

— Chciałbym tam pójść z panią.

Kostusia zaczęła opowiadać o drodze i okolicy. Potem, uśmiechając się łagodnie, mówiła o staruszce,

o długich wieczorach zimowych, o bajkach strasznych. Potem wspomniała o chorobie starowiny i troskała się, że jej odwiedzić dzisiaj nie mogła.

Nareszcie tak powoli odkryła mu swe życie, opisała zajęcia, gwarzyła o wszystkiem jak z dobrym, starym znajomym.

Potem on mówić począł, a ona słuchała z zajęciem. Opowiadał i on swe winy i błędy, swawole i burzliwe awantury młodości. Nie taił, że go ze szkół wypędzono za zuchwalstwo, że wykreślono go z pułku za niesforne życie i pojedynki. Wyznał, że długi miał, że z ojczymem prowadził wojnę. Naturę swą odmalował jej: zapalczywą, upartą, zuchwałą.

Ośmieliła się do tego stopnia, że go zganiła łagodnem słowem.

— To niedobrze! To wstyd gniewać się tak bardzo! Będą się pana ludzie obawiać i unikać!

— Co mi ludzie, nie dbam o nich. Oddałbym chętnie wszystkie światowe stosunki i mir tłumu za kogoś jednego, ktoby mnie pokochał! Wtedybym złagodniał, sądzę.

Wówczas przypomniała sobie Felę.

— Jak pan się ożeni, — rzekła — wszystko się zmieni na lepsze.

Zaśmiał się ironicznie.

— Zapewne, ale ja i ożenić się nie mogę! Żebym mógł! Kto się żeni, powinien dać swojej wybranej pozycję, byt spokojny, choćby dach nad głową!

A ja wszystkiego tego jestem pozbawiony... Nie mam ani domu, ani stanowiska — nic, oprócz długów i niedostatku... Na to kobiety kochanej uczciwy człowiek nie naraża!

— Czyż tylko bogaci mają być szczęśliwi — odparła zamyślona. — Pan, młody i silny, może stworzyć los sobie, świat przed panem otwarty.

— Pani myśli, że urząd lub posadę zająć mogę. Ha, ha, z moją naturą, nie znoszącą karbów? Niktby ze mną i ja z nikim nie wytrzymał! Byłby to tylko dalszy ciąg szkół i wojska! Poco próbować nawet

— Ale gdyby pan pokochał — toby się zmienił.

— Pokochać nie dosyć — trzeba być kochanym! A któż mnie pokocha, poznawszy, kim jestem i co ofiarować mogę. Każda kobieta odwróci się ode mnie z oburzeniem na wieść, żem bankrut i szaleniec!

Usiłował się zaśmiać i zwracając rozmowę na inny temat, spytał nagle:

— Dla kogo pani układa te kwiaty? Dla Kazia?

— Nie! Naco mu takie brzydkie ziółka!

— Dla mnie będą dość ładne.

— Naprawdę, podobały się panu? — spytała uradowana.

— Proszę bardzo o nie!

— Zbiorę panu ładniejszych.

— Nie chcę innych — rzekł prosząco.

Podała mu w milczeniu bukiecik, a on równie w milczeniu wsunął go do bocznej kieszeni.

Kostusię ogarnęło dziwne jakieś rozleniwienie. Raz pierwszy odpoczywała tak długo w dzień powszedni.

Słońce przestało dopiekać i ukośnie przez gałęzie grusz zaglądało ku nim. Dobrze jej było i bardzo lekko na sercu, zapomniała i o robocie, i o troskach różnych. Przesiedziałaby tak, gwarząc, długo, bez końca! Ale czas biegł, nie troszcząc się o jej życzenia. Razem ze słońcem przedarł się turkot daleki i przypomniał jej brutalnie rzeczywistość.

Porwała się żywo.

— Wujostwo wracają! — zawołała.

— Tak wcześnie! — rzekł, wstając opieszale.

Popatrzał na nią dziwnie, przejmująco i smutnie.

— Więc się nam już żegnać trzeba. Tak krótko! Rozejdziemy się, ale przecie już nie obcy jak dotąd. Niech pani tam, w pałacu, spojrzy na mnie czasami. Ale tak dobrze, poczciwie, szczerze! Wszakem pani nie obraził, nie rozgniewał?

— Jeszcze nikt nie był tak dobry dla mnie — uśmiechnęła się łagodnie, spoglądając ku niemu, jak tego chciał; tylko szczerzej, serdeczniej, słodziej stokroć, jak się spodziewał.

— Dziękuję pani!

Drżał mu nieco głos i drżały usta, któremi, pomimo oporu, dotknął jej ręki.

Nic więcej nie rzekł i szybko odszedł w stronę pałacu, a ona chwilę stała, zapatrzona nieruchomie

przed siebie jak człowiek, rażony zbyt silnem światłem. Potem zadumą i cieniem pokryła się jej pogodna twarz, a w oczach, do dna przejrzystych, prześliznęło się parę myśli rzewnych. Aż oprzytomniała zupełnie. Wzięła koszyki z jagodami i poszła ku pałacowi także, szukając po ścieżkach śladu jego stóp.

Tak to krótko trwało, a tak długo w pamięci zostało, tak minęło jak sen, a tak po przebudzeniu zostało wyraźne. Na wdzięczną rolę padło małe ziarenko, na pole bogate, a puste jeszcze.

Kostusia przeraziła się mnóstwem zaległej roboty. Pilno jej było schronić się do izdebki na strychu, więc ze zdwojoną szybkością załatwiała zajęcia.

Gdy przyszła do wieczerzy, spotkała na sobie oczy Sewera i odpowiedziała mu uśmiechem. Kazio spojrzenie to przejął i poczerwieniał, zresztą nikt na nią nie zwrócił uwagi, ale i ona tego dnia nie uważała na nikogo, zajęta raz pierwszy w życiu sobą samą. Gdy się znalazła nareszcie u siebie, na górze, długo zasnąć nie mogła, a długo przedtem się modliła. Dla umarłych swoich o niebo, dla Sewera o dobrą dolę, dla siebie o drugi taki dzień w życiu.

A ziarno, rzucone na rolę bogatą i pustą, kiełkowało powoli!

III.

Zdawało się Kostusi, że od tego dnia coś się zmieniło we dworze. Ciotka była opryskliwa i zawsze niezadowolona, Jadwisia niedelikatna w swych żartach, Fela nie do zniesienia impertynencka, Kazio niesłusznie obrażony.

Tak się jej tylko zdawało, bo wistocie otoczenie zostało jednakowe, tylko ona się zmieniła. Dusza jej jak więzień zapragnęła swobody, serce jej zamarzyło o własnem uczuciu, umysł jej począł się zastanawiać, pytać, badać, porównywać. Wstawała jak dawniej ze słońcem i jak dawniej przez dzień długi nie ustawała w robocie, tylko rzadziej śpiewała i rzadziej też uśmiechała się do ludzi.

Po owym dniu Sewer się dość długo nie pokazał. Mówiono w sąsiedztwie, że między nim a ojczymem zaszła straszliwa scena, ale tego po nim niktby nie poznał, gdy się zjawił w Podgaju. Wesół był i swobodny. Kostusia, jak zwykle, gospodarzyła na folwarku i nie spodziewała się go zobaczyć poza jadalnią.

Ale on ją śledził widocznie i dopilnował, gdy koło sztachet ogrodu kwiatowego przechodziła do pasieki.

Przechylił się szybko przez żelazne pręty:

— Byłem u mamki, — rzekł zcicha i prędko — lepiej się czuje i już na przyzbie stare kości wygrzewa. Powiedziałem jej, że nie mogąc sama, pani mnie odwiedzić ją kazała.

Od kląbu róż zawołał go głos Feli, więc ją niemem spojrzeniem pożegnał i zniknął. Ale tych słów parę było jak owe rosy niebieskie, co z źdźbła nikłego tworzą wielkie palmy i wpadły głęboko w sieroce serce Kostusi.

Tegoż wieczora Kazio zszedł się z nią na dziedzińcu i przemówił raz pierwszy od owej kłótni.

— Czy dawno już kochacie się z Sewerem? — spytał obcesowo.

Dziewczyna zbladła, śmiertelnie dotknięta.

— Ja ci, Kaziu, nic złego nie uczyniłam nigdy, — rzekła spokojnie — dlaczego mnie ranisz?

— Bom się zawiódł na tobie. Miałem cię za szczerą i prawą, przekonałem się, żeś fałszywa.

— Nie przekonałeś się, bo nie mogłeś, tylko obrażony się czujesz i korzystasz jak wszyscy z mego położenia.

Bezmierną gorycz miała w głosie. Chłopak się zmieszał przed spojrzeniem jej, pełnem dojmującego wyrzutu. Takiej Kostusi nie znał.

Ona, rozdrażniona, mówiła dalej:

Fałszywa nie jestem i nie mam z czem się ukrywać, bo nawet złej myśli względem was nie mam na sumieniu. Żeby prawdą było, coś mi rzekł, nie pytałbyś, bobym się nie kryła. Gniewasz się na mnie, powiedz, o co, a jeślim winna, przeproszę, ale nie dokuczaj i nie dręcz, bo to bardzo boli!

Głos jej się zachwiał. Nie chcąc, by dostrzegł łzy może, szybko odeszła.

Następnego dnia przy śniadaniu pan domu, przerywając rozmowę ogólną, spytał półżartem:

— Czy nie zauważyliście wczoraj czegoś szczególnego w zachowaniu się Sewera.

— Dlaczego? — spytano chórem.

— Bo Rudakowski ogłasza go za obłąkanego i przebąkuje o konieczności wzięcia pod obserwację.

— Nikczemna kreatura! Godny jego ten pomysł! — oburzył się Kazimierz.

— Toby było okropne! — zauważyła pani. — Przyznam się wam, że on miewa czasem straszne oczy.

— I ani myśli o tem, że to częste bywanie bez wyjawienia poważniejszych zamiarów staje się dla nas kompromitującem! — dodała ostro Fela.

— Jeżeli on warjat, to tem lepiej! — rzekła Jadwisia. — Przypuszczam, żebyś się za kandydata do Bonifratrów nie wydała!

— Możeby dać mu grzeczną listowną odmowę, mężu?

— Poczekajmy jeszcze. Źródło wiadomości jest bardzo nieczyste.

— Poważnych zamiarów, sądzę, że Sewer i tak nie żywi, — ozwał się Kazimierz — ale podobna insynuacja jest wprost potworna.

— Niech nie bywa zatem! — zawołała Fela, blednąc.

— Niech bywa! — zaprzeczyła Jadwisia — tak doskonale gra w krokiet i tak dzielnie czwórką koni powozi.

Kostusia od stołu z samowarem słuchała w milczeniu, nie przerywając szydełkowej roboty; była tylko bardzo blada i nie słyszała, jak i kiedy jadalnia się opróżniła, jak i kiedy lokaje uprzątnęli stół. Najczulsze oko nie dopatrzyłoby w jej czynach i wyrazie twarzy strasznego niepokoju, który ją wewnątrz pożerał.

Tak było tego dnia i innych — przez cały tydzień. Sewer nie przyjechał i nikt o nim nie wspominał.

W sobotę pod wieczór z ogromną radością i zdziwieniem ujrzała Kostusia przed sobą mamkę.

Objęła staruszkę za szyję, płacząc i śmiejąc się równocześnie, i dopiero po kilku chwilach spojrzała na nią uważniej i stanęła osłupiała. Baba miała na sobie nową spódnicę, nowe trzewiki, nowy kaftan, nową chustkę na głowie. Wyglądała młodsza o cały lat dziesiątek.

— Mamko — zawołała dziewczyna, oczom nie wierząc. — Skąd wzięło się u was tyle dostatków?

— To od ciebie, kwiatuszku, z twojej łaski! — odparła stara, ocierając oczy zapłakane. Dawałaś na leki i na chleb, a ja nie wierzę w leki, a chleba nie ukąszę, bom bez zębów. Więc za te grosze kupowałam sobie szatki do trumny. Myślę — niech mi ludzie choć po śmierci dostatków zazdroszczą! A tu tymczasem śmierć nie przyszła, więc sobie dziś pomyślałam: włożę te stroje i pójdę na swoją zazulę popatrzę! Ot, tak się i przywlekłam!

Kostusia zabrała ją z sobą do mleczarni, kupiła u siebie samej, a raczej u ciotki, mleka i nakarmiła staruszkę. Inaczej ugościć jej nie mogła. Potem zaprowadziła mamkę do siebie na górę, posadziła na łóżku, przykucnęła u jej nóg na stołku i jęła rozpytywać o zdrowie i potrzeby.

Baba zaręczyła, że zdrową się czuje i niczego jej nie brak, bo siedząc przy borze, ma i jagody, i grzyby, a dobrzy ludzie za leki zaniosą jej jadła do zbytku, tylko jej za zazulą nudno! Codzień nudno, a szczególniej w święto! Więc jęła prosić Kostusię, żeby jutro, przy niedzieli, przybiegła do niej na godzinę, choć na minutkę. Jagód jej nazbierała, placuszków upiekła i wygląda już trzy niedziele darmo. Tutaj we dworze, choć się zobaczą, to nie tak jak w chacie. Tutaj robota przerywa, czasu niema, a może kto i nie rad, że ona się włóczy, jakby wyszukiwała, co wziąć dla siebie. Tam, w chacie, spokojnie i dobrze. Pogawędzą swobodnie, na mogiły pójdą, za rodziców pa-

cierz zmówią, a potem przed zachodem słońca zazula wróci do dworu i nikomu z tego krzywdy nie będzie.

Tak prawiła, szorstką dłonią gładząc warkocze dziewczyny, aż Kostusia, przekonana najbardziej wzmianką o mogiłach, obiecała, że jutro, ranne swe obowiązki załatwiwszy, przyjdzie, jeśli ciotka pozwoli.

Stara podziękowała jej ze łzami, pogwarzyła jeszcze chwil kilka i ruszyła zpowrotem, przeprowadzona przez Kostusię do gościńca w obawie psów podwórzowych.

Odchodząc już, starucha jakby sobie coś przypomniała.

— Panicz Sokolik do mnie przychodził! Daj jemu, Boże, panowanie! Taki dobry jak słoneczko, taki miły jak miód, a ładny jak jagoda! Ławeczkę mi pod chatą własnemi rękami zrobił i smolnych szczep narąbał. Daj jemu, Boże, długi wiek i dolę!

Błogosławiąc, odeszła, a Kostusia, wzruszona i bardzo rozradowana, wróciła do dworu.

Po wieczerzy prośbę swą przełożyła ciotce. Pani miała ochotę stawiać trudności, ale wuj wmieszał swe słowo jak zawsze przychylne.

— Niech użyje swobody w święto. Robota nie ucieknie i ona jej nie da spleśnieć. I owszem. Pozwól jej bawić się, jak chce! Widocznie przekłada towarzystwo baby nad nasze! Nie trzeba się narzucać.

Kostusia pomyślała dużo na ten temat, ale nic nie rzekła na swą obronę i pocałowawszy wujostwo w rękę, wybiegła szczęśliwa.

Nazajutrz załatwiła wcześnie ranne roboty, odziała się w najlepszą sukienkę, zaplotła starannie włosy i wybiegła jak ptaszę z klatki na nieznaną prawie swobodę.

Z gościńca skręciła między zboża i miedzami, tonąc wśród złotych kłosów, dotarła do lasu. Las był ciemny, leszczyną i jerzynami podszyty, pełen ślicznych ustroni i tajemniczych zagłębień. Znała dobrze drożynę, co wiodła do opuszczonej straży na granicy, gdzie na nią czekała jedyna szczerze przychylna dusza. Biegła prędko, zazdrosna o każdą chwilę tej uciechy. Ogromne jej warkocze usunęły się na plecy, twarz zarumienił szybki krok i upał.

Nareszcie przez zielone sploty brzóz płaczących ujrzała mchem pokryty i wklęsły dach chatyny. Zatrzymała się chwilkę dla nabrania tchu i zanuciła na powitanie staruszce smętną ludową piosnkę:

Jak ja ciebie szczerze lubię,
Nie powiem nikomu,
Bo źli ludzie to rozniosą
Jako wiatry słomę!

Na głos jej od budy ktoś się poruszył i zaczął iść naprzeciw.

Zadrżała i stanęła jak wryta.

Po lesie rozeszła się żałosna nuta. Drugi głos odpowiedział jej następną zwrotkę:

Naco o tem komu wiedzieć,
Gdzie dziewczyny wrota,
Naco o tem komu wiedzieć,
Gdzie kocha sierota!

Przeciągłą i smutną melodję, od szumów jesiennych zapożyczoną, echem powtórzył bór ciemny. Kostusia przymrużyła oczy i słuchała, jak jej serce okropnie zabiło.

A śpiewak już stał przed nią i bez wstępu, jak zwykle czynił — rzekł szczerze:

— Stęskniłem się za panią i przyszedłem tutaj. Jeśli pani przykrość tem zrobiłem — pójdę precz!

Ona się uspokoiła z pierwszego wrażenia i spytała go poważnie.

— Dlaczego pan do Podgaja nie przyjechał?

— Dlatego, pani, że doszło do uszu moich, jakobym tam bywał w celu starania się o jedną z panien Odachowskich — o starszą mianowicie.

— Więc pan nie kocha Feli? — przerwała niespokojnie.

— Nie, pani. — Było mi nadzwyczaj przykro, żem naraził i siebie, i innych na fałszywą pozycję! W Podgaju dalej bywać nie będę.

— Należało to wcześniej uczynić! — rzekła poważnie.

— Zapewne, a może najlepiejby było, żeby noga moja tam nigdy nie postała. Ale los inaczej chciał, by mnie jeszcze nędzniejszym uczynić!

Zamilkł i szli kroków parę obok siebie w stronę chaty.

— Nie wyznałem jeszcze wszystkiego pani — ozwał się znowu. Na moje to prośby była wczoraj mamka u pani, a jam o świcie dzisiaj przyszedł, by się dowiedzieć, czy zobaczę panią. Proszę się o to na nią nie gniewać! Chciała mnie uszczęśliwić!

Kostusia nie wydawała się rozgniewaną. Rozświetlonemi dziwnie oczami spoglądała przed siebie na chatę samotną i na zgarbioną staruszkę, która zdaleka uśmiechała się do nich.

— Pozwoli mi pani spędzić z sobą te parę godzin? — spytał pokornie Sewer.

— Mnie dobrze z panem! — rzekła z prostotą, podnosząc ku niemu oczy, w których nie było cienia złej myśli.

Staruszka powitała ją ze łzami radości i poprowadziła przed chatę, gdzie na sosnowym stoliku stały jagody i mleko, czarny chleb i plaster miodu.

Zasiedli we troje do tej wieśniaczej biesiady. Kostusia, uśmiechnięta promiennie, na glinianą miskę nałożyła część dla Sewera, podała mu lipową łyżkę bialutką i zachęcała do spożywania przysmaków.

Sama ledwie dotknęła posiłku, rozmawiając wesoło i pokrywając udaną swobodą całe morze uczuć, co jej wzbierało w sercu.

Ogniste oczy Sewera czuła wciąż na sobie, głos jego, zwykle twardy, miał teraz szczególne dźwięki,

miękkie i pieszczące, a twarz smagła i zuchwała, w oświetleniu słońca, pod wrażeniem jakiemś rozkosznem, przybrała wyraz łagodny i marzący.

Kostusia zerwała się pierwsza od biesiady. Obejrzała chatę, ogródek malutki, a potem spojrzała wdal, za falujące łany zboża, i wskazując mamce pęk brzóz płaczących wśród pola, rzekła, nagle poważniejąc.

— Pójdziemy tam!

Starowina potrzęsła głową.

— Nie zdążam, zazulko! Próchno ze mnie zostało, ledwie stoję na nogach! Idźcie sami z paniczem, sokołem, a ja was doczekam się tutaj zpowrotem!

Kostusia zawahała się przez chwilę. Żal jej było starą opuścić, żal też nie odbyć pielgrzymki. Wreszcie uścisnęła swą opiekunkę i poszła z Sewerem.

Wkoło zboża rosła moc kwiatów polnych: złocieni, bławatków, ostróżki dzikich powojów. Sewer je zrywał i podawał, a ona wiązała wianek misterny. Głowy ich tylko wyzierały nad złote morze kłosów i wynurzyli się dopiero u brzóz owych, otaczających wieńcem stary, opuszczony cmentarzyk wioskowy. Ogrodzenie dawno opadło i drogę doń zaorano, a zboże wciskało się prawie między resztki spróchniałych krzyżów, dotykało grobowych kamieni.

Obeszli cmentarzyk, a potem usiedli na skraju pola pod płaczącemi splotami brzozy.

Chwilę słuchali monotonnego szmeru, a kłosy ciężkie chyliły się im pod stopy.

— Czy Kazimierz był tutaj z panią? — spytał Sewer.

— Był! — odparła zamyślona.

— I powiedział to, co rzec powinien?

— Co takiego? — spytała, podnosząc nań oczy.

— To, co człowiekowi, kochającemu sierotę, między grobem jej ojca i matki — gwałtem z serca się ciśnie.

— Pożałowanie?

— Nie. Gwałtem się ciśnie z serca, by sierotę tę wziąć w ramiona, utulić i powiedzieć: za ojca i matkę i za to wszystko dobre, czego ci życie nie dało, ja stanę! W duszy mojej masz wszystkie przywiązania; w sercu dom własny, gdzie się upokorzenia i troski nie znajdą. Niczego nie posiadasz — weźże mnie sobie na własność.

Gdy mówił, łuna zstąpiła mu na twarz, a w oczach świetnemi skrami rozsypało się głębokie uczucie.

Kostusia zbladła jak dzikie powoje i łzawe źrenice podniosła ku niemu. Słuchała — jakby jej aniołowie grali. Bez głosu była, bez ruchu, przejęta, cicha, cała promienna.

— Nie powiedział tego pani Kazimierz, — mówił Sewer dalej — więc chyba go pani nie kocha!

— Wszystkich ich kocham — szepnęła zmienionym głosem. — Za łaski ich gotowam im nieba przychylić, ale oni mi nie właśni, nie swoi.

Sewer pochylił się ku niej. Rękę jej wziął w swoją i kładąc na swem sercu — rzekł głuchym szeptem:

— I to twoje! Chcesz je?

Pod dłonią jej jak dzwon rozkołysane biło serce chłopaka.

Usta jej nie wydały głosu, tylko spojrzała na niego i bezwiednie głowę swą oparła na jego ramieniu. On się nie poruszył, jakby to miejsce i to ciche wyznanie natchnęło go wielką czcią i szacunkiem. Nie objął jej namiętnie, nie całował i tylko dłoń jej wciąż u serca swego trzymając, poważny i skupiony, milczał, zapatrzony marząco przed siebie.

Nie wiedzieli, ile czasu minęło w ten sposób. Może chwila, może godzina.

On nareszcie oprzytomniał i schylając się ku niej, spytał:

— Kochasz mnie, Kostusiu?

Przymknięte oczy podniosła ku niemu i z widocznym wysiłkiem wyszeptała.

— Chciałabym umrzeć za pana!

— I weźmiesz mnie sobie na własność?

— Wezmę i nigdy nie opuszczę!

— A jak zginę, zachowasz w sercu?

Podniosła głowę, ocucona nagle.

— Ja pana nie dam zgubić!

— Dolę moją znasz i nie masz żalu do mnie, że ciebie do niej wciągam, na łzy tylko może?

— A jakżebym panu dowiodła, że pana kocham! Szczęście będzie pan miał łatwo z kim dzielić, a nieszczęście do mnie tylko należy. Moje ono, moje własne

— Jak duszę własną ciebie kocham! — szeptał gorąco — nic ci dać nie mogę, ani domu, ani bytu, ani spokoju! Może wiele czasu minie, zanim cię żoną nazwę. Nie lękasz się takiego losu?

— Ja się tylko lękam o pana. Wyhodowała mnie zła dola, wyniańczył trud. Nie boję się niczego!

— O, moje ty wszystko! — wyjąkał, pochylając się tak nisko, aż ustami dotknął skraju jej sukienki.

Kostusia usunęła się nieco!

— Ostatnia byłam, — rzekła — a pan mnie z królami zjednał. Dlaczego mi pan dziękuje?

— Bom i ja najnędzniejszy był, a oto mi teraz szczęśliwość w piersi się mieści. Bądź za to błogosławiona!

Kostusia wstała i wróciła do matczynej mogiły. Znowu uklękli obok siebie i Sewer, ujmując rękę dziewczyny, rzekł uroczyście:

— O, matko, sierotę twoją za skarb sobie biorę, za kochanie, za świętość, za żywot cały. Póki sił i życia, nie opuszczę jej w złej i dobrej doli. Ty nas z za świata pobłogosław, ty nas z za świata strzeż i ochraniaj!

Kostusia powtarzała za nim, zapatrzona w białe obłoki, duszą całą przejęta.

Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy wrócili do chaty.

Stara mamka spostrzegła zmianę na ich twarzach, ale nic nie rzekła, zajęta ugaszczaniem i gawędą. Ale

oni jeść nie chcieli, gawędzić nie mogli, a wkrótce Kostusia, ku słońcu żałośnie patrząc, zabrała się do odwrotu.

Baba odprowadziła ją do pierwszych drzew, Sewer towarzyszył przez cały las.

Szli blisko siebie, coraz smutniejsi, w miarę zbliżania się do Podgaju mówili coraz mniej, czując ściskające się serca i bezmierną rozpacz rozstania. Nareszcie u końca lasu Kostusia stanęła.

— Pójdę już sama — szepnęła bohatersko.

Podali sobie ręce i wtedy dopiero, pod wpływem żalu i tęsknoty, oczy młodzieńca zaczęły ją prosić o coś, gorące, smutne, rozkochane.

Ona zrozumiała tę niemą prośbę i bardzo blada, jak zwykle, gdy była wzruszona, przytuliła się do jego piersi.

Pochyliła się, i słowa nie mówiąc na dolę wspólną, a ciężką, dał jej pierwszy pocałunek.

— Kiedy cię zobaczę, najmilsza? — spytał cicho.

— Nie wiem — odparła smutno.

— Nie wytrzymam długo — skarżył się.

— Przyjdę do mamki.

— A jeśli cię nie uwolnią?

— Przyjdę, bo panu będzie smutno.

— Powiedz mi; Sewer, na rozstanie... — prosił.

Cichutko nazwała go po imieniu.

— Pójdę już — rzekła z wysiłkiem.

Raz jeszcze do piersi ją przycisnął i odeszła.

Obejrzała się za nim i uśmiechnęła się rzewnie zdaleka, potem go przed jej wzrokiem zboża zakryły.

Od tego dnia Kostusia stała się jeszcze słodszą, jeszcze cierpliwszą. Robota paliła jej się w ręku, domowi zwalczeni byli jej uprzejmością i dobrocią. Ciotka nie potrafiła się gniewać nawet, a wuj pewnego dnia z uśmiechem zauważył.

— Ładny motyl będzie z Kostusi-poczwarki. Skąd ona czerpie ten swój humor złoty i takie uśmiechy? Słowo daję, udała mi się wychowanka.

Wobec Feli tylko chwiał się humor Kostusi i z Kaziem dawne swobodne stosunki nie mogły się nawiązać. Fela posępna była i o lada co rozdrażniona. Kazio pamiętał ostatnią rozmowę i nie ośmielał się rozpocząć jej na nowo. Potrosze czekał, aż go Kostusia przeprosi. Ale Kostusia już duszą i ciałem nie żyła w Podgaju, tylko pozostała na skraju cmentarzyska, wśród pól, a myślą szła za ukochanym. Nie pamiętała sporu z Kaziem, nie zajmowały jej rozmowy i sprawy rodzinne opiekunów, świat jej myśli, dotąd tak ciasny jak dworskie obejście, rozszerzył się poza ziemi krańce, do gwiazd sięgał.

Pracowała żarliwie, bo była nadmiernie szczęśliwa, ale bez żadnego zajęcia i uwagi spełniała obowiązki, a pokończywszy dzienne zatrudnienia, nie szukała towarzystwa i rozrywki, ale w izdebce swojej czuwała czasem do rana, śniąc na jawie cudne sny, po raz setny przechodząc pamięcią wrażenia doznane.

Z rozmów przy śniadaniu i obiedzie zrozumiała, że Sewer nagłem zerwaniem swojem stracił mir w Podgaju. Odzywano się o nim z niechęcią, krytykowano ostro, ciotka i Fela nie taiły oburzenia. Dziewczynie ściskało się serce, ale milczała, owładnięta strachem, by obroną swoją nie zdradziła uczucia, świętości nie oddała na łup drwinom i żartom.

Tak upłynęło dni kilka.

Pewnego popołudnia Kostusia zajęta była wśród grząd warzywa, rozmyślając, jak w niedzielę uwolni się znów do mamki. Dzień się ku wieczorowi pochylał. Wśród zieleni jarzyn smukła postać pracownicy odcinała się ostro i powabnie. Śpieszyła, by robotę do wieczora ukończyć.

Szarawy zmrok zstępował na ziemię. Wdali, za płotem, ktoś gwizdał zcicha.

Zrazu Kostusia nie zwróciła na to uwagi, zatopiona w swych myślach. Rozbudziła ją melodja znanej, ulubionej piosenki:

Naco mają ludzie wiedzieć,
Gdzie dziewczyny wrota;
Naco mają ludzie wiedzieć,
Gdzie kocha sierota!

Wyprostowała się i zapominając o sobie, słuchała nieruchoma, drżąca.

Gwizdanie ciche było i wyraźne, ale ją coś tknęło i jak czarem wiedziona, poszła w tę stronę, w zarosły chmielem zakątek ogrodu.

Mrok gęstniał. U płotu wysmukły cień człowieka czekał, drżąc nerwowo. Gdy się ukazała, gwizdanie ucichło.

— To pan! — wyszeptała radośnie.

— Tak, to ja, twój Sewer, a nie pan! Trzeci dzień naprożno tu czatuję!

— O, Boże! Pieszo, tyle mil, aż ze Stamierowa.

— Cóż to znaczy! Szedłbym do ciebie przez pustynie, morzem przepływał... Tyle dni, Kostusiu! Myślałaś o mnie trochę?

— O niczem innem! W niedzielę miałam być u mamki.

— Przeczuwałem, i dobrze, żem cię zobaczył pierwej. W niedzielę nie będzie mnie tutaj.

— Pojedzie pan, daleko? — zagadnęła ze smutkiem?

— Pojadę do miasta. Wytaczam proces ojczymowi.

— Niech pan tego nie czyni! To takie okropne — zawołała.

Spojrzała mu błagająco w oczy i aż się przestraszyła, tyle w nich było dzikości, tyle uporu i zuchwalstwa w całej twarzy.

— Dlaczego? — odparł ponuro — chcesz chyba mojej śmierci!

— O, Sewerze! — wyjąkała, zapominając w żałości swej o trudzie, z jakim jej przychodziło nazwać go po imieniu.

— Zapewne — powtórzył, zapamiętały i rozdrażniony okropnie. — Bo jeżeli mnie Rudakowski nie otruje, czego się codzień spodziewam, to sam sobie łeb rozsadzę. Jestem w położeniu osaczonego odyńca, nie dziw, że się rzucam jak wściekły! Mam długi, które spłacić muszę. Podłe długi, na szaleństwa zaciągnięte, ale dla mego sumienia święte! Matka uposażyła mnie przecie i uposażenie to mieć chcę i mieć będę. Kiedym był sam, trapiony przez ojczyma, chciałem i gotów byłem śmiercią skończyć. Teraz nie jestem sam i jak reszta ludzi pragnę szczęścia, potrzebuję spokoju! Od niedzieli myślałem dużo... Żyć bez ciebie już nie potrafię, znieść myśli, że ty tu marnujesz się w poniewierce, nie zdołam. Kryć się i jak złodziej kraść chwilę szczęścia ohydą mi jest. Ja wiem, żeś ty gotowa jest wszystko znieść, ale nie chcę, byś znosiła, byś widywała mnie pokryjomu, a cierpiała potem zdaleka ode mnie choć chwilę jeszcze!...

Głos mu się urwał, wyczerpany wybuchem. Dyszał szybko i zmieniony do niepoznania dzikim buntem, był straszny prawie...

Kostusi zgroza i rozpacz odebrały mowę i przytomność. Takim go nigdy nie widziała; w głowie szumiało jej, a pulsy uderzały gorączkowo...

A on po chwili wybuchnął znowu, jeszcze dzikszy.

— Gadałem z tym... z tym łotrem. Mówiłem spokojnie, żądając zamiast połowy dochodów — ka-

wałka ziemi w matczynym majątku. Własnemi rękami postawiłbym chatę i chleb czarny jedlibyśmy, ale razem! Odmówił mi wszystkiego! Więc pójdzie teraz między nami bój na śmierć i życie i albo on marnie przepadnie, albo ja! Nikt i nic mnie nie powstrzyma, nawet ty!

Ale ona odzyskała przytomność i uczuła w sobie wielką odwagę i siłę. Chodziło tu przecie o niego, o jego całą przyszłość może. Zmierzyła go wzrokiem, którego on też nigdy u niej nie znał: surowym, jasnym, a jak stal silnym.

— Nie zrobisz tego, Sewerze! — rzekła poważnie i stanowczo — bo nie masz prawa siebie na zgubę, a mnie na rozpacz narażać! Nie zrobisz tego!

Popatrzał na nią złowieszczo. Widziała, jak fala burzliwa wzdymała mu piersi, gorąca łuna objęła twarz zmienioną. Widziała też, jak odbiwszy się o jej oczy jak o skałę, cofnęła i opadła. Poczuła wtedy swą potęgę, zrozumiała moc nad jego duszą i natchnieniem miłosnem wiedziona, postanowiła władzę tę utrzymać.

— Nie zrobisz tego, — powtórzyła z naciskiem — bo wiesz, że mi przez gwałty i skandale szczęścia nie zapewnisz! Kochać cię więcej, jak kocham, nie potrafię, ale chcę cię człowiekiem kochać, a nie szaleńcem, jak zwierzę zapamiętałem! Będziesz cierpliwy, Sewerze!

Milczał. Nie widziała w cieniu twarzy jego spuszczonej, a bystre jej ucho słyszało, że pierś jego już

nie pracowała gorączkowo, a ręce, któremi szarpał gałęzie i płotem wstrząsał, opadły, jakby zawstydzone.

Ona wciąż gromiła go wzrokiem, i już ciszej, łagodniej, z rzewnym wyrzutem mówiła dalej:

— Nie zrobisz tego, Sewerze! Bo żebyś tak uczynił, zadałbyś mi ranę serdeczną, tak głęboką, że całem życiembyś jej nie zagoił. Na dolę złą i dobrą mnie sobie wziąłeś, niech więc tą złą dolą będzie dla nas czas tęsknoty i czekania, ofiar i poświęcenia. Tak nam Bóg dał i to nas uszlachetnia. Ale gdy przez gwałty i sprawy publiczne zechcesz nam stwarzać szczęście, to już nie zła dola będzie, ale grzech i bunt. Na toś mi nie ślubował, ja tego nie chcę ani ci na to nie pozwolę.

Sewer wciąż milczał.

Przysunęła się do niego tak blisko, jak na to płot pozwalał i wyciągając dłonie, dotknęła jego ramienia.

— Będziesz cierpliwy dla mego spokoju i szczęścia, Sewerze — szepnęła słodko i łagodnie.

— Będę! — rzekł głucho, poskromiony zupełnie.

Podniósł oczy i ośmielony jej tonem, przemówił wahająco.

— Ludzie, gdy szaleję, drżą przede mną. Krew mi oczy i mózg zasłania. Zamordować mogę! Co ty za potęgę masz i skąd czerpiesz odwagę?

— Nie zamordujesz mnie, bom twoja, — odparła ze smętnym uśmiechem — a nie boję się ciebie, boś mój!

— Przyjdziesz do mamki? — spytał.

— Przyjdę.

— Nie gniewasz się na mnie?

— Nie, najdroższy.

Zdala rozległo się wołanie głośne. Kostusia przechyliła się ku niemu, uścisnęła za rękę i zniknęła jak duch. Szukano jej oddawna, przetrząsano wszystkie kąty. Nie zauważyła, że wieczór już był zupełny, zapomniała o robocie niedokończonej.

Gdy przybiegła do pałacu, znalazła już wszystkich przy wieczerzy, której zastawy raz pierwszy w życiu nie doglądała osobiście.

— Gdzieżto byłaś? — spytała ciotka.

— Przyznaj się, że na schadzce! — żartował wuj.

— Z rządcą! — dodała Jadwisia.

— Ty pewnie myślisz, że to bardzo świetna partja i urządzasz pościg na kawalera! — syknęła Fela.

Kazio milczał, tylko bardzo badawczo w oczy jej patrzał. Zdawało się Kostusi, że wzrok ten czytał w jej sercu i oczekiwał z jej ust kłamstwa.

Ale ona, spokojna, tylko bledsza niż zwykle, odparła ciotce:

— Byłam zajęta w ogrodzie i nie słyszałam wołania. Przepraszam, ciociu.

Żartów panienek i wuja jakby nie słyszała, może nie słyszała istotnie.

Zajęła swe miejsce i jak codzień od niejakiego czasu, udawała, że je, podczas gdy pokarm nie szedł jej do gardła, ściśniętego doznanemi wrażeniami.

I poszła znowu do pracy i nie zdradziła niczem, że obowiązki te torturą dzisiaj były, że rozmowy obojętne kosztowały ją niesłychanie, że znękana była, zmęczona, wyczerpana okropnie.

Tej nocy nie zasnęła wcale. Pomimo obietnicy Sewera, trapiła ją troska, niepokój, przeczucie może. Wstrząsał nią dreszcz nerwowy, to znowu chłód śmiertelny ogarniał. Chciała wierzyć w pomyślność, chciała pokrzepić się nadzieją — nie mogła, i tak zmorą męczona, przetrwała do rana.

Nazajutrz rano wuj wyjechał do gospodarstwa i dość długo czekano nań z obiadem. Wrócił bardzo chmurny i milczący i zaraz po obiedzie zamknął się z żoną w gabinecie.

Kostusia zajęta była w spiżarni, gdy ją lokaj wezwał do pałacu. Pan jej potrzebował. Zdziwiona, zostawiła robotę i poszła prędko. Wuj ją spotkał na ganku, nic nie rzekł, tylko skinieniem wezwał do gabinetu, sam za nią wszedł i drzwi zaryglował.

Dziewczynie serce poczęło bić gwałtownie, gdy ujrzała ten wstęp i ciotkę na fotelu. Poczuła, że ją coś spotka złego.

— Ładnych się rzeczy dowiadujemy o tobie! — wybuchnęła pani, ale mąż ją skinieniem zreflektował i stając przed dziewczyną, spytał surowo, ale spokojnie!

— Powiedz mi, co za stosunki łączą ciebie ze Stamierowskim?

Kostusi nawet usta zbielały, ale się nie zawahała na chwilę. Natura to była, co drżała w niepewności, ale oko w oko z groźbą stawała się nieustraszoną.

— Pan Stamierowski jest moim narzeczonym! — rzekła.

— Czemuż nie powiesz: kochankiem! — syknęła ciotka.

Oczy dziewczyny zapałały.

— Bo nim nie jest! — odparła dziko.

— Dajże mi ją wybadać, Malwino! — przerwał pan. — Więc Stamierowski ma się żenić z tobą. Czemuż się z tem do mnie, twego opiekuna, nie udał i czemu ty tego nie uczyniłaś, zamiast urządzać z nim sekretne schadzki, o których cały świat wie, oprócz nas!

— Schadzek nie urządzałam. Spotkałam go przypadkiem zeszłej niedzieli...

— Przypadkiem! — powtórzył wuj szyderczo — u mamki, w lesie, gdzie nigdy prawie nie bywasz, spędziliście we dwoje dzień cały, włócząc się po polach! Moja droga, jeśli chcesz mi oczy zamydlić, szukaj logiczniejszych wykrętów.

— Nie umiem się wykręcać! — odparła coraz spokojniej. — Nie wiedziałam, że go zastanę u mamki. Byliśmy sami dzień cały, ale nie włóczyliśmy się nigdzie, tylko na grób matki i na to pole, gdzie ojciec leży.

— A potem nie widziałaś go więcej?

— Widziałam się z nim wczoraj, tutaj, w ogrodzie.

— W ogrodzie? Jest, sądzę, dość bram w Podgaju i wszystkie dla niego otwarte! Opłotkami chodzą tylko złodzieje i łotry. Tak, mam go za łotra, gdy bałamuci biedną dziewczynę, obiecując jej rzeczy, których nie spełni.

Kostusia poczerwieniała nagle.

— Wuj ma prawo mnie karać, ale nieobecnego błotem obrzucać, to wstyd! — zawołała, rozdrażniona do ostateczności. — Wuj mnie pytał i powiedziałam wszystko. Ale człowieka, którego kocham, nie tykajcie, bo on mi święty!

— Wyrodku! — krzyknęła ciotka. — Śmiesz podobne rzeczy mówić wujowi, który cię łaską swą wychował, za awanturnikiem i przybłędą!

— Śmiem! — zawołała Kostusia, cała drżąca. — Ten człowiek dla cioci jest awanturnikiem, dla mnie najdroższym skarbem, wszystkiem na świecie, i nie dam go lżyć, nie dam go sądzić fałszywie, nie dam krzywdzić.

— Milcz! — krzyknęła pani w furji.

Wuj, zasapany, gniewny, biegał po pokoju.

— A ja ci nie dam go kochać, za nim latać! — zawołał wreszcie, stojąc przed dziewczyną i piorunując ją głosem i wzrokiem. — Zabraniam ci go widywać i porozumiewać się w jaki bądź sposób, aż do czasu, gdy uczciwie i legalnie poprosi o twoją rękę. Rozumiesz? Wstyd i hańbę mi przynosisz! Za wszystko,

com dla ciebie zrobił, tak płacisz? Ładny przykład dajesz moim dzieciom, a takaś zakamieniała, że całej brzydoty postępku nie czujesz, żalu nie okazujesz! Jak szatan jesteś zła i jak szatan uparta! Ale ja cię złamię, zobaczysz! Idź sobie już. Nie mogę patrzyć na ciebie. Zawiodłaś mnie okropnie!

Kostusia skierowała się ku drzwiom, zatrzymała się jednak wpół drogi, podeszła do wuja i milcząc, pocałowała go w rękę.

Uczuł ochotę, jak zwykle, pogładzić ją po głowie. Złość miał prędko gasnącą, a serce dobre. Wczas się jednak obejrzał i surowo upomniał:

— Przeproś ciotkę!

Ale Kostusia potrząsnęła głową! Nie, nigdy nie pocałuje ręki, nie daruje, ciotce nawet, tego słowa, co jak plwocinę rzuciła jej w twarz.

Wuj karcił, wuj dotknięty był i rozżalony, wujowi potrafi zapomnieć; policzek ciotki do śmierci zapamięta.

Tem znowu rozdrażniła wuja. Była już na progu, gdy zawołał gwałtownie:

— Ażeby mi się ta czarownica faktorka nie pokazywała na oczy, bo ją psami ze dworu wyszczuję. Już ja się z nią porachuję.

Trzy dni nie widziano Kostusi u wspólnego stołu i nikt o nią nie spytał. Zajście doszło do wiadomości panienek i Kazia, wzbudzając straszne oburzenie.

Gdy jednak Fela wspomniała coś o niem, ojciec, zwykle słaby dla dzieci, podniósł głos groźnie.

— Milcz i pilnuj swego nosa! Uwag i zdań nikt tu nie będzie wyrażał! To do nikogo z was nie należy.

Odtąd kwestji tej nikt jednem słowem nie poruszył.

I do służby coś doszło, i po całym dworze rozpełzło. Kostusia czuła to po zachowaniu swych podwładnych, po hardości lokajów, garderobianych, lekceważeniu szafarki.

O, przez te dni nauczyła się wiele, poznała ludzi, pochowała wiele iluzyj. Takie dni za lata starczą. Pod pręgierzem stała i palącemi ogniami ją obłożono. W ogniach tych opalały się małostki i słabość, a tylko, co stalą i złotem było, zostało nietknięte, hartowniejsze i czystsze!

— Ani na chwilę się nie ugięła pod ciosem. Nie dojrzał nikt w jej oczach łez, w jej postępowaniu zmiany. Jak dawniej wstawała o świcie, pracowała do późnej nocy. Bezsenność tylko i brak pokarmu zmizerowały ją zupełnie. Rysy miała zaostrzone, twarz bez rumieńca, oczy rozszerzone i błyszczące.

I wśród tych upokorzeń i cierpień dwa tylko bóle czuła, że zawiodła Sewera w niedzielę i że naraziła mamkę. Co się z nimi dzieje? Ze staruszką szczególnie, osłabioną i napół ledwie zdrową!... To ją ciągle męczyło.

Po kilku dniach spotkała wuja na dziedzińcu, usunęła mu się trwożnie z drogi. Ale on spojrzał na nią i stanął.

— Dlaczego nie przychodzisz do stołu wspólnego? — spytał.

— Dziękuję, wuju, — rzekła spokojnie. — Poco mam swoją osobą posiłek wasz truć, a dzieci wasze zły przykład mieć przed oczami!

— Warjatka jesteś i basta! Żem cię wykrzyczał, wielka awantura. Matka mi cię oddała i pilnować będę, ale żebyś jak trędowata żyła, nie pozwolę! Herbaty od trzech dni pić nie mogę, a podczas obiadu ciągle czegoś brak! Przychodźże jak dawniej!

— Słucham wuja! — rzekła obojętnie.

Przyszła, ale porwanych raz ogniw życiowych niesposób nawiązać i umarłe uczucia nie wskrzesną. Ona jak głaz była niema i zimna, rodzina względem niej nieswoja i skrępowana. Rozmowa szła kulawo, do niej nikt się nie odzywał, nie patrzano nawet w tę stronę.

Dopiero, gdy wstano od stołu i wszyscy wyszli, Kazio pozostał niby pod pretekstem wypalenia papierosa i z pod oka śledził ją, gdy sprzątała w bufecie...

— Kostusiu! — szepnął wreszcie.

Spojrzała na niego pytająco, chłodno.

— Ty mnie pewnie masz za nędznika, żem cię opuścił w tej chwili! — mówił dalej.

Potrząsnęła głową.

— Nie oczekuję od nikogo ofiar ani względów!

— Owszem, masz prawo ich wymagać nawet ode mnie. Zawiniłem względem ciebie przez głupią,

obrażoną próżność i z całego serca cię za to przepraszam. Chciałbym, żebyś mi nie odbierała swej przyjaźni! Darujesz mi, Kostusiu!

— Nie miałam do ciebie ani przez chwilę żalu — odparła, uśmiechając się boleśnie!

— Dziękuję ci! Na dowód, żeś mi serca nie odebrała, powiedz, co mogę zrobić dla ciebie.

— Dla mnie, nic!

— Więc dla niego może! — szepnął jeszcze ciszej. — Możesz mną rozporządzać i zaufać jak zawsze, jak dawniej.

— Kostusia stanęła u okna i długo, zamyślona, patrzała przed siebie w próżnię, pasując się widocznie.

— Poproszę cię tylko o opiekę nad mamką, żeby jej z mego powodu nie skrzywdzono! — rzekła.

Bądź o nią spokojna! — upewnił. — A więcej niczego nie chcesz?

— Nic. Dziękuję ci. On mnie nie opuści.

Kazio westchnął nieznacznie.

— W każdym razie pamiętaj, Kostusiu, że masz we mnie wiernego sprzymierzeńca i jeślibyś mnie potrzebowała, spełnię twą wolę z radością. Wszakże my dawni koledzy.

Starał się uśmiechnąć, ale nie zdołał.

Pożegnali się milczącym uściskiem dłoni i rozeszli każde w swoją stronę, pokrzepieni jednak wewnętrznie tym braterskim sojuszem!...

IV.

Sewer w niedzielę, o świcie, stawił się w chacie mamki. Stara gorzej się czuła znowu i leżała, skarżąc się na łamanie w kościach i niemoc ogólną. Chwilę z nią pogwarzywszy, zostawił zasiłek pieniężny i poszedł na spotkanie Kostusi aż do miejsca, gdzie przeszłym razem się rozstali. Tam czekał długo, myśląc, jak ją powita, jak radośnie spędzą dzień cały.

Tymczasem słońce wzbiło się wysoko, a dziewczyny widać nie było. Sewer, zaniepokojony, spojrzał na zegarek i znowu do chaty zawrócił, pocieszając się myślą, że mogła przyjść inną drogą.

Ale i w chacie Kostusi nie było.

Ciężkie myśli obległy serce chłopaka. Niezdolny miejsca zagrzać, poszedł na cmentarz, posiedział chwilę na wale, gdzie wówczas razem byli, obszedł ścieżki wszystkie, które z nią przebywał i o południu znowu zajrzał do chaty — napróżno.

Wówczas, targany niepokojem i zawodem, po raz wtóry poszedł drogą przez las aż do skraju pola. Popatrzył na Podgaj, poczekał jeszcze godzinę i po-

tem poszedł do dworu, czając się wśród zbóż, zapadając po rowach. Dotarł chmielników i tam się ukrył, naglądając, nasłuchując. Od czasu do czasu zcicha gwizdał. Tak do późnej nocy czekał, dręczony złem przeczuciem. Ale Kostusi nigdzie nie dojrzał, nigdzie nie dosłyszał.

Noc była, gdy zdecydował się odejść nareszcie.

Powracał pieszo, znękany i rozdrażniony. Gorycz poruszała mu męty w duszy. Krew szalona poczynała jak wrzątek kotłować, nasuwając mu złe myśli i dzikie uczucie wściekłości. Zaczął złorzeczyć w duchu, że posłuchał Kostusi, zaczął powracać do zażegnanych przez nią projektów, marzyć o zemście i walce z ojczymem.

Szedł prędko, mrucząc złowieszczo. Ręce zaciskał machinalnie w pięści, gryzł wargi spieczone, a na czoło od gorąca krwi wzburzonej występował mu pot kroplisty.

Głupcem był, że jej uległ, głupcem, że cierpliwość obiecał. On i cierpliwość. Zawiodła go, nie z własnej woli zapewne, ale z siły rzeczy samej. Niewolnicą była, a kiedyż niewolnik może obietnicy najświętszej dotrzymać. I tak będzie dalej, tak będzie zawsze, jeśli on do czynu się nie weźmie! Czyn zaś w pojęciu Sewera był to wybuch, druzgocący wszystko, co śmiało mu stanąć na drodze.

Zrodzony z ojca, niesłychanie gwałtownego i matki wrażliwej i nerwowej, właściwości te odziedziczył.

Pieszczony bardzo w dzieciństwie, spotęgował je do możliwych granic. Gdy stracił ojca, a matka zapomniała o nim, ogarnięta nowem uczuciem, gdy do domu, gdzie on dotąd był władcą i bożyszczem, wszedł obcy człowiek i zepchnął go brutalnie na ostatnie miejsce, gdy go zaczęto poniewierać i karcić o byle co, wady te dorosły namiętności, zagłuszyły wszelkie dobre instynkty. Nabył jeszcze mściwości i zaciekłego uporu, wybuchy szału graniczyły prawie z obłędem.

Wcześnie opuścił dom zohydzony. Po świecie dokazywał i broił. Wieści, które dochodziły do matki, zniechęciły ją zupełnie do syna. Rudakowski umiał to wyzyskać. Sprawiało mu to piekielną radość, gdy krnąbrnego młodzieńca doprowadzał do wybuchu; pastwił się nad nim z upodobaniem, ufny w swą siłę i stanowisko. Że go dotąd nie doprowadzał do samobójstwa, było szczególnem zrządzeniem losu. Dziwił się temu Rudakowski, może pragnął w głębi duszy.

Ale Sewer się nie zabijał, bo Sewer miał długi, a pomimo wszelkich swych wad, Sewer był uczciwy!

Miłość, co go ogarnęła raz pierwszy tak potężnie, przez czas jakiś ułagodziła niesforną duszę: scichł i spokorniał; okropne sceny, które wrzały w Stamierowie, urwały się nagle. Sewer wątpił, Sewer żył w niepewności uczucia Kostusi, roztargniony był i obojętny na świat cały. Osiągnąwszy wzajemność, zapragnął całkowitego szczęścia; zły demon obudził

się wobec oporu ojczyma. Teraz, po zawodzie ostatnim, gotował się straszny wybuch.

Żebyż Kostusia tam była, Kostusia ze swą słodyczą miłości, ze stanowczością bohaterstwa. Ale Kostusi nie było owego ranka, gdy Rudakowski ostatni już bój stoczył z pasierbem.

Krótko trwał bój. Sewer już nie parlamentował, nie przekładał swych potrzeb, nie rezonował. Krew zalewała mu oczy i mózg.

— Oddasz mi, złodzieju, coś ukradł przez tyle lał swej gospodarki na mojej ziemi! — wołał ochrypłym głosem.

— Dość masz, że ci kawałek chleba rzucam z tej ziemi z łaski, bo to wszystko moje! — krzyczał ojczym.

— Zapłacisz moje długi?

— Ani szeląga, rozpustniku!

— Dasz mi część majątku?

— Nic nie dam! Matka cię przeklęła; jesteś przyczyną jej śmierci!

— Będę więc przyczyną i twojej, psie! — ryknął Sewer.

Rzucił się na niego, do gardła, jak zwierz. Twarz miał wykrzywioną i straszną, w oczach obłęd, na ustach pianę. Odrazu powalił na ziemię przeciwnika i dławiąc go, sam chrapał jak zdławiony.

— Ludzie! Ratunku! — wybełkotał Rudakowski.

Służba wpadła ze wszech stron, rzuciła się panu na pomoc. Powstała okropna scena.

Dziesięć rąk oderwało Sewera od ofiary, ale wtedy on jak odyniec począł się sam bronić. Siły miał nieludzkie w takich razach. Padali ludzie jak snopy, rozlegały się jęki, hałas łamanych sprzętów, klątwy, wrzawa.

Rudakowski podniósł się z ziemi, na dziedziniec wyskoczył. Po chwili nadbiegli pod jego przewodnictwem parobcy z postronkami. Mrowie otoczyło szaleńca, zarzucono mu pętlę na szyję, na ręce, na nogi. Wówczas uległ i upadł, wijąc się jak wąż, rycząc nieludzkim głosem. Skrępowano go i jak tłumok wzięto na ramiona. Rudakowski szedł przodem, otworzył pusty lamus murowany, zamczysty, z kratami u okien. Uprzątnięto izbę w okamgnieniu. Zdjęto więźniowi pęta z rąk, położono go na ziemi i zostawiono tak w stęchłej piwnicy.

Za wychodzącymi Rudakowski drzwi zamknął i grożąc kluczem, rzekł z naciskiem:

— Wiedziałem, że tem się skończy. Zwarjował nieborak! A teraz gęby stulić! Stało się nieszczęście i basta. Jak kto zapyta, powiedzieć, że go niema! Ja tak każę — słyszycie! Marsz do roboty!

Rudakowski nie żartował! Bano się go jak ognia. Ludzie szeptali między sobą, ale poza Stamierów doszły tylko głuche wieści. Zresztą Sewer niedawno przybył w rodzinne strony i oprócz Podgaju, mało gdzie bywał. Tajemnica mogła się długo uchować.

Gdy go niesiono do lamusu, więzień zemdlał, ocucił go chłód i ból. Pokaleczony był, a od postronków podrętwiały mu nogi. Ocucił stę tedy i nieprzytomnym wzrokiem powiódł wokoło. Nie zrozumiał, gdzie był i co się z nim stało. Chciał powstać i poczuł pęta! Wówczas pojął wszystko. Sznury potargał, rzucił się do drzwi, wstrząsnął niemi, daremnie, rzucił się do krat u okien, zębami je gryzł, naprożno. Jak dziki zwierz obszedł ściany, na spleśniałych cegłach krwawił palce, znowu do drzwi się dobijał, aż wreszcie poczuł się w matni, zgubionym na wieki, bezsilnym wobec tego żelaza i kamieni i upadł twarzą do ziemi, wyjąc z wściekłości.

Potem wstał znowu i szukać począł, czem się zabić. Postronek miał pod ręką i już na kratę go zarzucił, gdy się znowu opamiętał.

A Kostusia?

Ta myśl wróciła mu równowagę, ale zarazem zaświdrowała bólem w sercu. Czemu jej nie posłuchał, czemu nie dotrzymał obietnicy! Wstyd go ogarnął i upokorzenie okropne. Przybity, znękany fizycznie i moralnie, ukrył się w najciemniejszy kąt piwnicy, osunął się na ziemię i zapadł w półsen, półmajaczenie. Wybuchy jego kończyły się zwykle taką ogólną prostracją.

Rudakowski wieczorem zaledwie przypomniał sobie więźnia. Nie otworzył jednak drzwi, ale przez okno zajrzał do wnętrza.

Sewer siedział w kącie i na widok tej znienawidzonej twarzy zadrżał nerwowo.

— Wypuść mnie zaraz! — krzyknął groźnie.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się tamten szatańsko. — Dałem ci przecie, czegoś chciał: część matczynego majątku! Co? Dział ci nie przypada do smaku! Hi, hi, hi! Warjatom nic więcej nie potrzeba! Na, masz chleba kawałek i siedź cicho, bo jak będziesz hałasował, każę ci żelazne okienice wstawić w okna!

Zarechotał raz jeszcze z szatańskim triumfem i zniknął. Do nóg Sewera potoczył się chleba kawałek. Młody człowiek wstał i wyrzucił go za okno. Nie postało mu nigdy w myśli, by niewola ta miała długo potrwać. Przecie go muszą uwolnić, nie mogą więzić samowolnie. Czekał więc swobody.

Ale tymczasem godziny biegły, dni może, do ciemnicy jego nikt nie przychodził, tylko co wieczór przez kratę spuszczano chleb i wody dzbanek.

Długi czas obchodził się bez posiłku. Wreszcie głód począł mu szarpać wnętrzności, pragnienie palić ogniem. Raz jeszcze zdołał oprzeć się pokusie, wyrzucił chleb, rozlał wodę. Następnego dnia nie wytrzymał i spieczone usta do dzbanka chciwie przytulił, po dwóch dobach znowu jak wilk — pożarł chleb suchy.

Ile dni minęło, nie pamiętała, zdawały mu się wiekami. Ciągle czekał uwolnienia, co chwila wstawał i u drzwi nasłuchiwał na głosy ze świata. Ale lamus

stał samotny w kącie ogrodu i żaden ruch ni dźwięk doń nie dochodził, tylko co wieczór pan sam go odwiedzał na krótką chwilę.

Więzień teraz stracił już pamięć czasu. Hart jego opadł. Pewnego wieczora przemówił do Rudakowskiego

— Długo mnie więzić będziesz?

— Do śmierci! — odparł spokojnie tamten.

— Jakiem prawem?

— Boś warjat, furjat! Takich wolno puszczać prawo zabrania!

— Czegóż chcesz ode mnie. Daj mi papier, napiszę ci zrzeczenie się ze wszystkiego. Żyć mi daj!

— Zrzeczenie mi twoje niepotrzebne! Tyś już istnieć przestał. Jesteś niepoczytalny, więc umarły. Żyć będziesz, ale tam, gdzie jesteś teraz.

Żyć będę i na swobodę się wydostanę. Wówczas zginiesz. Puść mnie, będę milczał i nie zobaczysz mnie więcej.

— Jeśli się na swobodę wydostaniesz, to do zakładu dla obłąkanych pójdziesz. Swobody już niema dla ciebie.

Sewer był już tak zmęczony, że się ku niemu nie rzucił, głowy o kratę nie bił, pozostał w swym kącie osłupiały.

Powoli wskutek samotności, ciszy, rozpaczy poczęły mu myśli się plątać. Tracił pamięć i czucie.

Sam chwilami nie wiedział, gdzie był i co się z nim działo. Nie słysząc głosu ludzkiego, zaczął do

siebie szeptać, stracił ochotę do ruchu. Po całych dniach nie ruszał się z miejsca, nie zmieniał postawy, oczami wodząc po szarych ścianach. Potem co wieczór zaczął doświadczać halucynacyj. Zwykle przychodziła doń Kostusia i zdaleka patrzała, słowa nie mówiąc, a oczy jej bywały strasznie gniewne. Czasem zjawiał się Rudakowski uśmiechnięty, ale Sewer jednakowo osłupiałemi oczami wpatrywał się w te widziadła, nie mogąc przemóc martwoty. W dzień jeszcze zdawał sobie sprawę ze swego położenia i ratunku czekał, w nocy było mu bardzo źle i ciężko.

Pewnego razu o niezwykłej porze posłyszał szmer pod oknem i półgłośną rozmowę. Nadstawił ucha.

— Jaśku! — mówił głos jeden dziecinny — ty wiesz, co tu jest.

— Gdzie? — odpowiedział szept drugi — dziecka także.

— W tej izbie, za kratą?

— A co?

— Tam siedzi warjat.

— Co to warjat?

— To taki człowiek, któremu rozum się pomieszał.

— O jej! A co on robi taki człowiek?

— Straszne rzeczy robi! Ludzi zabija, sam siebie kąsa, gorzej zwierzęcia.

— Strach! A ty jego widział kiedy?

— Widział! Jak go tu nieśli, dziesięciu ludzi. A on się jak wściekły pies pienił.

— To on tutaj siedzi?

— Aha! Przez okno jemu sam pan jeść nosi.

— Żeby jego zobaczyć, co on tam robi?

— Można. Ja się o mur oprę, a ty mi na ramionach staniesz i zajrzysz przez okno. A potem ty mnie potrzymasz, a ja zobaczę.

— A jak on na nas wypadnie?

— Głupiś! To przez kratę nas nie dostanie...

Sewer słuchał, a po chwili ujrzał, jak do jego więzienia zajrzała głowa wiejskiego pastuszka. Dziecko ze strachu wstrzymywało oddech i wielkiemi oczami przyglądało mu się ciekawie.

Wtedy poczęło mu się już na serjo w głowie plątać.

Warjat, warjat, warjat!

Co to? Kto warjat? On? Co to warjat? On?

Co to znaczy: on? Kto to: on! Warjat! Co to warjat!

I tak dalej — to samo wkółko jął sobie powtarzać, bezmyślnie, machinalnie wreszcie.

W mózgu jego światło gasnące zatoczyło parę ostatnich kręgów i zapanował mrok.

Od więzienia jego upłynął właśnie miesiąc.

V.

W Podgaju Kostusia czekała od niego napróżno znaku życia.

Tydzień upłynął, potem dwa. Dziewczynka suwała się jak cień, zgryziona troską, łzami, niepokojem; jak automat się poruszała, jak maszyna spełniała swe obowiązki.

Wakacje Kazia dobiegały końca, szykował się do wyjazdu. Raz jeszcze zapytał, czy może w czem jej dopomóc. Poprosiła wówczas, znękana, by wieści o Sewerze zasięgnął. Pojechał do miasteczka i przywiózł jej wiadomość, że Sewera nikt nie widział. Wyjechał podobno. Gdzie? Nie wiadomo.

Kostusia przyjęła wiadomość spokojnie, jak przyjmowała wszystkie ciosy od pewnego czasu, tylko nazajutrz nie wstała już z pościeli. Struna, zbyt naprężona — pękła. Wieść o jej chorobie prędko się rozeszła. Wszakże była trybem, choć drobnym napozór, co wprawiał w ruch porządek domowy. Niesłychany wypadek jej opóźnienia zrazu opóźnił ruch w garderobie. Potem przeniósł się do kuchni, spiżarni, ogrodu,

mleczarni — nareszcie doszedł jadalni. Gdy nie ujrzano jej przy stoliku z samowarem, oburzenie powstało ogólne.

— Co to jest? Co ona sobie myśli? Śpi do tej pory! Pozwala sobie na coś podobnego! To jawny bunt. Od czasu swego romansu jest niedbała i nieznośna. Niech ją zbudzą zaraz.

Pani wydała ostatni rozkaz tonem, nie wróżącym nic dobrego. Lokaj pobiegł na górę, ale wrócił sam.

— Panna — tak nazywano Kostusię — leży chora, bez pamięci.

Wówczas ubolewania przybrały inny odcień.

— A obiad? Produkta nie wydane. A mleko stoi na dworze. A ochmistrzyni gdzie? Nie umie dać sobie rady. Dobrą sobie ta błaźnica wybrała porę do choroby! Latem, kiedy najwięcej roboty! Żeby choć uprzedziła. I jaka tam choroba! Pewnie katar! Niech jej naparzą ziółek na poty.

Na tem się narazie skończyło. Po śniadaniu wuj, nic nie mówiąc, poszedł na górę, utykając na każdym stopniu i sapiąc jak miech kowalski. W izdebce na strychu zastał już Kazia. Kostusia nie potrzebowała ziółek i nie skarżyła się na nic. Leżała w ciężkiej gorączce.

Obadwaj mężczyźni, niezdarni jak zwykle, poczęli się naradzać.

— Poślę po doktora! — rzekł wuj.

— A tymczasem mamkę jej trzeba sprowadzić, — dodał Kazio — niech jej, biednej, dogląda.

— A pewnie! — potwierdził stary, zapominając o indeksie, jakim baba była obłożona.

Kazio, nie wierząc w pośpiech służby, sam prędko konia dosiadł i do opuszczonej staruszki popędził.

Po godzinie nad łożem Kostusi krzątała się starucha. Przedewszystkiem okurzyła ją ziołami, potem wysmarowała ją od stóp do głowy odwarem jakimś, następnie okryła ją pierzyną i własnym kożuchem, a wreszcie napoiła płynem ciemnym i odurzającym. Kostusia dawała z sobą robić, co chciano.

Wyciągnęła się na swej nędznej pościeli jak do śmierci, z głową, nieruchomo złożoną na poduszce, zdradzała życie jedynie ruchem ust spieczonych i ciemnych. Pracowite jej ręce spoczywały, odrzucone bezwładnie, a tak była wychudła i wątła, że starej kobiecie, gdy dotykała jej członków, żałość wzbierała ciężkiemi łzami.

Doktór przyjechał nareszcie i przedewszystkiem kazał otworzyć okno, wywietrzyć pokój, w którym kadzidła mamki zostawiły swąd gryzący, odrzucić pierzynę, a babę wyprawił precz. Potem nakazał zimne okłady i trzy mikstury. Chwilę potem, zabawiwszy na dole, w salonie, odjechał.

Przepisów jego nikt nie spełnił. Wuj wprawdzie lekarstwa sprowadził i posłał przez lokaja, ale zażywania nie nauczył, a mamka nie raczyła spojrzeć na

flaszki. Wzięła się znowu do swych sposobów. Kadziła, smarowała, szeptała zaklęcia czy modlitwy. W piecyku urządziła swe laboratorjum i po całych dniach i nocach warzyła coraz to nowe zioła i korzenie.

Kazio codzień przychodził po wieści. Otrzymywał je przez szparę od baby, która w oświetleniu dymu i pary wyglądała bardzo na czarownicę. Wieści te były pełne chłopskiej filozofji.

— Da Bóg, to umrze; da Bóg, to wyzdrowieje.

Do izdebki stara nie wpuszczała nikogo. Nie posłyszał też nikt, jak dziewczynka w gorączce rozsnuwała żałośnie i łzawo żywota swego szare nici i kolce. Opowiadała nie mamce, bo tej nie poznawała, ale istocie niewidzialnej o obliczu znać bardzo miłosiernem, bo czasem podczas szeptu jej oczęta chore stawały się promienne, a uśmiechy pogodne przewijały się po twarzy. Często wśród ciszy nocnej, gdy stara, sądząc, że chora śpi, sama zadrzemała, skulona u łóżka, na ziemi, budził ją szmer tych wyznań.

— Tyle lat służyłam im, tyle lat. I dalej służyć gotowam! Co im szkodziło, żem szczęśliwa, co im szkodziło, żem go pokochała. Za co mi to uczynili! Czy mi nie wolno duszą własną rozporządzić! A przeto on mój i nie odstąpię od niego i nie porzucę!

Zdawało się jej, że ją on woła i zrywała się biec, to znowu przypomniała sobie obowiązki i troskała się nad jakąś niedokończoną robotą. Krzywda, którą jej wyrządzono, wracała jednak najuparciej do głowy zbo-

lałej, a słowo ciotki okrutne wstrząsało ją jak raz śmiertelny.

Stara kobieta, słuchając tego wszystkiego, pojęła źródło choroby Kostusi i w żalu swym zapamiętała, złorzeczyła ponuro i dziko. Jeżeli śmierć weźmie jej to ostatnie dziecko, to ona kij ujmie, torbę i z odpustu do odpustu chodzić będzie, Bożej sprawiedliwości prosząc, a jeśli Bóg drobinę tę uratuje, to ją zabierze stąd, zabierze koniecznie, ukradnie złym ludziom niebogę i w świat z nią pójdzie!

Siódmego dnia na Kostusię zstąpił sen cichy i mocne poty. Obudziwszy się, zażądała jeść. Była uratowana. Poznała mamkę i spytała, co się z nią działo, potem zasnęła znowu.

Dziesiątego dnia po zasłabnięciu wstała wreszcie, jak źdźbło wątła. Ucieszyła się widokiem słońca i uśmiechnęła do mamki.

— Dobrze mi! — mówiła, mirt swój gładząc wychudłemi rękami. — Jutro już do roboty pójdę! Pewnie bardzo na mnie się gniewają! Tyle czasu zmarnowałam! Nie dowiadywał się nikt o mnie?

— Panicz przychodził. Wczoraj wyjechał!

— Wyjechał! — powtórzyła Kostusia smutno.

— Pożegnać ciebie, zazulo, chciał, ale ja nie dopuściłam, bo spałaś!

— A więcej nikt nie przychodził?

— Nie, nikogo nie było!

— A tobie, mamko, nie bronili przyjść?

— Sam panicz po mnie przyjechał!

Kostusia umilkła i długo wahała się z pytaniem, które ją męczyło od pierwszej chwili odzyskanej przytomności.

— Mamko, — szepnęła wreszcie — widziałaś ty jego?

Stara przysunęła się do niej bliżej.

— Widziałam. Wyglądał ciebie, kwiatuszku, całą niedzielę.

— A potem już nie przychodził?

— Nie widziały go więcej moje oczy.

— Mówiono mi, że pojechał daleko! Ale to nieprawda! Nie pojechał on, ale go coś złego spotkało.

— Czemu, robaczku?

— Bo onby do mnie przyszedł! Gdzie on, mamko? Jemu źli ludzie coś zrobili! Jemu kędyś bardzo ciężko i trudno! Tyle czasu go nie było!

— Nie troskaj się, zazulo! A toż Stamierów nie koniec świata. Pójdę, ludzi przepytam i prawdę ci przyniosę.

— Pójdziecie! — zawołała Kostusia radośnie.

— Pójdę, zobaczę go i opowiem wszystko! Nie troskaj się, nie dręcz! Da Bóg dobre!

Kostusia uspokoiła się znacznie i poczuła się rzeźwą i silną. Nadzieja wstąpiła w jej duszę. O zmroku cichutko i nieśmiało poczęła opowiadać jedynej duszy przyjaznej i wiernej swoje tajemne marzenia i plany szczęśliwości.

Zobaczy Sewera już tylko raz pokryjomu, raz ostatni. Potem on do wuja przyjedzie, o jej rękę poprosi. Wtedy ludzie przestaną nią poniewierać, nikt się nie ośmieli jej skrzywdzić, bo on przy niej stać będzie. Tak się jej los odmieni jak z nocy na dzień, jak z zimy wiosna ciepła. Niedługo czekać! Sewer się oświadczy, wuj zezwoli i może po nowym roku już się pobiorą. Nie mają nic, ale poco im dostatki! Bóg ludziom jednym bogactwo dał, drugim ręce zdrowe. Czego im potrzeba? Kąta ladajakiego i łyżki strawy. Sewer się uspokoi, ustatkuje, i tak we dwoje do pracy staną, do pracy dla siebie! Taka praca to gody! Mamkę zabiorą z sobą, naturalnie, będą jej dogadzać, i tak we troje żywot im snuć się będzie jak nitka z jedwabiu.

Oczy dziewczęcia jaśniały szczęściem i siłą. Ramiona jej dostawały skrzydeł, głos śpiewał i pełna dobrej otuchy, snuła i snuła swe marzenie.

Nikt na nią gniewać się nie będzie, nikt żartować boleśnie. Sewera chleb jeść będzie, Sewera słuchać, dla Sewera pracować. Sewer to tak jakby ona sama! Z czasem może kiedy wuj ich odwiedzi, a Kazio to pewnie często zaglądać będzie! Ubogo u nich będzie, ale wesoło. Ubogo, bo co ona ma? Kuferek zielony!

Zaśmiała się srebrzystym śmiechem. Bogatą się czuła i doli owej marzonej nie zamieniłaby na skarby całej ziemi.

Późno było, a ona wciąż gwarzyła. Przemocą prawie ułożyła ją do snu mamka i jeszcze we śnie cichym miała na licach smugi wesela, na ustach rozchylonych imię ukochanego.

Nazajutrz ciotka przysłała garderobianę z zapytaniem o jej zdrowie. Na dole chorobę jéj nazywano tyfusem i lękano się zarażenia. Garderobiana podzielała tę trwogę, bo ledwie zajrzawszy, uciekła.

Kostusia zrozumiała, że nie troskliwość powodowała ciotką, ale kłopot z powodu jej nieobecności. Daremnie protestowała mamka, daremnie błagała, dziewczynka odziała się, przypasała fartuch i zeszła na dół.

W sieni raz jeszcze ucałowała staruszkę.

— Pójdziecie zaraz? — pytała niespokojnym szeptem.

— Zaraz!

— Powiedzcie mu, że o zmroku będę w chmielniku...

— Powiem i odpowiedź tobie przyniosę.

Baba zgarbiona podreptała za wrota, Kostusia poszła zameldować się ciotce.

Powitano ją tam radośnie. Od dziesięciu dni pani z córkami zastępowały we trzy jej miejsce, a pomimo to wszędzie czuć było jej brak, zewsząd wyzierał nieporządek.

Powitaniem tem nie dała wprowadzić się w błąd; zabrała klucze swoje i nic nie rzekłszy, wzięła się do codziennej roboty.

O zmroku, w gęstwinie chmielu i jarzyn ukryta, czekała na Sewera. Czekała godzinę, dwie, trzy. Rosa pokryła ziemię. Przejęta wilgocią i chłodem, trzęsła się i szczękała zębami. Marzenia jej, nadzieja, otucha, opadły jak suchy liść na jesieni.

Daremnie uspokajała sama siebie. Mamka mogła nie zastać Sewera, mógł nie przyjść, zatrzymany wizytą znajomego lub interesem. Przeczucie nieszczęścia, ciężki smutek i zrozpaczenie były nad wszystkie uwagi silniejsze. Gdy noc zapadła, odeszła od płotu, nie czekała już, ale pewna srogiej niedoli i w trosce o Sewera, na nic nie pomna, ani na gniew wuja, ani na swe słabe siły, zamiast spocząć i rana doczekać, ruszyła odważnie do chaty mamki.

Nie trwożył jej czarny bór ni ciemność, ani daleka droga. Poszła, nie zawahawszy się ani na chwilę. Nie szło tu przecie o jej życie lub śmierć, boby ścierpiała i zniosła, szło tu o Sewera — o jej jedyną własność, o jej skarb, o jej wszystko. Poszła zatem...

Zdaleka ujrzała, że w chacie światełko migoce, więc nie stukając do drzwi, weszła.

Na kominie paliło się drzazg parę. Przed tem światłem, nieruchomo w nie zapatrzona, siedziała staruszka. Brodę podparła pięścią, po brózdach oblicza biegły łzy.

Na skrzyp drzwi obejrzała się obojętnie, a na widok tak niezwykły nie powitała nawet wchodzącej. Odwróciła tylko twarz i jak przedtem patrzała w ogień.

Kostusia zachwiała się i o ścianę oparła.

— Mamko, gdzie on? — zagadnęła głucho.

Stara milczała.

— Gdzie on? — powtórzyła dziewczyna głośniej.

Stara poruszyła się nareszcie. Wyciągnęła ręce przed siebie z niewymownym jękiem.

— Czego ty, nieboże, tutaj, czego przyszła! — zaczęła przeciągłym tonem, z jakim chłopi umarłych żegnają. — Czego ty pytasz? Co chcesz wysłuchać? Pytaj ty Boga, pytaj dobrych ludzi... A mnie nie pytaj! Bóg ci ratunek da, a dobre ludzie pocieszą. A mnie nie pytaj! Nie na tom cię piersią własną karmiła, nie na tom cię hodowała, nie na tom cię teraz śmierci z rąk wyrwała, nie na to... Lepiejbym cię była mlekiem swem otruła, rękami własnemi udusiła, jak tobie mówić, gdzie on!

Kostusia bez tchu, bez pamięci, ale podniecona i silna, podskoczyła do niej i chwyciła za ręce.

— Niema go już na tej ziemi? — zawołała nieswoim głosem. — Mówcie! Toć kiedy tak jest, to umrę! Czego się boicie. Nie żyć mi to nie żyć. Nie z waszych ust zatrata mnie spotka, ale z Bożej woli!

— Nie z Bożej, niebogo, nie z Bożej! Bóg bierze, co jego. Bóg sierot nie krzywdzi. Bóg jego tobie dał, a ludzie odebrali! Już sokolik ten jasny ni Boży teraz, ni twój. Już ty głosu jego nie posłyszysz, jego widokiem oczu nie pocieszysz.

— Mamko! Litość miejcie! Nie po radość ja szłam do was. Mnie niedola sądzona od kołyski! Toż ja nie płaczę nawet, ale mi prawdę powiedzcie, bo mi dusza pęka! Co mu zrobili ludzie?

— Rozum mu wzięli, duszę jak świeczkę zgasili, w jasną ciemnicę rzucili, by gnił!

— Kto? — wyjąkała Kostusia.

— Matczyn mąż! Na zgubę jego pracował i zgubił. Widzieli ludzie, jak go do nieludzkiej złości doprowadził, postronkami powiązał, do lochu omdlałego wrzucił. Tam on i zostanie.

— Byliście tam?

— Byłam, krwawemi łzami opłakałam! Ni Bogu, ni ludziom on teraz, ino nocce ciemnej i mogile głębokiej.

Kostusia, wyprostowana, niema, oparła głowę o ścianę, rękami cisnąc piersi.

Z oczu jej rozszerzonych i gorejących nie spadła ani jedna łza, z serca nie wydarł się żaden jęk.

Stara znowu, wyciągając ręce przed siebie, poczęła zawodzić strasznie.

— I na to krasną cię wyhodowałam, i na tom czekała lat tyle. Potoś ty szła nocką czarną, potoś ulubiła serce sieroce! Potoś żyła i czekała doli! Oj, dolo, dolo! Jakim ty ludziom służysz jakiemi światа skrajami chodzisz, że ni moich próśb, ni jej cnoty się nie użaliła. Ostowe kolce na posłanie jej dawałaś, troską karmiłaś, łzami poiłaś. Oj, dolo, dolo!...

Nagle żałość jej rozpłonęła dziką zaciętością. Chude ramiona wzniosła nad głowę i ponurym, syczącym głosem jęła przeklinać.

— Żeby ludziom tym choroby ciało od kości odbiły, żeby ich czerw za życia toczył. Żeby ich dobytki zmarniały, a dzieci przeklęły! Żeby oni snu nie zaznali, a przy śmierci konali ciężko! Żeby ich dusze zły wicher nosił, a ciało święta ziemia wyrzuciła.

Kostusia, blada i nadludzko spokojna, podniosła głos nagle.

— Nie przeklinajcie — rzekła surowo. Klątwa do nieba nie idzie. Klątwa Boga od was odwróci. Na dolę naszą pacierza trzeba, na drogę mocy wielkiej! Chodźmy!

— Zazulo, sieroto, gdzież my pójdziemy, nędzne Po śmierci pójdziemy do Boga na sprawę.

— Pójdziemy po niego. Jeśli w ludzkiej on mocy, to stamtąd wyrwiemy! Chodźcie matko, bo do Stamierowa daleko.

— Do Stamierowa, o, Jezu! A pocóż ty tam pójdziesz. Nie odbierzesz jego z pod krat, z za muru. A choćbyś kraty zębami pogryzła, poco ci on, nieboże! Toż on bez rozumu i mowy. Toż on, sokolik twój, ale trup niemy!

— Więc co! Nie będzie zdrów! Wola boża! Ale na słońcu żyć będzie i w swobodzie, ale go odbiorę złym ludziom, z grobu i z niewoli. Chodźcie, bo sa-

ma pójdę! Myślicie, żem go dla szczęścia pokochała, dla swojej doli!

Wyprostowana, z błyskającemi oczami i drgającemi usty, była obrazem żelaznej woli i mocy, nad wszystkie moce większej. Zawróciła się i już słowa nie mówiąc więcej, wyszła z chaty.

Wówczas stara, przestraszona, wybiegła za nią i jęła dopędzać w ciemności, zaklinając i prosząc.

— Ulituj się nad sobą. Z choroby ledwie powstałaś! Opamiętaj się! Dnia doczekaj!

Ale dziewczyna, jakby nie do niej mówiono, szła i szła! Stara dopędziła ją z trudem i pociągnęła za rękę:

— Kostuśka! Zapłacz ty, poskarż się, pożal słowami!

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie żaliłam się ja nigdy i nie skarżyłam! — rzekła głucho. — Kiedym się rodziła, matce już łez nie stało i mnie ich nie dała. I dobrze tak. Nie łez mi trzeba teraz, ale mocy za siebie i za niego!

— Nie idź tak prędko! Tobie do Podgaju wracać trzeba, opiekuna za sobą poproś, niedolę swą mu opowiedz!

— Jak go zobaczę, wrócę, a teraz do niego mi pierwsza droga.

— Gniewać się będą na ciebie!

— Niech się gniewają. Co mi gniew ludzki, co mi ludzkie sądy. Jednego jego mam na ziemi i bronić będę do tchu ostatka!

Staruszka westchnęła głęboko i widząc, że nic nie pomoże na taką wolę, szła za Kostusią, nie sprzeciwiając się już, a tylko półgłosem odmawiając pacierze.

Na dzień się zbierało, gdy dotarły do Stamierowa. Zatrzymały się chwilkę u płotu i naradzały zcicha. Potem przesunęły się do środka ogrodzenia dworskiego i ruszyły w kierunku lamusu.

— To tutaj! — szepnęła stara, ukazując samotny budynek.

Kostusia podeszła śmiało, uchwyciła się krat okiennych i zajrzała do środka. Pleśń i chłód stęchły uderzyły ją stamtąd, oczy daremnie przedrzeć starały czarną głąb tego grobu.

— Sewer! — zawołała zcicha.

Zdawało się jej, że ruch posłyszała, ale nikt jej nie odpowiedział.

— Sewer! — powtórzyła z rozdzierającym żalem.

Wzrok jej oswoił się z ciemnością i nagle jakiś niewyraźny jęk wydarł się z gardła i skonał. Ujrzała naprzeciw siebie w mrocznym kącie postać jakąś, skuloną na ziemi, okrytą łachmanami, sczerniałą, straszną. I ujrzała z niedającą się opisać zgrozą, że widmo to nie spało i nie było umarłe, ale patrzyło w okno właśnie, w nią, patrzyło bezmyślnie i mgławo, źrenicą zagasłą, bez ducha. Patrzał i nie widział nic, i nie poznał jej, i nie odpowiedział.

I to widmo, ten upiór, to Sewer był, jej jedyny skarb sierocy, jej wszystko na ziemi! Usta jej roz-

warły się jak do krzyku, a palce wpiły się w rdzawą kratę. I tak wpół zawieszona, wpatrywała się weń, a twarz jej stała się tragiczną od wielkiej, w sobie ukrytej rozpaczy.

— Sewer! — jęknęła raz jeszcze głosem, coby umarłego poruszył.

Widmo, nie ruszając się i nie zdradzając najmniejszej uwagi, wyszeptało bezdźwięcznie:

— Gdzie ona? Gdzie ona?

Ręka Kostusi puściła kratę. Osunęła się na ziemię, zwinęła się jak robak zdeptany.

Gdzie ona? Gdzie ona? O, Boże, o, Boże miłosierny! Ona, ona! Gdzież ona była, gdy on jeszcze przytomny i w kaźni swojej czekał od niej pomocy, pamięci! Czekał jej, a ona nie przyszła, a potem w ruinie swojej i bezmyśli, machinalnie tę myśl swoją, ostatnią przytomną powtarzał, z grobu swego do niej wołał. Gdzież ona była, że jego bólu nie przeczuła, rozpaczy nie odgadła, wołania jego nie słyszała. Nie broniła go i nie ustrzegła, dała go zatracić.

Gdzie ona? Gdzie ona?

Porwała się z ziemi, znowu do krat tych twarz przywarła i dzikiemi od boleści oczami wpatrzona w to kochanie swoje umarłe, w tę dolę swoją zburzoną, wołała doń rozdzierającym szeptem:

— O, Sewerze! Zapóźnom przyszła, ale cię już więcej nie opuszczę. Już do śmierci z tobą zostanę. O, moje ty wszystko. Niebo mi dałeś, a teraz w to

piekło pójdę za tobą. Czy ty już nic nie pamiętasz? Nic? Nawet tych grobów wśród pól? Czy ty już i mnie nie słyszysz!

Z głębi ciemnicy głuchy szept jej odpowiedział:

— Gdzie ona? Gdzie ona?

— Zazulo! — ozwał się drżący głos starej kobiety. — Poco ty mówisz do niego! Głuchy on i niemy na ludzką mowę, na ludzkie myśli. Na bożym sądzie on mówić będzie, krzywdę swoją zaniesie, wyrok posłyszy! Na świecie jego wszystko skończone! Chodźmy, dzień się robi!

Kostusia usłuchała. Szła prędko i w milczeniu. Wydostały się na drogę. U bramy zatrzymała się dziewczyna.

— Nie idźcie za mną teraz! — rzekła. — Mogą wasz siwy włos z mego powodu sponiewierać. Jeśli możecie, zaczekajcie.

Weszła na dziedziniec.

— Zazulu, zazulo! — wołała stara za nią. — Nie idź, nie idź! Nic nie poradzisz, a sromu się najesz! Oj, dola moja nieszczęśliwa!

Kostusia nie obejrzała się nawet. Wyprostowana, z dziką determinacją w twarzy, poszła do drzwi domu. Lokaj ją spotkał na ganku, obejrzał, zdziwiony, odzież zroszoną i biedną, burkliwie spytał o interes.

— Do pana! — odparła krótko.

— Śpi pan!

— To zaczekam!

Oparła się o słup podjazdu i zapatrzona gorejącemi oczami w próżnię, targana niedającą się określić rozpaczą, stała tak długo, nieporuszona.

Słońce wzbiło się wysoko. Mdlały nogi pod nią, bolały wszystkie członki, a tam, w Podgaju, szukają jej pewnie, Bóg wie, co myślą. Nie obchodziło ją to wcale! Stała wciąż, do słupa przyparta, znękana i nieszczęśliwa, ale przekonana, że dobrze czyni, że czynić tak musi.

Nareszcie Rudakowski spostrzegł ją z domu, rozpytał lokaja i wyszedł do niej na ganek.

— Czegoż to panna potrzebuje tutaj? — zagadnął zdaleka.

Kostusia podeszła do niego i chwilę nie mogła dobyć głosu z gardła. Mieszało się jej w głowie: żal, zgroza, wrodzona nieśmiałość i strach złego przyjęcia. Ale wnet się opamiętała i zcicha jęła prosić:

— Panie, ja do was z prośbą! W lamusie u was Sewer Stamierowski leży zamknięty, chory, jak bydlę opuszczony.

Rudakowski skoczył, poczerwieniał, przerwał jej gwałtownie.

— A panna skąd, czego! A pannie co do moich spraw! Jeśli kto jest zamknięty, to z racji! Panna kto? Jakiem prawem szpieguje mi po folwarku i wtrąca się w moje rodzinne interesa! Fora ze dwora!

Zasapał się i za ramię ją ująwszy, odepchnął na drogę.

Wówczas w niej zbudziła się na nic nie pomna energja i śmiałość. Odtrąciła go od siebie.

— Nie macie wy prawa więzić człowieka samowolnie! Duszę mu wzięliście, odarliście ze wszystkiego! Myślicie, że wam to ujdzie! Myślicie, że on sam, sierota, na waszej woli, to go krzywdzić możecie bezkarnie! Pomsty boże na was zejdą za niego!

— Precz, włóczęgo! — wrzasnął Rudakowski, przyskakując do niej. — Wyrzucić ją za wrota! — krzyknął na lokaja. — Upiła się żebraczka!

Lokaj podszedł do niej, ludzie z za węgłów wytykali ciekawe głowy. Kostusia była jak mur biała i chwiała się na nogach.

— No, idźcie sobie, — burknął lokaj — bo i was wsadzą do ciupy.

Spojrzała nań, potem po ludziach, śmiejących się bezczelnie, i nagle, tknięta poczuciem swej bezsilności, fałszywej pozycji, strachem, by oporem nie pogorszyć położenia, zawróciła się wstecz.

Grad wymyślań i pogróżek Rudakowskiego towarzyszył jej, oblewając purpurą twarz, słyszała też grubjańskie uwagi służby i pojęła dopiero w całej okropności swą dolę sierocą. Chwilę, małą chwilę strach ją zdjął, obezsilił wolę, ale wnet wzdrygnęła się cała, bo zdało się jej, że od tego lochu stęchłego aż tutaj słaby głos wołał:

— Gdzie ona? Gdzie ona?

Ona jest, ona pamięta, ona piekłu go wydrze!

Za bramą, na skraju rowu, czekała na nią mamka, zmęczona i drżąca.

— Wygnali cię, zazulo! — poczęła zawodzić. — Bodaj ich dusze tak z raju wygnali, a kości ze święconej ziemi. A tam, w Podgaju, bieda cię czeka!

— To i cóż! Może i tam wygonią — odparła dziewczyna bezdźwięcznie i twardo. Ja się niczego już nie boję.

I znowu szły obok siebie, prostując drogę miedzami, łąkami i mało co mówiąc. Dopiero na widok Podgaju Kostusia zatrzymała się chwilę.

— Mamko, nie wracajcie do chaty — rzekła. — Dowiedzą się we dworze, żeście ze mną byli, i skrzywdzić gotowi.

— Serdeńko! Co się ty o mnie troszczysz! Twoja głowa biedna i stroskana, tobie nie wracać do Podgaju...

— Nie lękajcie się! Wrócę. Nie będę jak złodziej uciekać, a jak wypędzą, na oczach wszystkich wyjdę. Bezdomnam się rodziła, bezdomna zostanę. Nie opuścicie wy mnie!

— O, Jezu! Tak jak pies za tobą się powlokę!

— Daj wam, Boże, niebo za to słowo. Jutro wieczorem przyjdę na matczyną mogiłę i powiem, co w Podgaju mnie spotkało. — Bywajcie zdrowi teraz.

Uścisnęła starą jak matkę i odeszła, tak zamyślona i zatopiona w sobie, że nie widziała drogi ni kierunku, ani zdziwienia na twarzach ludzi, pracują-

cych wpobliżu dworu, na polach, którzy ją sobie palcami pokazywali. Szła wyprostowana i spokojna, obojętna na to, co ją czekało w domu opiekunów. Nie ukrywała się wcale i nie na swój strych się schroniła, ale poszła prosto do gabinetu wuja.

Obywatel siedział u biura i coś pisał zamaszyście, zirytowany widocznie, namarszczony, stroskany. Na szelest drzwi spojrzał z pod okularów i nagle, jak ruszony sprężyną, wyskoczył w górę.

— Słowo stało się ciałem! To ty! — wrzasnął wielkim głosem, w którym mieszała się radość, gniew, ciekawość i ulga.

Dziewczyna złożyła ręce jak do modlitwy.

— Do wuja przyszłam po ratunek — jak do ojca — rzekła cicho. Tylko do wuja! Żebyż tutaj nikt nie przyszedł — dodała z widoczną trwogą i niepokojem.

— Zwarjowałaś, czy co, u licha! — wołał, zniżając jednak głos i zamykając drzwi na klucz.

— Całą noc i cały dzień za domem! Ładna konduita, niema co powiedzieć! Wszystkie fornalki rozesłałem na twe poszukiwanie i właśnie piszę odezwę do policji. A ta mi tu staje raptem i powiada, że przychodzi po ratunek! Po rózgi, chcesz powiedzieć!

Kostusia podeszła do niego i do nóg się osunąwszy, objęła jego kolana.

— I rózgi wezmę z wuja ręki — jeślim winna — mówiła, oczy ku jego nasrożonej twarzy wznosząc

żałosne. — Wuj mnie maleńką od śmierci uratował, wuj mnie chował i karmił, wuj jak ojciec dla mnie był. Ja też jak ojcu swój ból opowiem, o ratunek poproszę!

Odachowski począł się w złości chwiać i ustępować. Schylił się do niej, podniósł z ziemi, machinalnie ręką po głowie pogładził.

— No, co! Cóż tam! Wielkie rzeczy! Chowałem! Każdyby chował! Rozkoszy wielkich nie zaznałaś! Dobra byłaś do ostatnich czasów! Teraz to coś paskudnego do ciebie przystąpiło! Sfiksowałaś i basta! Zbałamucił cię ten urwisz z szubienicy! Tobym go sprał za to! No, gadajże porządnie! Cóż tam nowego? Schadzka? Pewnie błazen porzucił i czmychnął? Co?

Kostusia potrząsnęła głową. Usta jej krzywiły się jak do płaczu, ale oczy, rozszerzone i gorące, były suche, a w gardle nie łzy ją dławiły, ale płomienie!

— O, wuju! — szepnęła głucho. — Nie bałamucił on mnie i nie na schadzce byłam teraz. Chodziłam do niego, ale on mnie ani zobaczył, ani poznał, chociaż patrzał. On, wuju, zwarjował w lochu, gdzie go od miesiąca zamknął ojczym!

Odachowski skamieniał. Oczy wytrzeszczył, ręce opuścił i milczał, przerażony. Dziewczyna drgającemi usty, urywano, bezładnie, mówiła dalej.

— Wuju, za co to na mnie przyszło? Przecie nie od Boga! Com ja zawiniła? Za co mi się stała

taka krzywda i takie pokaranie? Inni domy i rodziny mają, rodziców i przyjaciół, a jam jego jednego miała tylko! Czy to grzech pokochać sierocie? Czy mi nie wolno duszy oddać, serce podarować?! Przeciem go nikomu nie odebrała!... On sam był jak palec i tylko wrogów miał. Ja sama nie wiem, jak to przyszło, że on mi się stał wszystkiem na świecie. Myślałam, że mi tak Bóg dał za rodziców pomarłych, za dolę sierocą... A teraz wszystko dobre się skończyło!... Tak nam snać sądzono z pokolenia w pokolenie marnieć i marnieć!

Odachowski przyszedł do siebie.

— Jakże to? Co to? Opowiedz porządnie. Zwarjował Sewer Stamierowski? — Naprawdę? Zdaje ci się może. Rudakowski może tylko bajkę puścił w świat. Ależ to awantura.

— On taki strasznie gwałtowny był — mówiła Kostusia, drżąc na całem ciele z wycieńczenia i nawału przebytych wrażeń. — Powiadają ludzie, że się rzucił na ojczyma w chwili rozdrażnienia. Wzięto go wtedy, napół zduszono, powrozami związano i rzucono jak wściekłego psa do lochu!... Miesiąc cały, miesiąc czekał, że ktoś go wyratuje... Miesiąc wyglądał, że się o niego upomną, a potem rozum się pomieszał! Wtedy ja chorowałam, a on tam gasł!... Mój Boże, Boże!

— Okropność! — szepnął Odachowski, przecierając dłonią czoło.

Kostusia znowu osunęła mu się do nóg i już nie kolana, ale stopy obejmując rękami, błagała.

— Po ratunek do wuja przyszłam, po zmiłowanie nad jego niedolą. Niech go ten człowiek okropny uwolni z tej ciemnicy, gdzie gnije za życia. Czyż dlatego, że on warjat, ma mu być słońce odjęte, głodem ma mrzeć i męczyć się jak zwierzę. Nie odbierze on już tych nikczemnych pieniędzy Rudakowskiemu nie będzie swych słusznych praw dochodził! Już mu niczego nie potrzeba, ani szczęścia ani dostatków, tylko spokoju odrobiny, starania jak około dziecka i lekarskiej pomocy. Przecie on wyzdrowieć może, a jeśli umierać musi, niech mu śmierć lżejsza będzie!

Płakała już teraz, wstrząsana cała łkaniem i żałością.

— Ładne się rzeczy dzieją na świecie — mruczał Odachowski, ponuro patrząc przed siebie. — Ładne! Niema co powiedzieć. No, nie płaczże tak bardzo! To jednak prawdziwe szczęście, żeśmy się w to nie wplątali. Kompromitacja! Brr!... A mówiłem ci, Kostusiu! Przestrzegałem! Poco się było awanturować? Nigdy starszych nie słuchacie! Teraz to doświadczenie przeboleć musisz, zanim zapomnisz. Wartoby cię urzędownie wygderać, ale mi cię szkoda. Uspokój się i idź, spocznij! Ja tu tę sprawę jakoś ciotce wytłumaczę i ułagodzę. Tymczasem prześpij się i zjedz cokolwiek. Musisz być głodna...

Kostusi łzy nagle oschły.

— Wuju, ale go wyratować można? — spytała niepewnym głosem.

— A jakże? — moja droga.

— Wuj do Rudakowskiego się wstawi.

— Ja? — A jakiemże prawem? — Stamierowski mi ani krewny, ani powinowaty. — Czy to nawet wypada wtrącać się w rodzinne sprawy obcych? Naraziłbym się na cały szereg nieprzyjemności. I poco? Wszak sama powiadasz, że on warjat.

— Wuju, może on ma krewnych? — Żeby ich powiadomić?

— Zapewne, że ma krewnych. Opowiadał tutaj nawet o jakiejś bogatej ciotce, wdowie. Zapytany, opowiedziałbym jej ten wypadek, ale tak, pisać do niej pierwszy — nie mogę! Nie wypada!

— Więc cóż będzie, wuju? Komuż wypada? — spytała Kostusia, wstając i prostując się, z ockniętą energją.

— Trzeba czekać! Rudakowski sam się opamięta i zlęknie rozgłosu.

— A jak nie? — pytała krótko i twardo.

— Cierpliwości! Niebywałe to rzeczy! Rozgłosi się i wtedy policja może się zajmie.

— A tymczasem on tam gnić będzie?

— Ha, cóż robić! Nie nasza rzecz wglądać w cudze sprawy. Moja droga, trochę spokoju... Takie interesa nie załatwiają się prędko.

Kostusia nic już więcej nie rzekła. Popatrzyła na wuja wzrokiem osłupiałym, jakby w przepaść,

nagle otwartą, zawróciła się i schyliwszy nisko głowę, wyszła z pokoju. Na ganku rozejrzała się wokoło tym samym wzrokiem, oderwanym od spraw i myśli zwykłych, i zamiast do roboty codziennej się zabrać, poszła do siebie na strych.

Tam usiadła na brzegu łóżka, głowę wzięła w ręce, przymknęła oczy i zaczęła rozmyślać.

Człowiek cierpiał niesłusznie, człowiek ginął. Na wyratowanie go starczyłoby wujowi słów parę zaledwie. Niby nic, a jednak człowiek niech ginie, bo ratować go „nie wypada". Upomnieć się, to narazić się na szereg nieprzyjemności; okazać zajęcie jego dolą, to znaczy skompromitować się. Smutne to, ale... niech człowiek ginie, bo słaby jest, zgnieciony, zdeptany i samotny. Nie ma rodziców ni rodziny, potężnych krewnych i przyjaciół. Nie ma żony ani narzeczonej, ogłoszonej przed światem. Ma tylko ukochaną dziewczynę swoją, której nikt nie zna, a której wypada milczeć i zaprzeć się go, by się także nie skompromitować. Wolno jej płakać i boleć, ale nie wolno łez pokazać, bólu zdradzić, bo jeśli do niego się przyzna, skompromituje się na wieki, weźmie na się wyrok wygnania z towarzystwa ludzi porządnych, odsunięta będzie od szacunku i czci współbraci, wykluczona ze sfery szczęścia, spokoju, pozbawiona dobrego imienia i stanowiska.

Wszystko to stanęło jasno przed Kostusią w owem samotnem dumaniu. Spojrzała myślą za siebie i uj-

rzała swój żywot pracowitej ptaszyny, bezpieczny i niefrasobliwy; spojrzała przed siebie i zdało się jej, że widzi psa oszalałego, umykającego przed tłumem, co nań ciskał kamienie, ścigał z kijami i krzykiem.

Zrozumiała, że żywot jej rozłamuje się na dwoje, że za chwilę nic jej nie pozostanie, co ją z ludźmi wiązało, że bierze na swe ramiona trud beznadziejny, że odtąd aż do śmierci sama pójdzie, odtrącona i sponiewierana.

Poczuła się małą, słabą, bezradną, niezdolną zebrać myśli, wiedziała tylko, że pójdzie tą drogą, nie ustanie, aż padnie lub zmarnieje — ale z nim.

Godziny biegły, a ona wciąż siedziała, nieporuszona, zdrętwiała w jednej pozycji. Powoli gorycz dla świata ustępowała w niej miejsca planom do czynu i nowej pracy. Zbierała myśli. Tysiąc projektów snuło się jej po głowie. Czy ma iść szukać owej ciotki Sewera? Ale gdzie, jak? Czy napisać do Kazia o pomoc i radę? Ale czyż Kazio od nauk przyjedzie na jej wezwanie? Czy jest czas czekać na odpowiedź, prawdopodobnie niepomyślną. A tymczasem żyć cierpliwie i spokojnie, wciąż go mając w oczach, wciąż słysząc ten głos: „gdzie ona?".

Zerwała się z miejsca. Chciała iść zaraz. Zatoczyła się. Poczuła słabość i głód okropny. Nie dojdzie w tym stanie nawet do chaty mamki. W tej chwili drzwi się otworzyły i zajrzała szafarka.

— Pani odesłała mnie do panny z kluczami — rzekła niechętnie i lekceważąco, obrażona za nieufność.

Kostusia wzięła klucze w milczeniu. Miała w pierwszej chwili zamiar odnieść je ciotce, za chleb podziękować, pożegnać i wyjść z ich domu. Opamiętała się jednak, że jej nie puszczą od siebie, gotowi zamknąć i uwięzić. Widziała przecież, jak Sewera uwięziono, choć taki mocny był i niezależny.

Zlękła się. Jeśli przewidzą jej zamiary i siłą zatrzymają, co z nim się stanie! Nie, trzeba milczeć i nie zdradzić się niczem. Nie zdradziła się też. Jakby nic nie zaszło, wzięła się do roboty; wieczorem zasiadła z innymi do stołu.

Wuj zapewne uprzedził rodzinę, bo nikt jej nie zaczepił ani się nawet odezwał. Z oczu tylko ciotki wyzierało bezmierne oburzenie, z Jadwisi złośliwe drwiny, z Feli bezgraniczne lekceważenie i pogarda. Wuj był chmurny, ale nie rozgniewany. Znać było, że go drażnił obiad bez wesołości i żartów.

Kostusia przeceniła swe siły. Tej nocy nie poszła do mamki. Jak kloc podcięty legła na posłaniu i usnęła ciężko, przez sen skarżąc się i płacząc.

VI.

Dawna Kostusia zginęła bezpowrotnie. Uśmiechy jej nie umilały wujowi śniadań i obiadów, słodkie odpowiedzi nie rozchmurzały ciotki, serdeczne powitania nie rozchylały jej ust względem podwładnych. Snuła się po dworze niema i blada, z głową ku ziemi zwieszoną, jakby ją ciężar myśli przytłaczał, z oczami, gorejącemi posępnie. Czasami wśród roboty ustawała nagle, opuszczała ręce i godzinami tak trwała, jakby osłupiała. Czasami ginęła na czas dłuższy, a strofowana przez ciotkę, zacinała się w opornem, kamiennem milczeniu. Zaległa robota nie troskała jej, a spełniona nie cieszyła. Zapominała też często, znosząc obojętnie nieznośne dla niej wymówki i napędzanie.

Nie poszła raz drugi z prośbą o pomoc do wuja i płaczącej nikt nie widział. Postanowienie jakieś nieodwołalne, stałe dojrzało w jej duszy, opanowało wahanie i rozpacz. Była jak ptak przed odlotem, przejęty bliskością drogi, który do gniazda nie zagląda, żeru zaniedbuje i tylko przeciągle wołając, posępny i nastraszony, w dalekie horyzonty się wpatruje...

Pewnego wieczora wuj ją zawołał, gdy przechodziła koło ganku.

— No, cóż, Kostusiu! Uspokoiłaś się trochę! — rzekł.

— Uspokoiłam się! — odparła bezdźwięcznie.

— No, nie myśl też, żebym twą sprawę puścił w niepamięć. Dowiadywałem się do Stamierowa i jak tylko Rudakowski wróci, pojadę do niego i coś wspomnę mimochodem!

Dziewczyna spuszczone oczy podniosła nagle.

— Rudakowskiego niema? — spytała.

— Niema! Wyjechał na parę tygodni. Widzi mi się, że obejrzał się i umieści go w zakładzie! Mówiłem ci, że trzeba mieć cierpliwość.

Kostusia stała chwilę, zadumana. Potem zbliżyła się do wuja i pocałowała go w rękę.

— Dziękuję, wuju, za wszystko dobre i przepraszam! — wyszeptała gorąco.

— Dobrze już, dobrze! Bądź na przyszłość rozsądniejsza! — rzekł łaskawie.

Dziewczyna odeszła. Rysy jej zaostrzyły się i stwardniały, a usta skrzywiły się szyderstwem.

Uspokoiła się i będzie rozsądna.

Wcześnie dnia tego poszła do siebie na strych i zaczęła się krzątać gorączkowo. Z zielonego kuferka dobyła ową granatową flanelkę, otuliła się chustką i pobiegła do pisarza. Po krótkim targu, pozorując sprzedaż potrzebą nowej bielizny, dostała za nią sie-

dem rubli. Potem wróciła znowu do izdebki, unikając, by kogo nie spotkać.

Rozejrzała się po swym inwentarzu, jakby go rachowała. Rozłożyła chustczynę na podłodze, przykucnęła obok kuferka i jak niegdyś, przy Kaziu, wypróżniła go do dna. Zwinęła do chustki bieliznę, zwitek swych rodzinnych pamiątek, sukienczynę jedną i futerko wytarte, wzięła lichą kołderkę z posłania, resztę zostawiła nietknięte. Potem obejrzała swe obuwie, siedem rubli ukryła na piersi, kuferek postawiła na miejscu, tłumoczek obwiązała sznurkiem, zdmuchnęła lampkę i usiadła u okienka.

Noc już była na dworze. Kostusia zacisnęła zęby i skurczyła się, chcąc stłumić nerwowe drżenie. Nasłuchiwała, czy jej nie zapotrzebują z dołu. Wokoło panowała cisza, dolatywały tylko dźwięki fortepianu, na którym piękna Fęla wykonywała biegle koncertową sztukę. Czasem ktoś ze służby przebiegł dziedziniec lub drzwi skrzypnęły od kredensu.

Na łąkach odzywały się derkacze, to gdzieś w szpalerze sowa zapiszczała żałośnie. Dziewczyna raz i drugi wyjrzała ku gwiazdom, jakby ich pytała: czy już czas; nie ruszała się jednak.

Nareszcie fortepian ucichł, w pałacu zamykano i ryglowano drzwi i okna. Kostusia jeszcze czekała. Upływały minuty, jej się zdawało, że godziny. Aż wkońcu miesiąc srebrnym sierpem wysunął się na niebo i zaświecił w izbie.

Dziewczyna wstała, odpięła swój pasiasty fartuch i złożyła go na stole wraz z kluczami, potem uklękła na chwilę i modliła się cicho. Wstała, obrzuciła wzrokiem izbę, dłużej nieco zatrzymała oczy na mircie swoim w okienku, tłumoczek wzięła na plecy, otuliła się starym szalem, zdjęła obuwie i boso, z bijącem sercem zeszła na dół.

Noc była ciepła i cicha. Psy podwórzowe poznały swą karmicielkę i towarzyszyły przyjaźnie aż do wrót. Tam je pogłaskała raz ostatni na pożegnanie, prześlizgnęła się przez furtkę i już sama zupełnie została, na pustej drodze, oświetlonej fantastycznie księżycem. Obuła się i szła prędko, poprawiając od czasu do czasu usuwający się z pleców tłumoczek.

Zboża już były zżęte, zjeżone krótką ściernią. Skręciła na miedzę do lasu. Mamka do snu się już zabierała, mrucząc pacierze na ławie pod piecem, gdy Kostusia weszła do izby i zaniepokojona ciszą i ciemnością, zawołała na nią. Stara zatliła drzazgę i przerażona, spojrzała na węzełek, który dziewczyna położyła obok siebie na ławce.

— Gdzie ty się wybrałaś, zazulo — zawołała.

— W drogę. Wiecie, że Rudakowskiego niema.

— Wiem. Chodziłam wczoraj.

— A któż *jemu* jeść nosi teraz?

— Ekonom stary!

— Dobry człowiek?

— Zdaje się dobry. Loch uprzątnął tam i nieboraka ubrał i oporządził.

— Cóż on?

— Nic! Jednakowy. Ni się rusza, ni gada. Powiadają, że go kiedyś do miasta wywiozą, skoro Rudakowski wróci.

— Niedoczekanie ich! — dziko zamruczała Kostusia.

— I ty jednaka, zazulo! — westchnęła baba. — Nie odstaniesz od swej myśli?

— Nie. Ja tylko pory czekałam. Rudakowskiego niema, sam czas! Już nie wrócę, skąd idę! Nie zamkną jego w szpitalu, nie zamęczą!

— A jakże go wyrwiesz z za tych krat?

— Wyrwę. Choćbym miała rękoma pod mur się podkopywać, choćbym miała deski z drzwi zębami wygryzać. A przecie Bóg jest i mnie nie opuści!

Stara, stękając, usiadła przy niej.

— To i mnie tu nie zostawać, a wlec za tobą stare kościska. Podgajski pan będzie ciebie szukał, ziemię i niebo przetrzęsie. Wezmą mnie i po sądach będą włóczyć i spokoju nie dadzą! Oj, dola moja nieszczęśliwa.

Kostusia milczała ponuro. Kobiecie tej radaby była nieba przychylić, a gotowała piekło na dni ostatek. Wstała i ręce jej czarne i twarde ucałowała, nie mówiąc słowa. Baba broniła się daremnie.

— Kostuśka, przestań. Nie sromaj mnie! Tożbym ja tutaj bez ciebie i dnia nie wytrzymała. Sądzenie takie i Boża wola! Pójdziemy, zazulo! Poratuje nas Jezus cudowny! Ot, ty na mogiły swoje pójdź i pożegnaj, a ja szmaty zbiorę! Czas nam w drogę.

Wstały, obie już zupełnie spokojne i zdecydowane. Kostusia na cmentarzyk pobiegła raz ostatni. Objęła rękoma matczyn kamień grobowy i zapłakała cicho, tuląc usta do zeschłego wianka. Ten sam był, który w dzień zaręczyn położyli z Sewerem. Tak niedawno, zda się, a tak dawno.

Ostatnie to już było pożegnanie i ostatnia walka! Już odtąd nie będzie miała gdzie pójść z tęsknotą, z żalem, nikomu się poskarżyć. Wzięła w róg chustki trochę ziemi i raz ostatni oczyściła mogiłę, potem ku temu polu, dla niej tak świętemu, zwróciła oczy gorejące, jakby je na życie całe chciała zapamiętać. I odeszła, oglądając się żałośnie. Nie zobaczy bo już nigdy tego miejsca.

Mamkę już zastała gotową do drogi. Wzięły na plecy zawinięcia, przeżegnały się i poszły. Kostusi opadła gorączka. Znać było, że przez ten czas myślała dużo i plan działania układała drobiazgowo. Nawet przed tą jedyną duszą przyjazną nie skarżyła się już i nie rozpaczała. Mówiła spokojnie, obejmując komendę wyprawy.

— W Stamierowie, mamko, zostaniecie w miasteczku i czekać na mnie będziecie. Sama do dworu

pójdę. Jeżeli mi tej nocy pierwszej Bóg go nie odda, ukryć się trzeba będzie, bo już pojutrze szukać mnie będą. Nad ranem wrócę do was i pójdziemy dalej szukać, gdzie po lasach zwierzęta się kryją! A może już z nim przyjdę!

— Dałby Bóg. I cóż zrobimy wtedy.

— Pójdziemy, aż gdzie nas nikt nie pozna i nie odnajdzie. Świat szeroki!

— Szeroki, ale zły. A pieniądze masz, zazulo?

— Mam! Potem może robotę jaką Bóg da! Byle już jego odzyskać.

— Oj, dołoż moja, dolo! I na jakąż to drogę ja twoje białe nóżki myłam, twoje liczko pieściłam Na takie ja tobie życie o złotym królewiczu w kołysce śpiewałam.

— Nie płacz nade mną, mamko, bo ja ni narzekam, ni się skarżę. Bóg mi tak dał, a matka nie opuści. Nie o sobie teraz myśleć, a o nim!

Szły prędko, a księżyc im świecił i prowadził.

W Stamierowie stanęły o świcie i rozstały się na wstępie do miasteczka. Baba zaszła do krewniaka, którego chatę mieszczańską wskazała Kostusi. Dziewczyna oddała jej swój tłumoczek i zawróciła w stronę dworu.

Śpieszyła się, by jeszcze niedostrzeżona, przekraść się za płot w chmielniki i gąszcze ligustrów, otaczających lamus. Udała jej się ta pierwsza część wyprawy. Nikt nie widział, jak się wślizgnęła do

dworu. Wtuliła się w najgęstsze krzaki, nie dbając, że jej szarpią odzież, twarz i ręce, i jak zwierz przypadła do ziemi pod osłoną dobroczynnych gałęzi.

Dzień się robił. Widziała ze swej kryjówki drzwi lamusu i ścieżkę, co doń wiodła, utkwiła w ten punkt myśl i oczy. Inne wrażenia pozostawiały ją nieczułą. Nie dbała o bolące nogi, o pragnienie i głód, nawet potrzeby snu nie czuła.

Na swem posłaniu z traw i suchych, zeszłorocznych jeszcze liści siedziała nieruchoma, objąwszy rękami kolana, wpatrzona w jeden punkt, zacięta w swem postanowieniu, cierpliwa aż do śmierci. Czekała wieczora, czatowała na ukazanie się czyje na tej ścieżce, mało widocznie uczęszczanej. Kto się ukaże? Wróg, czy przyjaciel?

Oczekiwanie to nad wyraz wszelki długie było i męczące. Czasami, ogarnięta nieznośnem osłabieniem i znękaniem, schylała głowę aż na kolana, ale wnet ją podnosiła, zajęta ladajakim szmerem i ruchem.

Dzień jak wieczność był długi do przeżycia. Pragnienie ją pożerało, do krat się wspiąć i popatrzyć na niego, odezwać się, zawołać po imieniu, ale bała się, że ją ktoś ujrzeć może i odpędzić. Cierpiała, zaciskając nerwowo zęby i przecierając oczy, które wpatrywanie się w punkt jeden powlekało mgłą i łzami. Czy się kiedy ten dzień skończy i co jej ta noc przyniesie. Nareszcie doczekała się zmroku, ślicznego letniego półzmierzchu, pełnego woni i ciszy, uspo-

sabiającego do pieśni i marzeń. Na ścieżce do ustronnego więzienia rozległy się ciężkie kroki okutych butów i kaszel astmatyczny.

Ukazał się nareszcie człowiek. Wysoki był, zgarbiony, kościsty. Kostusia dojrzała jego wpadłe piersi, ponurą twarz i pęk wielkich kluczy w ręku. W drugim niósł koszyk przykryty. Doszedł do drzwi, zmitrężył chwilę, dobierając klucz, otworzył i wszedł do środka, przywierając tylko zlekka odrzwia.

Kostusia podskoczyła ze swej kryjówki. Z trwogi i wzruszenia drżały jej nogi i ręce, dzwoniły zęby.

Słońce zachodziło właśnie za lamusem i resztką swej czerwieni oświecało ponurą izbę. Na zwykłem swem miejscu pod ścianą, w kącie, siedział idjota. Nogi wyciągnął przed siebie, ręce odrzucił, oczy miał przymknięte, utkwione w jakiś punkt ceglanej podłogi. Nie zauważył wejścia dozorcy. Przez ten czas wychudł bardziej i sczerniał na twarzy. Cerę miał ziemistą, wpadłe policzki, jamy oczne jak latarnie bez szkieł, ciemne i głębokie.

Stary ekonom popatrzył nań ponuro i splunął przez zęby. Wczorajszy posiłek stał nietknięty obok biedaka. Schylił się oficjalista i w ramię go trącił.

— Jeść pan nie chce? — zagadnął grubym głosem, w którym żal i gniew brzmiał zarazem.

— Gdzie ona? — niewyraźnie szepnął chory.

Za plecami starego głuchy jęk się rozległ. Obejrzał się, ale już Kostusia była u boku więźnia i za

głowę go obejmując, odpowiadała, niepomna na obecność stróża, sługi Rudakowskiego.

— Sewer, toż jestem, jestem. Przyszłam po ciebie! Pójdziesz ze mną na swobodę, na wolność. Patrz, tam tak pięknie, zielono na dworze. O, mój jedyny, czy ty mi darujesz kiedy, żem tak późno przyszła! Sewerze! Popatrz na mnie, powiedz cokolwiek!

Biedak bezwiednie głowę o nią wsparł, ale milczał. Stary ekonom odstąpił o krok, ręce założył — z pod brwi nawisłych patrzał na nią, zmarszczony i ponury.

— Czego tu panna przyszła? — spytał surowo.

Kostusia oczy podniosła, opamiętała się.

— O, panie! — szepnęła. — Ja chciała was prosić, ale jak on mnie zawołał, zapomniałam!

— To on o pannie mówi?

— O mnie! O kimże? Żeby kogo swego więcej miał na świecie, nie dożyłby tego! Ja nie mogłam prędzej przyjść. Bóg widzi! Nie mogłam!

— A panna kto taka?

— Ja Skowrońska się nazywam.

— Kazimierza Skowrońskiego może córka?

— Tatusia pan znał! On nie żyje — już dawno!

— Toż wiem! Dawno umarł, pewnie, że dawno! Panna wtedy mała była, nie pamięta.

— Nie... Pół roku miałam.

— Słyszę, w Podgaju Skowrońskich sierotę przygarnęli.

— Przygarnęli jak własne!

— A on pannie kto? — ręką Sewera wskazał.

— On mój narzeczony — moje wszystko sieroce!

— Ten warjat!

— To co? Czy dlatego, że go ludzie zgubili i rozum stracił, porzucić go mam! Czy żeby u pana dziecko było chore, panby go nie kochał. Toć on mój zawsze. Stokroć droższy teraz, stokroć ukochańszy!

— Skowrońskich sierota! — zamruczał stary do siebie. Pocoś tu panna przyszła?

— Po niego! Zabiorę go sobie, choć tę resztkę, ten cień, zabiorę, żeby go ojczym doreszty nie zamęczył, żeby się nad nim ludzie nie znęcali. Zabiorę, bo on mój i Bógby mnie skarał, a rodzice zmarli przeklęli, żebym go teraz opuściła!

— A jakże go panna zabierze! On trup. Nie wstanie i nie pójdzie, choćby mu teraz drzwi zostawił otworem. Żebym go nie karmił gwałtem, umarłby oddawna. Zapóźno dla niego każdy ratunek.

Kostusia wstała. Oczy jej zabłysły, a policzki pokryły się purpurą.

— To go nieść będę albo wlec za sobą. Na wóz go położę! Ale zabiorę!

— Panna gada, jakby mnie tu nie było! A któż mówił, że ja go zabrać pozwolę — burknął stary.

Rzuciła się mu do nóg, zanim się spostrzegł.

— Pozwoli pan! — jąkała z rozdzierającą serce prośbą. — Pan się użali nade mną i nad nim, nieszczę-

śliwym. Niceśmy złego nie zrobili, poco nam marnieć. On mi ojcem i matką, bratem i siostrą, wszystkiem. Pan może dzieci ma, to Bóg dzieciom pana za nas, sieroty, odda stokrotnie. Co my szkodzimy komu na świecie, ten biedak i ja! Nie zobaczy nas nikt tutaj, nie zaskarżymy nikogo o nasze bóle i krzywdy! On już umilkł na wieki, a ja nędzna, biedna dziewczyna! To jedno mam swoje! Pan pozwoli go zabrać! Pan pozwoli!

Stary odwrócił się do okna... Zmrużył parę razy oczy i zwisły wąs szarpał.

— Skowrońskich sierota! — zamruczał raz drugi.

Potem przemógł się i rzekł, zawsze surowo.

— Gdzież go panna zabierze!

— Pójdziemy precz, daleko, żeby nas Rudakowski nie pojmał.

— A pieniądze panna ma?

— Mam.

— A papiery dla policji są?

— Metrykę swoją mam.

— A on?

— On — nie wiem! — szepnęła.

— Kiedym go przebierał z tych łachmanów, w których go tutejszy pan zostawił, znalazłem w bocznej kieszeni pugilares. Nie zaglądałem do środka i położyłem tam, w niszy! Proszę zobaczyć.

Kostusia poskoczyła we wskazanym kierunku i gorączkowo otworzyła pugilares. Było w nim kilkanaście

rubli i kilka arkuszy urzędowego papieru. Podała je staremu, który do okna się zbliżył i przy resztce światła przejrzał pokolei.

— Jest świadectwo szlachectwa. To dosyć — mruknął, wręczając jej napowrót.

Chwilę stał u okna i wyglądał przez kratę, zamyślony i ponury, wreszcie odwrócił się do niej.

— Poco to całe gadanie, kiedy żadna moc nie skłoni go do ruchu, nie pobudzi do wyjścia! Toż ja go codzień widzę od tygodnia.

Kostusia zadrżała cała i wyprostowała się podniecona.

— Pójdzie ze mną! — rzekła.

— Popróbujcie! — burknął stary, zakładając znowu ręce i usuwając się do drzwi.

Dziewczyna, rozgorączkowana, dysząca, poczuła, że ta chwila stanowić będzie o całem jej życiu. Natchnienia bywają w takich chwilach. Pochyliła się nad Sewerem, ujęła go za rękę, zajrzała w oczy.

Źrenice jej skupiły w sobie wszystkie siły, całą moc duszy. Patrzała nań tak teraz jak niegdyś, gdy hamowała i prosiła w chwili wybuchu.

— Chodź, Sewer! — rzekła krótko, ale stanowczo.

Idjota oczy podniósł i na jej twarzy zatrzymał.

— Choć, Sewer, za mną! powtórzyła, — pociągając go lekko.

Poruszył się i wstał mozolnie, nic nie mówiąc.

Wciąż go magnetyzując wzrokiem, sama tak zmęczona i przejęta wrażeniem, że głos jej zamierał, wyszeptała.

— Idźmy, Sewer! Na śmierć czy życie, ale razem!

Prowadząc go za rękę, doszła do drzwi. Stary ekonom rozwarł je przed nią. Wydostała się na swobodę, wyprowadziła swój skarb.

Sewera odurzyło powietrze. Stał chwilę, mozolnie pracując płucami, chwiał się na nogach. Posadziła go pod ścianą, wróciła do starego, który im się przypatrywał z progu, zawsze posępny.

— Dokazaliście swego! — rzekł. Nakarmić go teraz trzeba. Rudakowski was prawdopodobnie dogoni, ale ja tych drzwi już za nim nie zamknę. Idźcie z Bogiem.

Rzuciła mu się do kolan z wybuchem wdzięczności; błogosławiąc prostemi, serdecznemi słowy. Usunął się, szorstko się uchylając.

Wróciła do Sewera i przyklęknąwszy nad nim, karmiła jak dziecko, rozpromieniona, niepomna goryczy, która ją czeka przez całe może życie. Od progu stary jej się wciąż przyglądał w milczeniu. Zmrok gęstniał i szary już był świat wokoło. Kostusia zbliżyła się jeszcze raz do niego.

— Pójdziemy już! — rzekła. — Noc nadchodzi, a nam szybko trzeba się stąd oddalić! Oby panu Bóg zapłacił. Jeszcze konając, będę pana błogosławić.

Nic nie odrzekł, tylko głową kiwnął i jeszcze stał. W szarym, coraz gęstszym zmroku widział, jak od ściany lamusu oderwały się dwa cienie. Jeden naprzód wątły i drobny, drugi wysoki, zgarbiony i poszły prędko, niknąc w otaczającej nocy.

Poruszył się wreszcie, ręką po licu powiódł i niewyraźnie, jakby na usprawiedliwienie przed sobą samym spełnionego czynu, zamruczał:

— Skowrońskich sierota!

Potem klucze swe zabrał, drzwi lamusa przymknął niedbale i odszedł w stronę dworu, ciężko kaszląc.

A dwa czarne cienie przeszły już na drogę i szybko oddalały się od złowrogiego miejsca. Kostusia szła przodem, silnie ściskając w ręku dłoń nieruchomą Sewera. Tak go wiodła jak dziecię słabe i niedołężne, a on dawał się prowadzić, stąpając automatycznie, posłuszny, cichy. Prędko opuścili drogę. Instynkt zachowawczy pociągał dziewczynkę w puste pola i krzaki. Orjentowała się światełkami w miasteczku.

Nie dochodząc ulicy, pod płotem mieszczańskiego ogródka przystanęła. Bała się go zostawić tutaj samego, bała się z nim iść do osady, między ludzi, żeby śladu nie zdradzić. Zdecydowała się raczej na pierwsze, ufna w swój pośpiech.

— Usiądź tu, Sewer — rzekła zcicha, pociągając go na ziemię.

Usłuchał.

Ulokowała go wygodnie, otuliła swą chustczyną przed wieczorną rosą i pobiegła do miasteczka, polecając się Bogu litościwemu.

Przecież większy cud mi sprawił, żem go odzyskała, zachowa i teraz.

Biegła ulicą, szukając pokazanego jej przez mamkę domostwa. Szczęściem było doń niedaleko, a stara, snać niespokojna o nią, wyglądała przez okienko. Kiwała jej głową i po chwili wyszła, żegnana przez krewniaków. Spotkały się na ulicy. Kostusia odebrała jej swój węzełek i szły czas jakiś, milcząc.

— A co? — spytała wreszcie baba niespokojnym szeptem.

Dziewczyna odpowiedziała jej raczej wzrokiem niż słowem. Z oczu jej biła łuna zapału i dobrej otuchy.

— Jest! — rzekła tylko.

— Gdzie?

— Ot, tam.

— Jakżeś go stamtąd wydarła?

— Dobry człowiek oddał.

Stara westchnęła. Może w jej starej, praktycznej głowie roiło się, że dziewczynę znękają i od zamiaru odwiodą przeciwności nie do przebycia. Inaczej się stało. Nie wrócą już, ale pójdą, gdzie oczy poniosą, na poniewierkę i wstyd. Nic jednak nie powiedziała.

Kostusia wyprzedziła ją. Sewer nie ruszył się z miejsca, ale też i nie spojrzał na nią, gdy stanęła nad nim. Odetchnęła, zwolniona od srogiego niepokoju. Mamka się przywlekła i złożyły naradę. Postanowiły zaraz wyruszyć, iść pieszo i tylko nocą, w dzień odpoczywać po lasach. Potem, gdy się trochę oddalą, najmą furę, żeby prędzej w nieznane strony dotrzeć. Teraz mógł ich poznać ktoś na drodze, zdradzić właściciel podwody. Przecie ich szukać będą: z Podgaju i ze Stamierowa.

— Chodźmy z Bogiem, a wy, mamko, prowadźcie — rzekła po naradzie Kostusia.

Ruszyli. Stara naprzód, kijem się podpierając, dziewczyna, wciąż prowadząc chorego. Brzegiem gościńca, ścieżyną wydeptaną szli, nic do siebie nie mówiąc. Przejeżdżający widzieli tylko trzy szare cienie, przesuwające się napozór widm pod brzozami wysady. Kostusia czuła głód i zmęczenie. Nie ustawała przecie i tylko od czasu do czasu dotykała delikatnie dłonią czoła Sewera. Gdy je znajdywała spotniałe i zimne, odzywała się zcicha:

— Mamko! Spocząć trzeba, on się zmęczył.

Wtedy odpoczywali na chwilę. Chorego umieszczano pod drzewem, one siadywały obok niego i gwarzyły zcicha, wciąż o jednem. Potem szli znowu, owładnięci bojaźnią pogoni. Ranek ich zastał w lesie, dobroczynnem, bezpłatnem schronieniu. Zeszli z drogi w gęstwinę leszczyny. Pod krzakiem Kostusia ro-

zesłała wydobytą z tłumoczka kołdrę, ułożyła na niej Sewera. Wsunęła mu pod głowę swe futerko, okryła szalem.

Położył się, jak zwykle posłuszny. Zrazu wodził bezmyślnie wokoło oczyma, potem je przymknął i zasnął.

Wtedy ona pomyślała o sobie. Mamka rozlokowała się opodal, dobyła z sakw czarny chleb i zimne gotowane kartofle. Kostusia zaczęła jeść chciwie, co chwila się odwracając, by na śpiącego popatrzyć.

— Żeby choć ognia rozpalić! — rzekła stara — mam trochę krup i okrasy. Zwarzyłabym ci, nieboże, kaszy ciepłej. Zachorujesz od tego jadła.

— Nie można! Ogień zobaczą! Smaczniejszy mi wasz ten chleb jak to wszystko, com od miesiąca w Podgaju pożywała. Dalekośmy odeszli?

— Półtrzeciej mili.

— Tak mało! Tak mało! — wyszeptała do siebie, zamyślona.

Przestała jeść, strapiona i niespokojna. Ileż to jeszcze nocy iść tak trzeba będzie i gdzie się oprzeć wkońcu!

Bardzo się zmęczoną czuła. Mamka ze szmat swych zrobiła jej posłanie.

Gdy słońce wejrzało w gąszcze, ujrzało tych troje nędzarzy, śpiących cicho i ciężko, jak się śpi czasem po wielkiem nieszczęściu, jak się śpi zawsze po wielkiem utrudzeniu.

Stara zbudziła się pierwsza, zaraz po południu. W jej wieku niewiele się już snu potrzebuje. Siedziała tedy skurczona, posępna. Patrzała na Kostusię, uśpioną obok siebie. Chusteczka zsunęła się dziewczynie z głowy i widać było żółtawą, chorobliwą cerę twarzy, roztargane ciemne włosy, a koło ust skurcz bolesny, niemłody już!

Mamka, żałośnie skrzywiona, opędzała jej z twarzy natrętne owady, zazdrosna o chwile zapomnienia biedaczki. Potem spoglądała na Sewera i coś mruczała niechętnie. Czuła do niego niechęć i gniew, hamowany tylko przywiązaniem do dziewczyny. Żeby nie on, życie jej zazuli byłoby ciche i spokojne.

A wtem Sewer się przebudził. Martwe jego oczy, nic nie widząc, rozejrzały się błędnie wokoło. Zapewne czegoś pragnął, ale nie potrafił wyrazić swej chęci, a tylko po swojemu bezdźwięcznie wybełkotał:

— Gdzie ona?

Zanim mamka miała czas wstać i podejść do niego, już do Kostusi ten dźwięk doleciał. Zbudziła się i zerwała na równe nogi.

— On pewnie głodny! — zawołała.

Odgadła. Z jej ręki jak dziecko zjadł kromkę chleba. Nic mu więcej w tej chwili dać nie mogła. Nawet wody nie było wpobliżu, a szukać wsi lub osady lękała się ze względu na bezpieczeństwo. A on się też więcej nie dopominał niczego.

Zaspokoiwszy głód, zapadł w nieruchomość i bezmyśl. Jemu się zapewne zdawało, że wciąż jeszcze w lamusie jest zamknięty.

Gorzkie łzy zakręciły się w oczach Kostusi. Nie odzywała się już do niego, nie wołała, nie pytała, oswajała się z okropną, beznadziejną myślą.

O zmroku poszli dalej, w rowie przydrożnym ugasiwszy pragnienie. Nocy tej zrobili trzy mile, ale gdy nad ranem stanęli dla odpoczynku, Kostusia była doszczętu wyczerpana. Na dobitkę niedoli dzień ich zastał w odkrytej okolicy, nie było dobroczynnej gęstwiny. Zmuszeni do wypoczynku, schowali się pod most na wyschłym prawie strumyku i tam przetrwali prawie do zmierzchu. Dla Sewera tylko znalazło się suche niby legowisko.

Kobiety spędziły ten dzień, siedząc w błocie, skulone, drżące, nie mogąc się prawie poruszyć, w ciągłym strachu, że je tu znaleźć może pastuszek lub pies i sprowadzić odkrycie. Zimne, gliniaste kartofle nie szły do gardła Kostusi, chleb oszczędzała dla Sewera.

Pięć i pół mili dzieliło ich zaledwie od Stamierowa. Postanowiły zaledwie nazajutrz, gdy przebędą ośm, wstąpić na nocleg do karczmy.

— Kupimy mu mleka i bułek! — mówiła dziewczyna. — Toż on biedak głodem mrze i chłodem marnieje!

— A ty? — mruknęła mamka rozdrażniona.

— Mnie dobrze tak! — odparła spokojnie, zdobywając się na dawny swój słoneczny uśmiech.

— Na dziesiątej mili weźmiemy podwodę — mówiła dalej słabym, sennym głosem.

— A gdzież tej drodze koniec będzie? — burczała stara. — Toż tu zaraz moje strony znajome się kończą. Między obcych ludzi wpadniem, w cudzy kraj. Gdzież my się przytulimy?

— Bóg wie! Jeszcze daleko, daleko iść trzeba!

Usnęła pomimo niewygodnej pozycji, ale sen taki nie był pokrzepieniem.

Gdy znowu znaleźli się na drodze, czuła u nóg jakby ołowiane ciężary, a wszystkie członki bolące i sztywne. Dla pokrzepienia spoglądała na Sewera i nabierała nieludzkich sił. Rękę jego ściskała mocno w swojej i podwajała kroku.

Tak dotarli nad ranem do jakiejś wsi.

— To Ignatów — rzekła mamka. — Na odpuście tutaj kiedyś byłam, a dalej nigdzie. Wstąpimy do karczmy.

Długi czas posiedzieli na dworze, zanim się szynkarz rozbudził i drzwi odryglował. Wpuszczono ich nareszcie do izby. Baba wypiła wódki, Kostusia kupiła mleka i nakarmiła Sewera. Przyglądano się im, ale bez zbytniej ciekawości. Do miejsca tego z powodu odpustów wiele różnych się ludzi schodziło.

Posiliwszy się, uprosiły obie na odpoczynek miejsce w komórce, pełnej siana, nie chcąc się narażać na spotkanie z chłopstwem w szynkowej izbie.

Gdy Kostusia zdjęła obuwie, znalazła je podarte a nogi pokaleczone. Przestraszyła się bardzo i długo pomimo zmęczenia zasnąć nie mogła na myśl przeszkody w podróży. Ale pomodliła się gorąco, popatrzała na ten skarb swój mizerny, zachowany taką ceną, i uspokoiła się znowu. Przecie ich nie poto Bóg połączył, by zgubić.

Wieczorem mamka poszła na wieś zasięgnąć ostrożnie języka. Dowiedziała się, że gościniec prowadzi do miasteczka Janopola, że tam bywają jarmarki i dostać można, czego dusza zapragnie. Przy tej okazji nabyła kilka jaj, garnuszek nadtłuczony i świeżego chleba. Obładowana, powróciła do komórki. Sewer spał. Kostusia łatała swe trzewiki pociemku. Zdecydowały dotrzeć do Janopola i tam pozostać. Dwadzieścia mil — kawałek świata. Tymczasem cel pewny, choć daleki i nieznany, uspokoił je nieco. Zaczęły ufniej w przyszłość spoglądać. Kostusia uzupełniła zapasy.

Kupiła dla mamki flaszkę wódki, dla Sewera bułek i mleka; posiliła się znowu ciepłą strawą, zapłaciła i poszli. Kapitał Kostusi umniejszył się o całe dziesięć złotych.

Szczęściem przez czas ten cały pogoda im sprzyjała. Dziewczyna zrobiła tę uwagę mamce, spoglądając ku gwiazdom, które świetnie wyiskrzone, mrugały ku niej.

— Dzięki Bogu i za to — rzekła stara. — Byleby tylko nas słotami jesiennemi nie pokarał.

— Ej, nie — z odwagą młodości zaprzeczyła Kostusia. — Do jesieni już przytułek znajdziemy i chleb.

Kraj był już zupełnie obcy. Trzymały się brzóz i słupów telegrafu, żeby z gościńca nie zbłądzić.

Rano już nie kryły się po lasach, ale wstąpiły śmiało do wsi spotkanej i w pierwszej zagrodzie poprosiły o schronienie. Gospodarz przyjął ich chętnie, o nic nie pytał i w odrynie spocząć pozwolił.

Coraz się czując bezpieczniejszemi, w miarę przebytych mil i dni, zasnęły twardo.

Wieczorem zaproponowała Kostusia chłopu, by ich odwiózł do Janopola. Zgodził się za opłatą trzech rubli. Dziewczyna porachowała swe zasoby. Potrącając ową żądaną cenę podwody, zostanie jej tylko niespełna trzy ruble. Przystała jednak, spojrzawszy na staruszkę wycieńczoną, na wychudłego Sewera.

Jazda nie okazała się ani wygodną, ani pośpieszną. Czworgu za ciasno było na wozie, konik, zużyty pracą, wlókł się noga za nogą, właściciel poił go w każdej napotkanej studni i pasł przy cudzych owsianych kopach przydrożnych.

W ten sposób trzeciego dnia dotarli do Janopola. Miasteczko okazało się nędzne i ubogie. W karczmie, gdzie ich chłop zostawił, wiatr i skwar wchodziły wszystkiemi oknami bez szyb, słońce i księżyc zaglądały przez strzechę.

Pozostali tam dni parę, orjentując się w położeniu. Mamka przeleżała dobę, stękając. Kostusia szu-

kała roboty i tańszego schronienia. Trudno było o jedno i drugie. Odwiedziła dwóch czy trzech urzędników, wegetujących w miasteczku, była u doktora i aptekarza. Chciała szyć lub haftować, ale ją zbywano pogardliwem ruszeniem ramion i tylko doktorowa nie zamknęła jej drzwi przed nosem, ale zaproponowała pomoc służącej w praniu, jako wielką łaskę.

Codzień, gdy po całodziennem bezowocnem szukaniu dziewczyna wracała do karczmy, smutniejsza była i znękana. Mamka wprawdzie sama sobie dawała radę, bo za strawę i nocleg usługiwała żydom, ale Sewer biedny siedział na przyzbie, głodny, znędzniały.

Uzuchwaleni jego obojętnością, żydziaki zaczęli się zeń naigrawać, biorąc za cel swawoli i drwin. Kostusia zabierała go stamtąd, ukrywała w klitce, pełnej przeróżnych gratów, gdzie im pozwalano nocować, karmiła, pieściła, strzegła. Ale nazajutrz zostawić go musiała samego na dzień cały, na śmiech i żarty gawiedzi.

Kasa jej ulatniała się w oczach. Gdy po tygodniu przerachowała swe fundusze, znalazła tylko parę złotych. Zgarnęła je, ukryła na piersi, pomyślała chwilę i spojrzeniem smutnem pożegnawszy Sewera, wyszła. Pójdzie do prania tedy.

Na progu karczmy zastąpił jej drogę barczysty mieszczanin i pozdrowił uprzejmie.

— Żyd mówił, że wam roboty trzeba? — zagadnął.

— Trzeba — odparła, radośnie ku niemu spoglądając.

— Len mi pora zdjąć i posłać! Chcecie, to chodźcie!

— Nie wiem, czy potrafię! — rzekła nieśmiało.

— Ręce bo macie cienkie! — zauważył, przyglądając się jej uważnie. — Nietutejsi jesteście?

— Nie.

— I nie sami?

— Nie.

— No, to nie przebierajcie w robocie. Służby wam nikt nie da!

— Dziękuję wam i za to! — szepnęła pokornie.

— No, to chodźcie, kiedy zgoda!

Poszła za mieszczaninem aż na jego pole za miastem. Pokazał jej zagony lnu i zaczęła go rwać pracowicie. Przyglądał się jej, leżąc na miedzy.

— Baba mi zmarła w same żniwa — opowiadał. — Samem został z tylą roboty! Koszt, kłopot i strata. Układajcie garście gładko i równo. Dobrze robicie. A jak na was wołają?

Zawahała się z odpowiedzią. Zależne i podrzędne było jej dotychczasowe stanowisko, ale wyrobnicą płatną pierwszy raz została i gorzko jej było mimowoli na tę myśl.

— Kostusia mnie wołają — odparła wreszcie zcicha.

— Dziewczyna? — badał dalej.

Skinęła głową.

— Małe macie ręce, ale dobrze robicie — zaczął po chwili znowu. To dziw, że was dotąd chłopcy nie wzięli. Ile wam lat?

— Ośmnaście.

— Sama siła i uroda. A ojcowie wasi gdzie?

— Już w grobie.

— A bracia was czemu nie trzymali?

— Bo i braci nie mam ani niczego na świecie.

— Toteż dlatego was chłopcy ominęli. Uroda bez dostatku to jak siekiera bez stali. A ten głupi, co za sobą wodzicie, to wam kto? Swój?

— Swój! — zcicha potwierdziła.

— Zawadą on wam. Żebyście sami byli, znaleźlibyście zaraz służbę, bo dobrze robicie.

— Jak sądzono, tak będzie! — szepnęła smutno.

Schylona nad zagonem, pracowała prędko i sumiennie. Mieszczanin, zamiast czem się także zająć, dozorował jej niby, ciągle gawędząc. Cieszył go postęp roboty.

Na obiad zaprowadził ją do swojej zagrody. Dostatnia była, obszerna, ale pusta. Szczęśliwa myśl jej przyszła, gdy oglądała domostwo i podwórze.

— Moglibyście mi komorę odnająć — zaproponowała nieśmiało. — Zapłaciłabym wam i za schronienie, i za drwa.

— Żebyście w dodatku zwarzyli mi obiad, uprali mi szmaty i upiekli chleb, tobym się może namyślił.

— Ile zdołam, to zrobię.

— Pomyślę.

Po obiedzie wróciła do pracy i podniecona dobrą nadzieją, robiła za trzech aż do zmroku. Sam jej wreszcie przestać kazał i znowu do chaty zaprowadził. Tam zapłacił jej srebrną czterdziestogroszówkę i do wieczerzy zaprosił.

— Dziękuję! Wracać mi pora — rzekła. — Możeście już pomyśleli o tej komorze?

— Ta pomyśleć to łatwo. Jeśli mi się wieprzem zajmiecie i podoicie krowy w dodatku, to zgoda — odparł łaskawie.

— A co każecie zapłacić?

— Pół rubla na miesiąc.

Zamyślona, odeszła. Warunki były ciężkie, ale dawały dach spokojny, gdzie Sewerowi nikt dokuczać nie będzie. O nią mniejsza. I do takiej pracy się nałoży.

Nie było zresztą czasu i sposobu do namysłu. Pod karczmą biedny idjota siedział jak zwykle. Odzienie miał podarte i błotem okryte, we włosach liście i śmiecie. Zapewne go tak urządzili malcy swawolni. Bezmierna żałość objęła Kostusię na ten widok, zapłakała krwawemi łzami i ukryła go do klitki.

— Mój, ty, biedaku — szeptała przez łzy, oczyszczając go z tych wstrętnych śladów poniewierki. I na tom ja cię z więzienia dobyła. Na taką swobodę, na takie życie. Takie to moje kochanie! I jeszcze teraz się waham, gdy o twój spokój chodzi!

Zupełnie zdecydowana, zabrała swe rupiecie, zawołała mamkę, wzięła za rękę Sewera i poszli.

— Kostuśka, — perswadowała stara — trzeba się było wywiedzieć, co to za człowiek. Okpiwacz może i krzywdziciel.

— Oj, matko! — odparła gorzko. — Czy wy się też jeszcze ludzi boicie? Mnie się widzi, że już nikt gorszy nie będzie od tych, cośmy porzucili za sobą. Co już nam wziąć można i czem skrzywdzić!

Nazajutrz Kostusia roztasowała się ze swą gromadką w wynajętej komorze i obie ze staruszką dokończyły roboty około lnu gospodarza. Było im lepiej tutaj, zdala od miasteczkowego rynku i wstrętnej ciekawości żydowskiej. Wracając wieczorem, Kostusia zastała Sewera pod lipą, na podwórzu, bezpiecznego od napaści i urągań.

Zagroda mieszczanina dotykała drogi i pól szerokich, rzadko kto do niej zaglądał. Było im spokojnie. Obie z mamką wzięły się do roboty ciężkiej, żmudnej, niewdzięcznej.

Sewer, którego mgławe oczy nawykły przez ten czas ścigać Kostusię, gdzieby się nie zwróciła, nie zdawał sobie sprawy, że dziewczę to, wątłe i troską zżarte, nie dla siebie i nie z ochoty wstawało o świcie, by dzień cały krzątać się po cudzej zagrodzie, spełniając obowiązki chłopskiej najmitki. On się niczemu nie dziwił i nad niczem nie zastanawiał. Kostusia nauczyła się chleb piec i warzyć posiłek, doić

krowy i zielsko wieprzakowi zadawać, nauczyła się drwa rąbać i chodzić boso. Miał za to Sewer kąt cichy, a ona bezpieczny przytułek, gdzie do północy szyła grube dla mieszczan koszule albo łatała swe własne szmaty.

Mamka chodziła na zarobek. Zbierały po parę groszy każda, karmiły się nędznie za to. Sewerowi nic nie brakło. Posłanie miał najlepsze, odzież i bieliznę całą i czystą, jadła dostatek. Jakim kosztem i ofiarą, nie rozumiał tego...

Gospodarz był zadowolony z interesu. Często, wróciwszy z pola, a w święto po dniach całych przyglądał się Kostusi, uwijającej się po podwórzu. Rozmawiał z nią chętnie i przyjaźnie, tolerował niemego Sewera, mamki radził się w chorobach bydła i koni.

Przez miesiąc cały spokoju tej doli szarej nie zmąciło nic, najmniejsza kłótnia czy nieporozumienie. Z pól pozbierano zboża wszelkie, noce bywały już chłodne, a wieczory dłuższe, zaczęły deszcze padać na zasiewy jesienne.

Kostusi ręce stały się twarde i ciemne, policzki wpadły, członki wychudły. Nieraz o zmroku stawała na progu i zamyślona, posępnie pytała siebie, zmęczona, z uczuciem wstrętu mimowolnego, czy już tak życie ma całe upłynąć.

Sewer się nie poprawiał, pozostanie trupem takim na zawsze chyba. Nigdy na chwilę nie błysnęło

nic w jego oczach i myśli. Swobody już nie oceniał, nie poznał jej; oprócz tych dwóch swoich wyrazów, co ją bolały nieznośnie, nigdy się nie odzywał. Nie czuł tych łez, które często, nad nim pochylona, wylewała tajemnie, nie okazał nigdy żadnego przykrego czy miłego wrażenia.

I już nic więcej ona dlań uczynić nie może! I tak więc ma pozostać przez wiek długi. Ona, pracując niewdzięcznie i ciężko po dniach całych i nocach, wysługując się tylko za kąt, bez żadnej nadziei na przyszłość. Było jej tak gorzko, jakby piołunem się karmiła. Przecie każdy czegoś się spodziewa i czeka: chory wyzdrowienia, ubogi dostatków, nieszczęśliwy doli, młody losu i kochania. Tylko jej nie było się czego spodziewać i czekać. Nawet zorzy rannej, nawet wieczornego po trudzie odpoczynku, nawet z ust ukochanych dobrego słowa, nawet od swoich pamięci!

Coraz częściej oblegały ją takie myśli! Pod ich wpływem smutniejszą się stawała i w sobie zamkniętą. Bywały dni, że nawet mamka nie potrafiła słowa z niej wydobyć, nie dotykała jadła.

Mogła się teraz nie lękać pogoni, bo trudnoby ją kto poznał. Dziewczynę, kwitnącą rumieńcem i zdrowiem, zwarzył ten czas jak roślinę szron jesienny.

Odzież jej dawna nawet rozleciała się w strzępy, więc przybrała się, jak chodzą ubogie wyrobnice, i tylko wielkie warkocze zostały, blademu czołu wspaniała korona.

Tak upłynął jeszcze miesiąc. Chłody już stawały się dotkliwe. Kostusia, po długiem wahaniu, sięgnęła do pugilaresu Sewera i wzięła swe ostatnie kilkanaście rubli.

Biedak zwykł pod lipą siadywać i nie można go było utrzymać w izbie. Pozostawał, dopóki była przy nim Kostusia, gdy się oddalała za próg, on wstawał jak lunatyk i szedł na podwórze. Bojąc się dlań chłodu i wilgoci, kupiła mu dziewczynka odzież ciepłą i buty, za resztę pieniędzy sprawiła mamce i sobie trzewiki. Na czarną godzinę nic nie zostało.

Gospodarz, gdy raz pierwszy zobaczył idjotę w tym stroju, bardzo się zadziwił.

— Nie brakuje wam pieniędzy! — rzekł do dziewczynki — ustroiliście tę kukłę po pańsku.

— Poco go przezywacie? — odparła gorzko. — Nieszczęśliwy on i tak nad miarę.

— Nie bardzo, kiedy taką ma opiekę i obronę! Jabym, wami będąc, dawno go porzucił. Naco on wam?

— A wam co on szkodzi. Nie zawadza i nie dokucza!

— Jużci! Chleba mi nie je. Tylko tak przez życzliwość ku wam mówię. Los on wam zagradza i basta.

— Kostusia milczała. Mieszczanin siedział w izbie na ławie, ona wzniecała ogień w piecu. Przypatrywał się jej, jak zwykle, z upodobaniem.

— Żeby nie on, wziąłby was każdy za żonę, dla statku i pracy, a tak przezeń i marniejecie samotnie, i jeszcze na ludzką obmowę się podajecie!

— Pracować mam dla kogo, a obmowa już mnie nędzniejszą nie uczyni. Nie boję się jej, tylko Boga — odparła poważnie i smutno.

Pomyślała chwilę i spytała:

— Możeśmy wam niemili, gospodarzu! Może nas pozbyć się chcecie! Powiedzcie prosto.

— Uchowaj, Boże. Wasbym na zawsze zatrzymał.

W tej chwili drzwi się otworzyły, ukazał się Sewer. Obejrzał się, znalazł Kostusię i naprzeciw niej przy progu usiadł.

— Czego on chce? — zawołał gniewnie mieszczanin.

Dziewczyna pochyliła się nad biedakiem, smutnemi oczami zajrzała mu w twarz, dotknęła pieszczotliwie ciemnych, zburzonych włosów.

— Co ci? — spytała serdecznie, cicho — jeść chcesz!

Gospodarz zmarszczył się i dziko w ich stronę popatrzał.

— Ja ta nie chcę, żeby on mi tu do izby przychodził — burknął niechętnie.

Kostusia pobladła.

— Chodź, Sewer! — zawołała słodko, prosząco.

Poszedł bez oporu do komory.

— Czego tam gospodarz krzyczał? — spytała mamka trwożnie.

— Na niego, że do izby się wsunął.

— Oho! A jemu co się stało?

— Przywykł do mnie snać i czegoś potrzebował. Coś ty, nieboże moje serdeczne, głodny? Boli cię co?

Pochyliła się nad nim.

— Nie trzeba mu pozwalać wałęsać się za tobą, — rzekła mamka — dosyć niedoli, a tu ludziska zaczną wydziwiać.

— A do kogóż on pójdzie, jak nie do mnie? Ani jego głodu, ani cierpienia nikt nie zrozumie. Oto teraz przyszedł, bo go snać głowa boli. Gorąca jak żar! Pójdźcie mamko i zwarzcie gospodarzowi wieczerzę. Ja tu przy nim zostanę.

Ułożyła biedaka na zydlu, służącym mu za posłanie, i przyklękła obok, chłodząc mu rozpalone czoło. Musiało mu to ulgę sprawić, bo przestał się skarżyć, oczy zamknął i zasypiał.

Zapatrzona w niego, pozostała długie godziny, pilnując snu. Wzrok jej, bezdenny żalem, a zawsze łagodny, czasami łzami się przyćmiewał, usta kurczyły się bolesnym uśmiechem. Mamka wróciła wreszcie i zaczęła prząść, postękując i wzdychając. Coraz rzadziej dzieliły się teraz myślami, były one zbyt czarne i beznadziejne.

— Czy my tutaj zazimujemy? — zagadnęła wreszcie stara.

— Cóż? Gdzie i poco pójdziemy? — odparła dziewczyna cicho.

— Ale i tutaj się niczego nie doczekamy.

— A czegóż nam czekać?

— Mnie, zazulo, śmierć wszędzie znajdzie. Już ja swoje poczekałam i odbyłam, ale tobie nie czas jeszcze. Tobie trzeba jego do rodziny odprowadzić, a samej o sobie pamiętać. Przed tobą dola!

Ręka Kostusi silniej spoczęła na głowie śpiącego.

— Dola? Bez niego? — rzekła. — Żebym tak zrobiła, jak mówicie, goniłby mnie po świecie jego głos. A kiedy on zawoła „gdzie ona!“ kto go zrozumie i odpowie? Mnie już moją dolę Bóg dał i nie odstąpię. Poco próżno mówić.

— A cóż dalej będzie? Zostaniemy?

— Zostaniemy.

— A jak nas wygonią?

— To wtedy pójdziemy.

— Chyba z torbą! A zima idzie!

Kostusia nic nie odrzekła. Zamglonemi oczami patrzała przed siebie, w czarną noc za malutkiem okienkiem! Na dworze deszcz padał, drobny a przenikliwy. Usta dziewczyny poruszyły się wreszcie, ale nie zniechęceniem ani buntem; odmawiała wieczorne pacierze. Dwa, jeden dla siebie, za Sewera drugi.

Nazajutrz, gdy krzątała się po chacie, przygotowując dla mieszczanina śniadanie, on wszedł i stanął blisko niej, uśmiechnięty.

— Post za pasem! — rzekł. — Chłopcy o żonkach myślą i swaty chodzić poczynają.

Kostusia obojętnie skinęła głową. Co ją to mogło obchodzić lub zajmować.

— Widzi mi się, że i sobie trzeba baby poszukać — ciągnął dalej. — Dostatków siła w chacie, gospodyni dobrze będzie!

— Zapewne! — odparła — podczas gdy ją niepokój zdejmował.

— Uważacie, ciągnął dalej. Jest bydła sztuk dwanaście i troje koni, jest dwadzieścia pni pszczół i owiec pół kopy. Leży też w alkierzu sześcioletni len nietkany, gotowego płótna sztuk siedmnaście i trzy skrzynie przyodziewku. Żonki pierwszej nigdy nie bijałem i drugiej też nie będę, bom nie żaden cham i pijak. W wojsku feldfeblem byłem i u hrabiego służyłem. Adukację mam i naturę spokojną! Myślicie, nic w tej chacie kobiecie braknąć nie będzie. Chyba ptasiego mleka... Do kościoła, choć tu o staje, malowanym powozem będę ją woził!

— Szczęść wam, Boże, gospodarzu! Pewnie wam komorę trzeba będzie opróżnić. Pójdziemy sobie.

— Albo ja wiem! — odparł i wracając do poprzedniego tonu, mówił dalej. — Sługę wezmę, a żonie nic robić nie pozwolę. Niech sobie panuje tylko. Stać mnie na to łacniej jak niejednemu obywatelowi. Oho, wy myślicie! I grosz siaki taki jest! Żebym chciał, mógłbym zczasem folwark jaki w dzierżawę wziąć albo i całkiem kupić.

— Śniadanie wasze gotowe! — przerwała Kostusia.

— Dobrze! Siądźcie i wy razem do jadła.

— Dziękuję, gospodarzu!

— Siądźcie. Samemu nieochotnie jeść! Weźcie łyżkę, nie bójcie się, nie skrzywdzicie! Stać mnie na to!

— Bóg zapłać, nie chcę! Pójdę do swoich!

— Ot, dajcie pokój! Ten głupi toby najsłuszniej, żeby z prosiętami jadł, a nie z ludźmi, a ta stara pożywi się sama. Nie kompanja to dla was!

Kostusi dziko zabłysły oczy. Nic nie odpowiedziawszy, wyszła z izby.

Mieszczanin nie odezwał się do niej tego dnia, ale już nazajutrz powrócił do przedmiotu, rozpowiadał o swych dostatkach i rozwodził się nad szczęściem przyszłej żony. Dziewczynie nawet przez myśl nie przeszło, w jakim to było celu.

Wieczorem, gdy siedząc na przyzbie, karmiła Sewera, zatrzymał się przed nimi z rękami w kieszeniach, a z fajką w zębach.

— Litościwe macie serce! — rzekł.

Sewer, który na widok ludzi doznawał strachu i niepokoju dzikiego zwierzęcia, przestał jeść i błędnemi oczami przyglądał mu się, nic nie mówiąc. Kostusia odstawiła miskę i wstała.

— Wieczerza wasza gotowa!

— To dobrze! Podajcie mi ją. Smaczniejsza z waszych rąk.

Wszedł za nią do chaty i rozbierając się z przemokłej burki, mówił:

— Psia pora. Zaraz przymrozki będą! Zimno u was w komorze.

— Drew kupię.

— I drwa mało pomogą. Komora to nie izba i nie alkierz. W alkierzu jak w uchu, a pościeli pod sufit.

— Byleście nam komory nie wymówili, przezimujemy! Zamłodu hartować się trzeba.

— Otóż nieprawda! Zamłodu trza się szanować, to na starość dziesięć lat życia kupić można.

— Dziesięć lat życia! Albo to taka łakoma rzecz. Ja kupować nie będę.

— Tak mówicie, boście w biedzie. Żeby wam dobrze było, tobyście inaczej sądzili. Żyć dobrze w dostatkach.

— Może być! Nie próbowałam.

Postawiła wieczerzę na stole i odejść chciała, gdy ją za rękaw zatrzymał.

— To spróbujcie! Wiecie, spodobałem was sobie. Wziąłbym z ochotą za żonę!

Kostusia skamieniała. Z bladej stała się zielona.

Oburzenie, wstręt, nareszcie strach i rozpacz pokolei zabłysły w jej źrenicach.

— Co wam się roi, gospodarzu! — zawołała, odstępując o krok.

— A co? — spytał spokojnie. — Wiana nie macie, alem was podobał. Nietutejsi jesteście i sierota... co mi tam! Jak żonką moją będziecie, nikt nie

spyta: skąd wy. Nie bójcie się, nie żartuję. Gotowym jutro na zapowiedzi dać. Nawet i wyprawy nie trzeba, bo po nieboszczce zostało szmat obfitość. Uczciwie mówię!

Dziewczyna drżała jak osinowe liście.

— Oszaleliście, gospodarzu, czy ślepotą was Bóg dotknął! — zaczęła mówić prędko. — Tożem nie sama przecie!

— Co? Myślicie o tym głupim. Toż widzę i pamiętam, i nie wygonię go, gdy was poślubię. Niech sobie siedzi w komorze.

— Gospodarzu, a wiecie wy, kto on dla mnie?

— Ta ludzie brzydko bają, ale ja na was codzień patrzę i nie wierzę.

— Bóg wam zapłać! Ludzie kłamią! Niczem on mi jest i wszystkiem. Jako te ręce i oczy, i dusza we mnie, tak on mi swój jest i drogi. Czybyście wy, gospodarzu, za dostatki całego świata dali ręce uciąć, oczy wyłupić albo duszę sprzedać. Już mi ludzie z jego powodu wzięli, co najdroższe ma dziewczyna — sławę, a wy chcecie, żebym wszystkiego dlań się wyzuwszy, teraz go odstąpiła!

Mieszczanin nie zrozumiał zgoła.

— Toć kiedy on wam ni mąż, ni kochanek, to poco ma wam świat zawiązywać? Zostanie jako i było. Chleba mu nie poskąpię, dach mieć będzie, odzież dam nawet. Niech siedzi, kiedy wam o to chodzi. A wy moją żoną zostaniecie. Zgoda?

Kostusia poczuła, że do pierwotnej i grubej tej natury nie trafi jej słowo. Coraz sroższy ją strach ogarniał.

Nie zostanę, gospodarzu! — zawołała — co wam się roi, czyście zmysły postradali!

Człek się oburzył!

— Co mnie posponujecie! — zawołał. — Nad nędzą litość mam, a zamiast podzięki jeszcze mi wymyślacie!

Dziewczyna opamiętała się. Zbudził się w niej instynkt prześladowanego, zacięty, chytrości i ostrożności pełen. Zapanowała całą siłą nad swem oburzeniem i wybuchem.

— Cóż ja wam tak rychło odpowiedzieć mogę! — rzekła ciszej i powoli. — Nie spodziewałam się od was takiego słowa, dajcie zastanowić się i pomyśleć.

— Tak, to inaczej! — uspokojony i udobruchany odparł. — Pomyślcie sobie choć do soboty. Wtedy trzeba już na zapowiedzi dawać, bo post zaskoczy.

— Do soboty się namyślę!

— Dobrze! Siadajcie tedy ze mną do wieczerzy. Starej się poradzić! Ona rozum ma. No, jedzcie.

Kostusia usłuchała i udawała, że je. Potem sprzątnęła resztki i poszła do swej komory. Sewera ułożyła do snu, ale sama wcale się nie kładła, czekając na mamkę, która około północy zaledwie się przywlekła, z garścią miedziaków w kieszeni.

Była to zapłata za przędzenie i lekarskie porady.

Późno w noc, zgasiwszy światło, szeptały do siebie, przytulone jedna do drugiej na nędznem posłaniu w kącie.

O świcie Kostusia już była na nogach. Szarawe światło ponurego poranku zaglądało do komory. Szybka była zapotniała i chłód panował dokuczliwy. Przechodząc obok śpiącego Sewera, przykryła go swym potarganym szalem i popatrzała chwilę:

— Śpij jeszcze, biedaku, śpij długo, śpij spokojnie! Już ci jutro nie dam takiego noclegu! — szepnęła, odchodząc.

Na dworze mróz ściął wodę i błoto pokrył twardą skorupą. Dziewczyna nie wróciła jednak po trzewiki.

— Będzie gorzej! — pomyślała, drżąc na całem ciele.

Zajęła się codziennemi sprawami, krzątała się gorączkowo i niespokojnie. Gospodarz zagadnął ją parę razy, odpowiadała, siląc się na swobodę i spokój.

Dla zaskarbienia jej łask zapewne, przechodząc po obiedzie koło nieruchomego pod ścianą Sewera, podał mu kawał kiełbasy.

— Na, jedz! — rzekł łaskawie.

Ale Sewer nie poruszył się i po specjał nie sięgnął, więc mieszczanin dar swój na przyzbie położył i odszedł, ruszając pogardliwie ramionami.

Nareszcie skończyły się dzienne sprawy. Kostusia załatwiła je jak codzień, porządnie, ale wieczerzę zwarzyła już mamka.

— A moja Kostuśka gdzie? — spytał człek poufale.

— W komorze, szyje!

— Niech sobie szyje zdrowa! Ot, ciotko, powinniście ją dla mnie namawiać! Nie zapomnę przysługi.

— Co Bóg sądził, to będzie! — odparła stara posępnie.

— Na weselu matką będziecie! — prawił, pewny swego.

— Jak Bóg da! — zamruczała.

Mieszczanin zjadł, fajkę zapalił i rozpowiadał szeroko o swych skarbach, rozumie i stosunkach. Potem go sen zmorzył, więc starą pożegnał i do alkierza odszedł, gdzie nań czekały owe pierzyny, pod sufit wysokie.

Mamka, zgasiwszy światło, poszła do komory. Sewer spał spokojnie. Lampka tlała resztą nafty. Kostusia siedziała obok idjoty.

— Co ty robisz? — spytała baba.

— Nic już. Gotowam! Ot wasz tłumoczek, a ot mój. Tylko na plecy wziąć i w drogę. Czekałam, aż się uciszy w chacie i na ulicy! Niech on się prześpi trochę tymczasem!

— Gdzież my pójdziemy?

— Ot, przed siebie. Byle dalej.

Spojrzała ku okienku, które szczególnie czarno odcieniało się na ścianie. Za niem wicher wył ponuro.

— Dzisiaj Zaduszki! — rzekła po chwili, zmęczone oczy przecierając dłonią. — Może to moi tak się nade mną żałośnie litują. Poprowadzą nas! Trzeba ruszać!

Okręciła się chustką, wzięła na plecy zawiniątko i dopiero wtedy, z widocznym żalem, zbudziła Sewera. Ubrany był ciepło i porządnie. Przeżegnała go i siebie, włożyła mu czapkę na głowę i wyprowadziła do sieni. Za nimi wyszła mamka, zdmuchnąwszy światło. Znaleźli się na podwórzu zagrody, potem na ulicy błotnistej.

Czarno było i zimno, potykali się, to znowu wpadali w kałuże, w miasteczku psy ujadały i wyły. Wydostali się na trakt wreszcie. Wicher mieli w oczy, przejmujący do kości, pełen dzikich jęków i łkań, jakby nad ludzkie żałośliwszych. Kostusi zdawało się ciągle, że z dalekich grobów aż tutaj odszukały ją, najnędzniejszą, rodzicielskie dusze i towarzyszą litośnie, taką dolą sieroty swojej rozżalone, tą drogą krwawą. Potem twarz jej zsiniałą zaczęły dotykać płatki zimne i mokre i coraz rozpaczniej wicher płakał.

— Śnieg! — rzekła mamka.

Kostusia otarła twarz rękawem i ku niebu oczy wzniosła. Było tak czarne, że ledwie znać było, gdzie się kończy, a gdzie ziemia zaczyna.

— O, Boże! — szepnęła. — Czyżeś i chmurom kazał nas chłostać! Takeśmy marni, a Ty taki wielki! Ulituj się nad nami!

Śnieg rzucił jeszcze parę garści swych gwiazdek i przestał.

— Może to matusine łzy były takie ciężkie i zimne! — szepnęła dziewczyna.

Szli dalej i dalej, borykając się z wichrem, otulając się od zimna, czasami stając dla nabrania tchu. Leciały za nimi powietrzne skargi i łkania, a droga wyciągała się w nieskończoność. Oni, celu nieświadomi, jak liść jesienny gnani — szli i szli!

* * *

Tego roku zima była wyjątkowo sroga, do połowy listopada śnieg grubo pokrył ziemię i mrozy ją ścisnęły siarczyste, stałe. Opowiadano sobie o niesłychanem zuchwalstwie wilków, o ludziach, zmarzłych po drogach, o ptactwie dzikiem, które cisnęło się do progu człowieka, o spodziewanym ciężkim przednowku i braku karmu dla bydła.

Po niesłychanych błotach Pińszczyzny mroźny wiatr hulał, szańcem śniegu osypując wsie i dwory. Najbardziej oparzeliste miejsca stały się dostępne, najdziksze trzęsawiska pokreślone były śladami sanek. Około Bożego Narodzenia mróz zelżał, natomiast szalały codzień śnieżyce. Nie można było za bramę się wychylić, wszelkie towarzyskie życie zamarło.

Gdy dzień święty nadszedł, ludzie już i cieszyć się nie potrafili. Zadymka pokryła niebo i ziemię, hulała, wyła, z dziką zaciętością niosła tumany śniegu,

ciskała nim, by po chwili porywać znowu i wlec dalej a dalej.

W jednym z owych dworów, rzuconych jak oaza na tle pustyni błot, dwoje staruszków, gospodarzy, przyglądało się tym szalonym harcom przyrody.

— Nie przyjedzie Michaś nasz! Nie przyjedzie! — mówiła, wzdychając, staruszka.

— Żeby choć wieść jaka, że zdrów! — dodawał stary, poważny obywatel, przecierając zamarzające wciąż szyby.

— Pierwszą w życiu wieczerzę spędzimy bez niego.

— A taka bieda na dworze! Byle nie był w drodze! Broń, Boże, nieszczęścia!

— Zachowaj go, Matko Najświętsza!

Odchodzili do zatrudnień swych, ale ciągle wracali do tego okna z widokiem na bramę i drogę. Stawały im w myśli wypadki, doznane lub słyszane, o błądzeniu całodziennem w śnieżycy, o wilkach, o zmarznięciu. Nie mówili sobie tego, ale czuli razem.

Jedynaka swego tak ubóstwiali. Był celem ich życia, treścią rozmów, marzeniem we śnie i na jawie. Skończywszy nauki, pracował w stolicy, chlubili się nim, żyli tęsknotą za nim i oczekiwaniem odwiedzin.

— Posłałeś na pocztę? — zagadnęła staruszka o zmroku już, gdy nawet bramy nie mogli dojrzeć.

— Posłałem, ale w taki czas nierychło posłaniec wróci!

W jadalni służba rozesłała garść siana pod obrusem, a w kącie ustawiono snop zboża. Zaczynano przygotowywać do tej uczty, jak kraj starej, która skupia rodzinę, rozrzewnia i rozwesela, przy której z roku na rok coraz więcej wspominamy umarłych, a której pamięć goni na obczyźnie dalekiej, budzi tysiące wspominków.

We dworze krzątano się żwawo. Od kuchni zalatywał zapach smażonej ryby i grzybów, w jadalni zapalano światła i zastawiano stół tradycyjnemi potrawami.

— Naco to, naco! — wzdychali staruszkowie — kiedy Michasia niema!

— A listu niema i niema! Może chory!

Lokaj wszedł w tej chwili do pokoju.

— Czy nie wrócił posłaniec z poczty? — spytali go żywo.

— Nie, proszę pana. Tylko tam, w sieni, uboga stoi i prosi o wsparcie.

— Uboga? W taką szarugę!

— Toteż ledwie dopełzła do progu, a śnieg ją całą oblepił.

— Biedaczka! Niechże przenocuje i wieczerzę w czeladnej spożyje! Jutro ją opatrzę!

Lokaj wyszedł. W kredensie i sieni biegała służba, panował gwar i ruch gorączkowy. Zdało się sta-

ruszkom, że jakiś głos oboje słyszą. Był to posłaniec z poczty ośnieżony i zziębnięty.

— Przywiozłeś cokolwiek? — zawołał gospodarz.

— Jest, proszę pana, list i depesza.

— Dawajże, dawaj!

Otworzyli, a raczej podarli koperty. Od Michasia były wieści dobre, serdeczne. Przyjedzie na Nowy Rok najpóźniej!

— Bogu dzięki, Bogu dzięki! Dawajcie wieczerzę, panicz za parę dni dopiero będzie. Gdzie posłaniec! Poczęstuję go, poczciwca, że mi taką dobrą nowinę dostarczył!

Stary wziął z bufetu pękatą flaszkę i wyszedł do sieni.

— Gdzie Bazyli? — spytał lokaja.

— Poszedł już do domu.

— A tam kto stoi w kącie?

— A to ta biedna, proszę pana!

— Jakto! Jeszcze stoi! Zaprowadźcieże ją do czeladzi.

Kiedy bo nie chce. Ona prosi o trochę ciepłej strawy tylko! Chce to wziąć i iść dalej.

— Zwarjowała. Na taki czas! Niech przenocuje! Słyszysz, kobieto! Zanocujcie, w taki dzień nie godzi się wałęsać! Zjedzą was wilki albo zmarzniecie.

W kącie nieruchoma dotąd postać poruszyła się i podeszła. Wysoka była i tak chuda jak widmo. Podarte, rude łachmany pokrywały jej członki kościste,

głowę i połowę twarzy otulała płachta szara, na nogach nie miała nawet obuwia, tylko jakieś szmaty, z poza których wyzierała słoma.

— Bóg zapłać! — rzekła jakimś grobowym, bezdźwięcznym głosem. — Nie mogę zanocować, bo na mnie czekają. Trochę ciepłej kaszy i kawałek chleba, jeśli łaska, dajcie!

— Dzieci macie?

— Dwoje chorych mnie czeka, ot, niedaleko, na cmentarzu.

— Gdzie? — obywatel myślał, że nie dosłyszał.

— Na mogiłkach. Kaplica tam otworem stała, tośmy wstąpili. Myśleliśmy, że nas stamtąd nie wygonią, choć grosza nie mamy. Tak nas zewsząd precz gonią, że już i śmiałości nie stało dokuczać, a tem bardziej w taki dzień. Umarli noclegu nie bronią.

— Ależ, na Boga, pomarzniecie tam zeszczętem!

— Nie, proszę pana. Nas już ni mróz nie chce, ni śnieżyca, ni głód. Tacyśmy jak te kamienie po polu! Już i Bóg, i śmierć o nas zapomniała. Dzisiaj Pan Jezus się rodzi, a my tacy głodni! Pomyślałam sobie, dwór ujrzawszy, że w taki wieczór nie pożałują nam trochę ciepłej strawy. Nie trzeba mi, panie, pieniędzy ani innego poratowania! Dajcie z waszej wieczerzy kęs dla moich chorych!

— Skądże wy?

— Tak długo idziemy, że sama nie wiem, ileśmy uszli. To i piekło nie większe jak ta droga nasza. Nawet już nie pamiętam, ile czasu tak idziemy.

— A gdzież dążycie?

— Ot, przed siebie, za służbą i chlebem.

— Nigdzieście miejsca nie prosili?

— Prosili, ale kto nas, panie, przyjmie! Troje takich nędzarzy i przytem na zimę. Wiosną możeby każdy przygarnął na letnie roboty, ale my już wiosny nie doczekamy! Tak się wleczemy, byle dalej paść!

— Któż wy tacy?

— Nędzarze, panie. Żebraki, włóczęgi!

— Poczekajże chwilę! Każę konia założyć i zabrać tamtych z cmentarza. To zgroza, żeby ludzie nawet w taki dzień nie odetchnęli.

Kobieta osunęła się do kolan i nawet przez chwilę słów wdzięczności nie znalazła.

— Oby ten Jezus, co dziś się rodzi, panu za nas pobłogosławił! — wyjąkała wreszcie.

Podniosła się potem, ożywiona.

— Niech pan nie każe konia zakładać, służącemu wieczerzę przerywać. Ja sama pójdę i ich przyprowadzę.

— Jak chcesz! Każę wam w pralni napalić i słomy dać na posłanie. Wypocznijcie i posilcie się dowoli.

— Bóg zapłać panu!

— Wypij tymczasem wódki dla rozgrzania.

— Dziękuję, starucha nasza tylko wódkę pije, my nigdy.

Jeszcze raz do kolan mu się pochyliła i wybiegła w noc, w ciemność, w śnieżycę.

Po chwili pożałował poczciwy stary, że chociaż parobka z nią do pomocy nie posłał, ale już było za późno. Kobieta przepadła.

Podano wieczerzę, staruszkowie wspomnieli Michasia swego i stare dzieje, potem staruszka nutę kolędy wygrała na fortepianie, a wreszcie, u komina siedząc, zadrzemali oboje. Gdy się ocknęli, pomyśleli o biednej kobiecie.

— Czy przyszli ubodzy? — spytali lokaja.

— Przyszli. Jedna taka stara, chora kobieta, druga ta, co tu była, i mężczyzna. Zaprowadzono ich do pralni.

— Zjedli cokolwiek?

— Mało bardzo, podziękowali i błogosławili! Muszą być sprawiedliwi i delikatni ludzie. Na mężczyźnie kożuch niezły i buty, a na starej całe trzewiki i świta. Ta najnędzniejsza, co ją pan widział.

— Nie mówili, co za jedni, jak się nazywają?

— Nie! Pokostniałe to było i tak znękane, że ledwie parę słów rzekli. Przyszli i nawet nie śmieli prosić o nic. To prawdziwi ubodzy. Wpuściłem ich do kredensu, to i usiąść nie chcieli, tylko do ognia wyciągali szyje i tak się trzęśli okropnie. Wszyscy my ich pożałowali. Daliśmy jeść i pić, to proszę pana,

zęby mieli z głodu i zimna tak zwarte i szczęki, że nie mogli chleba ugryźć. Więc im dałem herbaty z mlekiem i to wypili. Nie chcieli więcej. Zaprowadziła ich klucznica do pralni.

— A mężczyzna młody, zdrów?

— Kto tam, panie, u takiej biedy wiek zgadnie! Wygląda osowiały. Dała mu ta młodsza herbaty, nim sama skosztowała. Wypił i słowa nie rzekł.

— Nie zapomnijże o nich i jutro, Mateuszu!

— Słucham, proszę pana.

— Możnaby ich przygarnąć czas jakiś! — rzekła staruszka.

— A może na co się zdadzą. Taki biedak ceni służbę. Ot, straż w Temrze stoi pustką i rozwala się. Można ich tam wsadzić na próbę!

— Niech wypoczną tymczasem, to zobaczymy! Jutro pójdę do nich i dowiem się, co im potrzeba.

Śnieżyca szalała dalej, bijąc wściekle o ściany dworu. Dzwoniły szyby w pralni, wicher przez komin wpadał i wył jakby rozjuszony. Przyroda była dla biedaków zapamiętała i mściwa. Gnębi ich i ściga, a gdy jej sile się oprą, gdy przed niszczącą potęgą się skryją, dobija się do drzwi i okien schronienia jak łupieżca, wyje wokoło jak zwierz wściekły.

Szturm ten zajadły słyszała długo Kostusia. Odwykła i od snu nawet. Ułożywszy Sewera i chorą mamkę, leżała długo na swej słomie, niezdolna już się poruszyć, ale też i usnąć niezdolna od myśli i nie-

pokojów. Nie cieszyło jej nawet schronienie i pomoc ta cudowna. Wiedziała, że jutro dalej iść trzeba będzie, że jutrzejszy nocleg, na podłodze w karczmie lub w chłopskiej stodole, będzie znowu okropniejszy po dzisiejszej wygodzie, a zimne kartofle, często wieprzakowi odkradzione, albo chleb suchy, rzucony z łaski, po strawie dzisiejszej wyda się trucizną! I znowu głód będzie jej wnętrzności targał, a mróz duszę wyjmował. Potem już w półśnie roiły się jej śnieżne zaspy, noce wyiskrzone, nieznośny ból nóg odmrożonych i cała groza tego jej męczeńskiego istnienia. Już spała, a jeszcze słyszała wycie wichru szydercze i szturmowanie burzy, a niekiedy głuche stękanie Sewera lub jęk mamki.

Nazajutrz po modlitwie i śniadaniu staruszkowie przypomnieli sobie nędzarzy. Pan wziął koszyczek jedzenia, pani trochę starzyzny i poszli do pralni po przekopanej naprędce drodze.

Mamka leżała, zupełnie niemocą zdjęta, kaszląc strasznie i trzęsąc się jak w febrze. Kostusia i Sewer klęczeli przy oknie. Dziewczyna ze starej książki czytała modlitwę na ten dzień wielki i radosny, biedak słuchał, w nią zapatrzony, trzymając ręce, jak mu złożyła, i machinalnie powtarzając za nią wyrazy, których treści nie rozumiał.

Gdy drzwi się otwarły, Kostusia, zamodlona, zasłuchana w słowa prośby pobożnej, nic nie słyszała. Czytała dalej, jąkając się z wielkiego wzruszenia, do szarych chmur podnosząc oczy.

Staruszkowie zatrzymali się, żalem i szacunkiem zdjęci. Ujrzała ich mamka z pościeli i z trudem podnosząc głowę, zawołała po imieniu Kostusię. Dziewczyna się obejrzała i przelękła okropnie. Wstała, tak drżąca, że jej modlitewnik wysunął się z rąk. Trąciła Sewera, który się też podniósł i z właściwą sobie dzikością w kąt zaraz się schował.

Starzy popatrzyli po nich trojgu i mimowoli oczy na Kostusię znowu zwrócili. Stała przed nimi w spódniczynie dziurawej i krótkiej, w koszulinie szarej, którą ledwie przysłaniał kaftanik łatany, za obszerny i za długi. Bose jej nogi były krwawe, ręce odmrożone, twarz zżółkłą skórą powleczona. Twarz ta pomimo wszystko nie straciła tego uroku, dla którego lubili ją nawet w Podgaju, dla którego ją Sewer umiłował. Pogodna była nieziemskim spokojem, w nędzy swojej łagodna, w wycieńczeniu pełna nieziemskiego ognia i przejrzystego wyrazu prawości. Usta blade miały rys słodyczy i dusznego wesela, oczy ciemne, a do dna jak krynica czyste, patrzyły z za łez prosto, śmiało, bez goryczy, z rezygnacją. Stała zalękła, zawstydzona swej nędzy, a wargi jej drżały nerwowo.

Przyszło jej na myśl, że może państwo na drogę ich chcą obdarzyć i odprawić. Przemogła lęk, pochyliła im się do rąk z wdzięcznością.

Daj, Boże, państwu wszystko dobre za łaskę. Jużeśmy wypoczęli. Zaraz pójdziemy! — rzekła.

— Nie pójdziecie, pókiście chorzy. Co to, moja droga, nogi masz odmrożone i ręce? — spytała staruszka.

— Ej, to nic, proszę pani!

— Jakto nic! To nieznośne cierpienie. A tam kto chory leży?

— Stara nasza!

— I macie sumienie ją wlec za sobą!

Staruszka zbliżyła się do barłogu i zaczęła mamki o jej cierpienie wypytywać. Pan tymczasem badał Kostusię.

— Służyliście już gdziekolwiek?

— Nie, proszę pana!

— A jakże się nazywacie?

— Skowrońska Konstancja.

— A to wasz mąż?

— Nie, panie!

— Brat?

Na sekundę od pokusy kłamstwa oczy Kostusi stały się prawie obłąkane. Ilekroć prosiła o służbę, zawsze słyszała to pytanie i na odpowiedź prawdziwą odprawiano ją z niczem, często jeszcze z wymysłami. Tyle razy, głodna i do ostateczności nędzna, postanowiła skłamać, uratować się od śmierci. Nie zdołała.

— Nie, panie! — odparła i teraz.

Obywatel się zasępił. Zawsze tak bywało. Spojrzał na Sewera.

— Jakem tu wszedł, modliliście się przykładnie — rzekł poważnie. — Dlaczego żyjecie grzesznie!

Kostusia spojrzała mu śmiało w oczy.

— Modlimy się do Boga jak do ojca w nędzy naszej, a nie jak do sędziego w upodleniu. Nie wierzy i plwa na nas świat cały! Nic nie mamy, co ludzkie, ni dobra, ni spokoju, ot te łachmany i rany. Ale dusze jak Bożą szatę strzeżemy, bo je odnieść trzeba będzie czyste temu Ojcu.

— Więc kiedy nie grzech, co was połączyło?

— Snać Bóg, kiedyśmy tyle znieśli i jeszcze więcej znosić gotowi.

— A ten człowiek kto?

— Nieszczęśliwy, panie, jak i ja!

— Czy on niemowa?

— On chory, panie!

— A jak zdrów, co robić potrafi?

— Wszystko, panie.

— Czytać umie i pisać?

— Umie. Nieśmiały on i cichy, ale pracować będzie, o, będzie!

Gdy to mówiła, wyprostowała się, jakby już do pracy sama stanąć miała. Zwróciła się do biedaka.

— Sewer! — zawołała — powiedz panu, że będziesz pracował!

Sewer, nie zdejmując z niej wzroku, z trudnością wyjąkał:

— Będę! Gdzie ona!

Pani zbliżyła sie do męża.

— Kobieta stara ma silną gorączkę. Pójdę do apteczki po środek jaki. Octu jej trzeba na głowę tymczasem. I maści na odmrożenie przyniosę. Zaczekasz na mnie?

— Zaczekam.

Zwrócił się do Kostusi, widocznie znowu żalem zdjęty.

— Dawno jesteście w drodze?

— Dawno! Jakeśmy wychodzili, było lato.

— Ze szlachty jesteście?

— Ze szlachty. Papiery mamy.

— A krewnych, rodziców?

— Nikogo, ani on, ani ja!

— I nikt was przyjąć nie chciał?

— Nikt, panie. On taki niepozorny i zbiedzony. Nie namówić go do prośby i starania. A zresztą nas troje! Chleba na świecie mniej jak głodnych. Naszą część weźmie byle kto. Zanadtośmy nędzni.

— No, zapewne. W obecnej chwili nawet nie moglibyście pracować. Trzeba wam wypocząć. Macie tu tymczasem co jeść i odzieży trochę. Możecie tutaj pozostać w spokoju.

Staruszka wróciła z lekami, wytłumaczyła Kostusi ich użytek i wyszli oboje, pożegnani błogosławieństwem.

Rozliczne zajęcia i sprawy zaprzątnęły ich czas i głowę, a potem Michaś przyjechał na parę dni tylko. O biednych zapomnieli zupełnie.

Po Nowym Roku któregoś rana lokaj im oznajmił, że uboga chce ich zobaczyć. Wyszli tedy do sieni. Kostusia tam stała, już w łachmany swe wszystkie okręcona, z węzełkiem na plecach. Upadła im do nóg, ucałowała ręce.

— Przyszłam państwu za ich dobroć podziękować i za taki długi pobyt przeprosić.

— Jakto? Idziecie już! A chora staruszka?

— Pozdrowiała, dzięki Bogu i państwu! Idziemy dalej.

— Dokąd?

— Ot, tam! — skinęła ręką przed siebie.

— Poczekajcież! — obywatel do kieszeni sięgnął...

Kostusia spostrzegła ten ruch i poczerwieniała.

— Obdarzyć nas pan chce. Bóg zapłać, nie trzeba! Jużeśmy dosyć dostali. Życia i sił na długi czas. Pieniędzy nie chcę. Chleba chyba kawałek albo pracę weźmiemy.

Stary pomyślał chwilę, spojrzał na żonę. Zrozumieli się, bo potakująco skinęła głową.

— Mam wprawdzie wakujące miejsce, ale ciężkie. Na straży, bardzo daleko od dworu i wsi. Las nad rzeką, przerznięty trzęsawiskami, chata nawet bez ogrodu. obchód mozolny i daleki. Czy ten człowiek da sobie radę?

Oczy Kostusi zabłysły, jakby jej raj obiecywano. Taka radość i zapał rozjaśniła twarz, że aż patrzący się wzruszyli. Znowu im do kolan się rzuciła.

— Da radę, panie, da. Do krwi się upracujemy dla pana. Niewiele nam trzeba. Byle dach i chleb zimą. Latem to już i bez tego służyć będziemy. Niech pan spróbuje. Nie weźmiemy i grosza! Byle już nie iść tak ciągle, byle nie żebrać.

— Ha, no, to spróbujemy! Kiedyście już wypoczęli, każę was zaraz tam odstawić i ulokować. Mateuszu, zawołaj ekonoma.

— Mój drogi! — Wtrąciła pani. — Dajże im zgóry ordynarji i każ chatę opatrzyć. Od roku nie zamieszkała. Chodźże ze mną — jakże się nazywasz?

Kostusia!

— Chodźże, Kostusiu, dam, ci choć statków trochę na gospodarstwo. Słuchajno, stara jestem, a ty poczciwie wyglądasz. Jak się osiedlicie u nas i zostaniecie, każę wam się pobrać. To brzydko tak!

Dziewczyna boleśnie się uśmiechnęła.

Po godzinie przed pralnię zajechało dwoje sanek. W jedne siadła Kostusia z Sewerem, w drugie mamka z workami i sprzętami. Ruszono przez zaspy, zalewy, pola i oczerety, bardzo daleko. Parobek rozpowiadał Kostusi, że w Temrze nikt długo nie wytrzyma, a ich poprzednik obwiesił się i straszy po nocach. Dojechać tam latem nie można, chyba czółnem dopłynąć, wokoło torfy i trzęsawiska, a rzeka oparzelista. Latem strażnik po kępach nogi zrywa albo zapada w grzęzawice po pas, zimą wilki jak psy na podwórzu chaty wyją i szczekają, a dobytek jak

swój biorą. Przytem ani pola, ani ogrodu, ot buda jedna, z której albo w rzekę, albo w trzęsawisko.

Był czas na długą opowieść, bo jechali godzin kilka. Droga żadna nie wiodła do Temry, kierowali się na czarny bór, na nagiej płaszczyźnie zdala widny, krążyli, omijając łozy i nieprzebyte oczerety, objeżdżając oparzeliska. Pod lasem znowu zaspy piętrzyły się jak góry, trzeba było brnąć przez nie z wielkim trudem.

Dojechali wreszcie do chaty samotnej, zasypanej śniegiem do połowy ścian. Drzwi i okna były deskami zabite, nawet płot nie oznaczał jakiegokolwiek starania, a ze studni sterczał tylko żuraw. Parobcy zaprowadzili konie do chlewka o zapadłym dachu, a sami jęli odbijać deski, odrzucać śnieg.

Gdy otworzono drzwi, Kostusia weszła pierwsza. Sień była ciemna, izba mało co jaśniejsza. Na ścianach szklił się szron, podłogę pokrywała pleśń i śnieg, piec był nawpół rozwalony.

Pomimo to wnętrze takie ponure wydało się jej rozkosznem. Port to był nareszcie.

Mamka wniosła sprzęty i zapasy, Sewer ulokował się koło pieca, Kostusia pomagała parobkom przekopać ścieżkę do studni i odrzucić śnieg od okien.

Wieczór się zbliżał i ludzie śpieszyli z powrotem. Zostawili jej łopatę i siekierę, słomę z wozów, urąbali trochę drew i odjechali, zostawiając ich własnemu przemysłowi.

Niestrudzona i pierwszy raz oddawna spokojna, dziewczyna zakrzątała się żwawo. Napaliła w piecu, wymiotła izbę i sień, brakujące szyby zatkała swemi łachmanami, słomę rozesłała tymczasem na ziemi w kącie, Sewerowi usłała legowisko na piecu, dobyła z trudem wody ze studni. Piec dymił strasznie i chatę, wyziębioną i nieopatrzoną na zimę, trudno było ogrzać.

Noc nadeszła tymczasem. Mamka w podarowanym przez panią żelaznym garnku ugotowała wieczerzę. Były kartofle gotowane, do nich sól i chleb. Sewerowi dodano słoniny z wyważonej ordynarji. Zjedli, siedząc na ziemi, blisko ognia. Nie mieli lampki, ławy i stołu, ale dobrze im i tak było po tem, co minęło. Tej nocy Kostusia zasnęła prędko, spokojnie i głęboko.

Gdy się zbudziła, wielki był dzień na świecie. Sewer już nie spał i patrzył na nią bezmyślnie. Mamka wygrzewała pod kożuchem stare kości.

— Kostuśka! — rzekła radośnie. — Nie pójdziemy już!

— Nie, chwała Bogu, ale roboty huk! Odpoczywajcie teraz, już ja sama wszystkiemu dam rady!

— Chata od mojej nie lepsza! Pamiętasz w Podgaju!

— Lepsza, bośmy w niej razem.

— Daj, Boże, w niej pozostać! Pan ekonoma pewnie przyśle, żeby obchód pokazał i z granicą zapoznał. Czy pójdzie? — wskazała Sewera.

— Pójdzie ze mną.

— A jak posądzenie powezmą jakie?

— A jakież? Bylem granicę poznała, będę sama pilnowała.

— A jakże ty, biedna, dasz radę szkodnikom, chłopom. Jeszcze cię gdzie zabiją. Oj, dołoż, dolo! Wykryje się wszystko prędko i wypędzi pan.

— Jak Bóg da! Już nam gorzej nie będzie, jak było. A może on się poprawi. Czasem mnie się zdaje, że oczy ma lepsze i jakby co rozumiał.

Usiadła obok Sewera, dała mu do rąk miskę kaszy i łyżkę i uśmiechając się doń słodko, gwarzyła zcicha.

— Teraz już się czasem odezwie do sensu. Byle trochę wytchnienia i spokoju. Może się już Bóg nad nami zlitował, może ten Jezus, co się narodził, o nas wspomni. Nie godzi się nam dzisiaj skarżyć, a tylko dziękować. Nie głodnyś, biedaku? siądźże przy ogniu, nie odejdę daleko, będę blisko ciebie.

Cały dzień porządkowała chatę, znalazła w sieni trochę gliny, pozatykała nią szczeliny ścian i drzwi, jak potrafiła, zlepiła i osmarowała piec. Na strychu też parę desek, a koło studni parę grubych polan. Zrobiła z tego pierwotny stół i ławkę pod ścianą.

Całodzienny ogień ogrzał izbę, a ich ogrzał spokój dawno nie znany. Siedzieli tak we troje długo wieczorem. Mamka pilnowała pieca, Kostusia przy świetle drzazgi łatała odzież, Sewer na ręce jej bezmyślnie patrzył.

— Żeby lnu trochę, tobym przędła — westchnęła stara, już tęskniąc za ulubioną robotą.

— Len? — uśmiechnęła się Kostusia. — Skąd go tu dostać? Tu nigdzie ni wsi, ni domu, człowieka na pokaz.

— A ty, zazulo, jakbyś temu rada była.

— A rada! Nie zobaczy nikt jego nędzy, nie powie nikt bolącego słowa.

— Bez roboty i twarzy człowieczej trudno wyżyć. Pójdę ja do dworu temi dniami.

— Czego? Mało wam drogi było!

— Bo mnie ten ekonom trapi. Wyrozumieć go muszę, by nas precz nie wygnał. Już ty się o mnie nie lękaj. Duchem się sprawię i lnu przyniosę. O, Jezu, o, Jezu, co tu za głusza okropna.

— Dobra! — szepnęła dziewczyna, po ścianach pozierając — wróble gorsze gniazda mają na zimę, a przecie cały dzień świergocą. Czy my Bogu mamy być gorsi sercem od ptaszków bezrozumnych?

Mamka umilkła zawstydzona. Nazajutrz jednak wczesnym rankiem wybrała się do dworu. Kostusię pod wieczór, gdy się stara spóźniała, strach zdjął. Wyszła aż do zasp na spotkanie. Wlókł się za nią jak cień Sewer. Z radością zauważyła, że patrzył i on także na ślad sanek, wiodący do ludzi.

— Nie widzisz mamki? — pytała go, uśmiechając się łagodnie — zaraz się pokaże! Bo to nasz dom teraz. Dobry, stary pan go nam dał. W domu

ciepło, w domu cicho! Za to panu będziesz służył, lasu pilnował! Będziesz, Sewer?

Biedak potakiwał głową.

— W domu tym wyzdrowiejesz, bieda minie. Podoba ci się nasz dom? Dobrze ci?

Sewer rękę podniósł i coś daleko pokazał. Widocznie nie mógł czy nie lubił mówić. A jednak poznał i zobaczył mamkę. Ona to była, obładowana, zmęczona, ale z dobrą miną. Zeszli się i powitali radośnie.

— Jakby was, mamko, rok nie było, taka nuda i niepokój — rzekła Kostusia, odbierając jej część pakunków. — Nawet i nasz biedak po kątach was szukał, a teraz pierwszy spostrzegł i mnie wskazał. Pamięta was!

Mamka pogładziła milczącego po głowie.

— Pamiętałam i ja o nim, i jako dziecku zabawkę przyniosłam.

— Głodniście pewnie?

— Nie. Najrzała mnie pani na podwórzu i zawołała. Dobra pani. Pytała, jak się nam wiedzie, a najwięcej o ciebie, kwiatuszku. Za serce ty bierzesz każdego.

— A o nim nie mówiła?

— Gadała, że was pożeni.

Dziewczyna boleśnie się uśmiechnęła.

— A ekonom? — zagadnęła.

— Zły i chciwy. Nie daj, Boże, by co zwąchał. Wzięłam ekonomowej len do przędzenia, powiedziałam, jako sekreta na różne choroby znam, obiecałam służyć, ile sił.

— Przyjedzie ekonom las nam zdawać?

— Przyjedzie. Szkoda tylko zimą tu jest, ale latem młody pan często przyjeżdża polować. Pytali, czy on strzelec dobry? — wskazała na Sewera.

Weszli do chaty i stara rozpakowała swe tłumoki. W worku był len i pęk wrzecion. W kobiałce starej jakieś szmaty, stare trzewiki.

— To dla ciebie, zazulo, przysłała pani.

Potem stara sięgnęła w zanadrze i uśmiechając się tajemniczo, wydobyła coś żywego. Była to kura.

— I to od pani, na gospodarstwo! — rzekła, puszczając ją na ziemię.

Poczciwa stara pani nie myślała, że tym drobnym darem zrobi tyle radości. Gdy kura zaczęła spacerować po izbie i gdakać przerażona, roześmiała się Kostusia po dawnemu, wesoło, roześmiał się nawet obojętny Sewer, a mamka, pod boki się wziąwszy, triumfowała, jakby im skarby i szczęście przyniosła. Potem sięgnęła do kieszeni świty i znowu coś dobyła, coś niekształtnego, małego, co się zaruszało w dłoni i wydało słabe kwilenie.

— To dla ciebie, nieboże! — rzekła, kładąc na kolanach Sewera malutkie, ślepe jeszcze szczenię.

Sewer się schylił, dłoń na delikatnej sierści położył i zaraz na Kostusię spojrzał.

— Moje? — spytał.

— Twoje, twoje! — potakiwała, uradowana chwilowym błyskiem jego oczu martwych.

A mamka opowiadała, rozbierając się ze świty.

— Wychodzę ze dworu, aż słyszę pisk pod płotem. Pięcioro tego maleństwa ktoś na stracenie wyrzucił i już czworo skostniało na śmierć. A to jedno po śniegu pełza, niewidome, półmartwe, i tak płacze jak sierota. Jakem w ręce wzięła, przestało piszczeć i tak mi się na dłoni ułożyło jak do snu, nawet jeść nie prosiło. Zabrałam tedy. Taka to nędza jak nasza, myślę, niech będzie w kupie.

Zabrali się do wieczerzy. Strach przed ekonomem był jedyną chmurą tego dnia radosnego i długo w nocy nie dał spać Kostusi.

Rano też zbudziła ją kura gdakaniem i psiak żałosną prośbą o posiłek. Zerwała się żywo do gospodarstwa i wnet ją opadła troska o ekonoma, trując całą uciechę i nadzieję.

Mijały jednak dnie, a ekonoma nie było. Zastraszały go zaspy, ale zastraszały też złodziei. Kostusia pewnego dnia z poczucia obowiązku z grubym kijem i siekierą poszła w las dziki, kopiąc się mozolnie po śniegu, zapadając w oparzeliska, potykając się o śniegiem przykryte wywroty. Szła bez drogi i obranego kierunku, aż dotarła znowu błot kępiastych, otaczają-

cych zewsząd Temrę. Nie spotkała nigdzie śladu człowieka ani sanek, tylko czasem widziała na białej powierzchni stopy duże i małe, regularne, lekkie. Nie znała tropu zajęcy ani łańcuszkowatego chodu lisa, poznała tylko stopy wilków i przypatrywała się im z niepokojem! Były bardzo liczne i świeże!

Nie zeszła się jednak z nimi. W cichym, martwym borze zabiegła jej tylko drogę wiewiórka ruda, i wcale nie spłoszona, dziwiła się tylko jej, przekrzywiając głowę. Porwało się też prawie z pod nóg dziewczyny stado cietrzewi i ciężko łopocząc, obsiadło nagle olszyny. Po chojach starych stukały dzięcioły rabe i czarne, zresztą bór milczał i tylko czasem, targnięty wichrem, parę akordów szumu rzucał i znowu cichł.

Zmęczona, potem oblana, wróciła Kostusia o zmroku do chaty. Okienka jej zdaleka czerwonawo błyskały, a zapach dymu aż tutaj dolatywał.

Weszła z Bożem pozdrowieniem do środka, szukając Sewera oczami stęsknionemi. Ale tylko stara u komina przędła namarszczona.

— Gdzie Sewer? — zawołała dziewczyna, blednąc...

— A tam! — wskazała stara kąt czarny. — Jak się zbudził, a ciebie nie zobaczył, tak się zaniepokoił, obszedł kąty, a potem siadł tam pod ścianą i ani się poruszył, ani ust nie otworzył, ani oczu z drzwi nie zdjął. Odzywałam się do niego, nic, dawałam jeść,

ani spojrzał, opowiadałam o tobie, nie słuchał. Czasem takie straszne robiły mu się oczy, że mnie dech zapierało i już chciałam ciebie iść szukać, to znowu lękałam się samego zostawić, by sobie co złego nie uczynił. A jak zmierzchło, to począł zcicha, jakby sam do siebie, coś mówić, i jak dawniej, „gdzie ona“! wołać. Chwała Bogu, żeś wróciła!

A podczas gdy ona mówiła, Kostusia w ów czarny kąt zajrzała i przyklękła nad biedakiem. Gorzej wyglądał i czoło miał gorące.

— Sewer! Sewer! — poczęła go wołać pieszczotliwie, a łzy rozrzewnienia biegły z jej oczu na jego głowę — już drugi raz razem pójdziemy, już cię i na chwilę nie porzucę. Chodźże na światło, chodź ze mną! Jestem już przy tobie, jestem! Nie widzisz mnie?

Nic nie odparł, ale dał się wyprowadzić na ławę i zjadł, co mu podawała. Miał jednak znowu gorsze oczy i stracił te błyski przytomności, które w ostatnich czasach zauważyła z taką radością Kostusia. Stał się apatycznym, a ona gorzko zapłakała nad rozwianą w puch nadzieją.

Nazajutrz i dni następnych stan się nie poprawił. Kostusia gwałtem prawie podnosiła go z posłania, karmiła, poddawała daremnie myśli i zajęcia. Psiak go nawet przestał bawić, ogłuchł, oniemiał, oślepł jakby. Siadywał godzinami naprzeciw drzwi. Na drzwiach tych sęk jaśniał w samym środku, z któ-

rego pod wpływem ciepła parę kropel żywicy wyciekło i świeciło złotawo. W sęk ten Sewer cały dzień się wpatrywał.

Kobiety płakały pocichu, na niego patrząc.

— Byle, dał Bóg, ekonom teraz nie przyjechał — wzdychała mamka, ku drodze spozierając.

Przyjechał właśnie pewnego rana, gdy Sewer najgorzej wyglądał. Kostusię pierwszą spotkał, wracającą z wiadrem wody od studni.

— Z pełnem, to dobrze! — zawołał i zaraz dodał:

— Nie zjadły was wilki?

Dziewczyna drżała cała i ledwie zebrała się na odpowiedź.

— A chodził wasz w las?

— Chodził! — szepnęła, czerwieniejąc.

— Coście się tak zlękli! — mówił, chytrze się uśmiechając — dla dobrych ja dobry! Tylko wiedzieć trzeba, że ręka rękę myje — noga nogę wspiera. Hę, słyszeliście to słowo!

— Słyszałam! — odparła szeptem.

Ekonom konika z sankami rzucił i do chaty wszedł.

— Pomyślności na nowem miejscu! — rzekł.

Mamka tylko odpowiedziała. Sewer na swój sęk patrzył i ani drgnął. A ekonom ku niemu się zwrócił, brwi marszcząc.

— Cóż to nie zwykłeś gadać, bratku! Takie włóczęgi powinny znać pokorę! No, zbieraj się, pójdziemy w obchód!

Sewer ani drgnął! Kostusia wzięła go za rękę.

— Pójdźmy, Sewer! — zawołała.

A mamka tymczasem ekonoma za kolana objęła.

— Łaski, panie! On ledwie z choroby wstał, a powierz nam dozór lasu, my za niego robotę spełnim!

— To co za gadanie! Jak kto chory, to niech do szpitala idzie, a nie oszukuje ludzi. Zgodził się, chleb je, pieniądze bierze, to niech obowiązek czyni! Ja ta z babami nie będę się po lesie włóczył! Co to, kpiny!

Mamka przybrała minę obrażoną.

— Ja po dobroci mówię! Nie stanie się nijaka krzywda dobru pańskiemu, kiedy my będziemy pilnowały. Jakby to baby nie umiały sobie rady dać. Ja ta stara jestem, a jednem słówkiem więcej zrobię jak ten nasz młody. Tylko umieć trzeba! A ja umiem namotać i odmotać — jak trzeba! Nie darmo mnie ludzie uważają. A cieliczka jegomości, co mi ją jejmość pokazywała, odeszła. Aha! — ja mówiłam, że odejdzie. Mogła nie odejść, mogła całkiem przepaść. Takci i te złodzieje. Nogi im pokręci, nim łoziny tutaj jednej tkną.

Stara zrobiła się straszna, mówiąc to; ekonom mimowoli się przeżegnał. A Kostusia z drugiej strony go zastąpiła:

— Żeby pan mitręgi nie miał i drugi raz fatygi, ja dzisiaj za niego obchód przyjmę, a potem mu po-

każę. Zawierzcie nam, panie; upilnowane, całe wszystko będzie. On rychło wyzdrowieje.

— A tymczasem ja niespokojny będę. Wypadnie samemu naglądać, za niego pracować.

Kostusia chciała zaprzeczyć, ale mamka ją wyprzedziła.

— Za łaskę i trud jegomości my się wypłacimy. Połowę roboty pan mu zdejmie — połowę zasług my odstąpimy. Takci po sprawiedliwości! A jejmości ja len urządzę i bydełko i ptactwo będzie jej się wiodło stokrotnie; aby jaka usługa, to my gotowi! Wiadomo, swojej gospodarki niema, czas zbywa. Robota nam łaska.

— Pewnie, że to po sprawiedliwości, i tak już litościwe serce mam, że wam to ustępstwo zrobię — burczał ekonom, po kątach się rozglądając, czy niema czego na zadatek umowy. — Ale do lata on wylizać się musi, bo wtedy nic moja protekcja nie pomoże. Młody pan codzień tu na polowanie przyjeżdża. Wasze szczęście, że teraz zaspy. Chłop się nie dobierze. Ano, i ja naglądać będę, kiedym obiecał — dodał łaskawie.

— Będzie się zato jegomości bydełko i trzoda dobrze wiodła! — tajemniczo szeptała mamka.

Kostusia milczała. Wstyd jej było za tego człowieka, wstyd na myśl o tych zacnych, dobrych staruszkach. Ubrała się w swe ciepłe szmaty i poszła za ekonomem. Sewer, widząc ją znikającą, wydał

z siebie cichy, żałosny szept, a potem znowu do obserwacji sęka wrócił, mamka, ponuro w ogień wpatrzona, mruczała — zapewne klątwy.

Po kilku godzinach wróciła Kostusia. Ekonom był już zupełnie udobruchany. Zasiadł na ławie i zrobił obrachunek. Powinni mu byli oddać rocznie piętnaście rubli i sześć korcy ordynarji — do wyboru — co mu się podoba. Była to ścisła połowa.

— Oddamy, panie, oddamy! — zaręczała Kostusia, uśmiechając się łagodnie, nadzieją spokoju szczęśliwa.

— Pamiętajcie... i sza... bo wszystko przepadnie! — zapowiedział. — A teraz dajcie choć zakąski na zadatek. Macie wódki? Kiełbasy?

— Nie mamy. Kartofle tylko.

— Oho, ale kokoszkę macie? Nośna ona?

— Codzień jajko daje — pochwaliła się Kostusia, nie widząc grymasów mamki.

— To mi ją wrzućcie do sanek, żebym umowę naszą pamiętał.

Kura nie dawała się złapać, wybiła szybkę w okienku, pojmała ją wreszcie Kostusia i spełniła w milczeniu rozkaz. Mamka się nie poruszyła, zacięła usta, a oczy jej były złe i mściwe.

Ekonom zostawił im starą strzelbę, przysłaną przez pana, zabrał gotowe motki lniane i pojechał na obiad, spóźniony. Wychodząc, nadeptał jeszcze psiaka, pełzającego u komina. Powstał lament okropny. Ma-

leństwo półślepe, niezdarne, utuliła ledwie Kostusia i parę jej cichych łez spadło na ten drobiazg bezsilny i dlatego krzywdzony.

Mamka nie odezwała się do wieczora i nie tknęła jadła. W ten sposób obchodziła żałobę po kurze.

Sewer, obojętny, wciąż się w swój sęk wpatrywał.

XII.

Był tedy spokój!

Codzień wczesnym rankiem Kostusia ubierała ciepło Sewera, nakładała na się wszystkie szmaty, brała w zanadrze kawałek chleba i wychodzili tak we dwoje na obchód. Ona szła przodem, torując drogę, on za nią krok w krok, pilnując się, by stopą swoją w ślad jej stopy trafić. W borze pozostawali dzień cały, przetrząsając go z końca w koniec. O południu odpoczywali chwilę, jedząc wspólnie ów kęs zimnego chleba, usadowieni pod wywrotem lub na kłodzie.

Las ten poznała prędko Kostusia. Znała niemal drzewo każde, znała krzaki i wiecznie odkryte oparzeliska, nad któremi zimowały cietrzewie i kaczki dzikie. Wiedziała, gdzie wiewiórki kryły po dziuplach orzechy, gdzie dzięcioły zebrały sobie szyszki, odnalazła po nagich gęstwinach gniazda zeszłoroczne, śniegiem zawiane, a takie różne i ciekawe. Spotykała kotliny zajęcy i garście piór, resztki lisiej biesiady, natrafiała na zwierzęce narady, gonitwy, łowy.

Kochała ten las dla ciszy i pustki, kochała bardziej jeszcze dla dobroczynnego wpływu, jaki wywierał na Sewera.

Biedak, zrazu słaby i niezręczny, nabrał sił i wprawy. Cera jego ziemista nabrała jaśniejszych tonów, od mrozów dostawał rumieńców, chód jego stawał się lekkim i sprężystym. Dla przyrody nie miał wprawdzie oczu i objaśnień Kostusi słuchał bezmyślnie, ale zastanawiały go głosy ptaków i począł je naśladować, śmiejąc się dziecinnie.

Teraz zupełnie przyrósł do Kostusi. Gdy go czasem chciała zostawić w chacie z powodu zimna lub wichru, nie pomagały prośby i rozkazy. Szedł za nią jak lunatyk, towarzyszył w lesie, przeprowadzał do studni po wodę, stał nad nią, gdy rąbała gałęzie do pieca, a w chacie nie zdejmował z niej oczu niespokojnych, ilekroć zbliżyła się do drzwi. Na myśl mu jednak nie przyszło wyręczyć ją w ciężkich zajęciach. Nie obchodziły go wiązki chróstu, które przynosiła z lasu, ani ciężkie wiadra wody, które jej szczupłą postać chyliły do ziemi. Ale Kostusia nie wymagała, nie chciała pomocy. W jej gorzkim żywocie i taki stan był wytchnieniem, ulgą.

Spokój tedy był wedle jej pojęcia. Ekonom wcale się nie pokazywał, kradzieży nie było nigdzie śladu. Świat o tych nieszczęśliwych, a oni o świecie całkiem zapomnieli.

Tylko często im głód dokuczał. Ekonom wedle umowy, dla pewności, jak mówił, zabrał naprzód

swoją część, a biedacy nie śmieli prosić we dworze o więcej, żeby nie zrazić dobrych, starych państwa i nie kłamać przed nimi. Więc wprędce chleb się skończył i były tygodnie, gdzie jedli tylko kartofle z wodą, dla chorego szczędząc resztki słoniny. Mamka wspominała bezustannie kokoszkę i stękała, przędąc po całych dniach u ciepłego pieca. Dla przepędzenia głodu jadła przymarzłe jagody kaliny, której pękami ozdobiła okienko.

Skończywszy len ekonomowej, zabrała się pewnego dnia i poszła między ludzi. Nie było jej trzy dni, ale przyniosła sakwę, pełną krajanek chleba, cebuli i soli. Kostusia, spojrzawszy na to, zapłakała i ręce jej twarde ucałowała ze czcią. Zrozumiała, że stara żebrała dla nich, że chleb to był modłami i prośbą nabyty. Starczyło go na parę tygodni i znowu głód wrócił, żłobiąc policzki dziewczyny, sinością pokrywając usta starej. Sewer nic nie odczuwał.

Wieczorami krzepili się nadzieją wiosny. Będą korzenie, trawy soczyste, jajka po dzikich gniazdach i będzie ciepło. Teraz całodzienne trwanie na mrozie budzi ten głód nieznośny, sprawia kurcze i osłabienie. Będzie i ryba w rzece.

— Ryba to i teraz jest — rzekła raz mamka, przestając prząść, jakby tknięta jakąś myślą. — A gdzież my pamięć podzieli! Kiedyż ryba, jak nie teraz!

Wstała żywo, a za nią porwała się Kostusia, Sewer, nawet psiak-znajda, śpiący obok Sewera na

ławie. Wyszli wszyscy na rzekę, pokrytą grubym lodem. Mamka zaczęła lód rąbać zajadle, potem Kostusia odebrała jej siekierę i pracowała aż do omdlenia. Wokoło nich mroźny wiatr wyprawiał dzikie harce i wyiskrzony księżyc robocie się przyglądał.

Dobrali się wreszcie wody i nad przeręblą schyleni, czekali zdobyczy. Już nawet zimna nie czuli ani miary czasu nie liczyli. Aż wreszcie mamka szybko zanurzyła ręce w lodowatej wodzie i dobyła piskorza. Kostusia uklękła na lodzie i czatowała dalej. Czerpali i czerpali. Piskorze zaroiły się zewsząd. Zebrali ich pełną połę, z triumfem zanieśli do chaty.

Odtąd żywił ich Pan Bóg. Rybki gotowali w wodzie z solą i zupkę tę pili chciwie. Nie dawało to sił i nie tuczyło, ale przecie było ciepłą strawą.

Był tedy spokój. A musiał i w duszach gościć, bo w biedzie tej i niedostatku nie rzekli nigdy złego słowa ani sobie, ani ludziom, ani doli. Rano chata słyszała modlitwę, wieczorem łagodną, serdeczną rozmowę. Starych czasów nie wspominali i tylko niekiedy, gdy Kostusia, zmordowana ciężką służbą, czuła falę zniechęcenia, zalewającą jej duszę, wtedy dla pokrzepienia przypominała dzieje wędrówki, czerpiąc w tem wspomnieniu nowe siły.

W nocy odwiedzały ich wilki. Zpoczątku wycia ich i szelest kroków pod ścianą przejmowały zgrozą kobiety, potem i z tem się oswoiły. Bestje ocierały się o węgły, zaglądały do okien, skrobały do progu,

skomlały złowieszczo, głodem uzuchwalone, żer węsząc. Śmiertelnie znużeni, biedacy spali po swych kątach przy wtórze tej ponurej pieśni zimy i tylko szczenię uspokoić się nie mogło, odpowiadało piskliwie, tuląc się do Sewera, z którym było w najlepszej przyjaźni.

Tak minęło parę miesięcy. W końcu lutego dnie już stały się dłuższe, o południu cieszyło słońce.

Pewnego dnia Kostusi w głębi lasu porwał się z pod nóg wielki orzeł i niedaleko usiadł na olszynie. Dziewczyna podeszła w to miejsce i znalazła zdziwiona ogromnego zająca. Drapieżnik przed chwilą go ubił, bo zając jeszcze ciepły był i ledwie tknięty dziobem w serce, broczył krwią.

— Widzisz, Sewer — zawołała Kostusia radośnie — będziesz miał dzisiaj królewską wieczerzę.

Poniosła zająca i ruszyła dalej, rozmyślając, jak się tą niespodzianą zdobyczą mamka ucieszy. Orzeł przyglądał się jej ponuro ze szczytu drzewa i przeprowadził daleko bystremi oczyma.

W czasie dalszej drogi skrupuł zdjął Kostusię. Pański był zając, nie jej. Spojrzała na Sewera i westchnęła. Po naradzie z mamką postanowiła łup ten odnieść do dworu. Nierada tam szła, bojąc się pytań staruszki, bojąc się jeszcze bardziej, by ją o narzucanie się nie posądzono, ale wypadało pójść przecie, podziękować, o rozkazy może się dowiedzieć.

Całą noc czatowały nad przeręblą, aby ryb drobnych woreczek dołączyć do zwierzyny. O świcie Kostusia ruszyła do dworu. Sewer jeszcze spał, a nim się zbudzi i obejrzy — ona wróci.

Jak wtedy, w ów wieczór wigilijny, stanęła w sieni kredensowej i tym swoim uśmiechem, co za serce brał, przywitała starego lokaja, który ich wtedy ugościł. Nie poznał jej.

— A czego? Co to za zwierzę?

— Od orła odebraliśmy wczoraj.

— A wy co za jedni?

— My z Temry. Owe biedaki, co pan przygarnął.

— A prawda! Nie poznałem. Zaraz pana poproszę.

Staruszek wyszedł, po chwili i pani się pokazała. Kostusia ucałowała ich ręce.

— Mało was widać! Cóż? Jakże wam się wiedzie? — zapytała ją dobrotliwie.

— Boga za państwem prosimy! — odparła, a oczy jej, do dna przejrzyste, stanęły we łzach.

— Macie co jeść? Zagospodarowaliście się?

— Dobrze nam, panie!

— A szkody niema? Spokojnie?

— Nikt jednej gałęzi nie ruszył, proszę pana! Pilnujemy w dzień i w nocy.

— A czemuż strażnik sam się nigdy nie pokaże?

— Słabował długo. A zresztą on taki dziki i milczący. Wczoraj tego zająca od orła odebraliśmy i przynoszę panu. Jest i ryby trochę, tom zabrała.

Dobrze, moja droga! Nie myśliwy on, widzę!

— Nie było rozkazu ze dworu, ale skoro trzeba, to będzie zwierzyna.

— Teraz na wiosnę nie pora, ale latem trzeba, żeby się wprawił. Syn nasz lubi Temrę i często tam przebywa. Starajcie się mu dogodzić.

— Proszę pana, ile sił się staramy za łaskę wiernie odsłużyć.

— To dobrze. Odnieśże zająca i ryby do kuchni.

— A nie odchodź, nie zobaczywszy się ze mną! — dodała staruszka. Wstąp do garderoby.

Kostusia spełniła rozkaz. Garderobiane, ujrzawszy ją, poczęły między sobą szeptać i chichotać, nie odezwały się do niej. Stała u proga zbiedzona, blada, chuda, w łachmanach. Bolały ją te szepty i spojrzenia. Usta się jej kurczyły, a oczy rozwierały się wielkie, mgłą zasnute jak u zwierząt bezbronnych, nad któremi się psotniki znęcają.

Staruszka znalazła ją i zawołała ze sobą do swego gabinetu. Drzwi zamknęła na klucz.

— Usiądź, moja droga — rzekła łagodnie, wskazując jej krzesło.

— Dziękuję pani, postoję — odparła, bojąc się ruszyć od proga, tak okropnie jej odzież nędzna raziła przy tych sprzętach i czystości.

— Mizernie wyglądasz! Chorowałaś? — badała staruszka.

— Nie, proszę pani. Zdrowam!

— Cóż ci jest zatem! Przecie jest dach, spokój i chleba kawałek, ano, i nie pracujesz ciężko. Brak ci czego?

— Niczego, proszę pani... — szepnęła zdławionym głosem.

— Mylisz się! Brak ci czystego sumienia — surowo rzekła staruszka. — Powiedz, czy ty nie myślisz, że grzeszysz, tak żyjąc, że czynisz sobie zgubę duszną, a ludziom zły przykład dajesz! Moja droga, czas się opamiętać!

Kostusia milczała, bardzo blada.

— Wyznajże mi otwarcie, jak do tego przyszło. Kochałaś, uwiódł cię ten człowiek?

Kostusia podniosła głowę.

— Nie uwiódł on mnie, proszę pani. Niedola nam taką drogę usłała! Kochanie on moje i wszystko na tym świecie i życiebym mu dała... ale nie grzech. Żebyśmy grzeszni byli, nie wytrzymalibyśmy takiej nędzy jak ta za nami. Bóg nie doprowadziłby nas tutaj, ale stracił po drodze!

— Cóż więc jest między wami, co was zmusza tak żyć? Wydajesz mi się szczera, a zrozumieć cię nie mogę.

— Jest między nami nieszczęście, bieda, przygnębienie. Jeśli Bóg kiedy na nas spojrzy i zechce, to nas wyratuje, podźwignie, a teraz, jako jest, być musi!

— Nie kocha on ciebie, przyznaj się?

Po ustach dziewczyny słaby przewinął się uśmiech.

— Nie kocha — potwierdziła zcicha.

Staruszkę to uspokoiło, wyjaśniło kwestję.

— Więc tak. A ty go porzucić nie masz siły i cierpisz!

Kostusia z tym samym bolesnym uśmiechem potakiwała.

— Ale on dobry dla ciebie? Nie poniewiera, nie drwi, nie wymyśla, nie odpędza?

— O, nie, pani. On mi dobry! Jaki jest, najlepszy!

— Biednaś ty! — łagodnie rzekła staruszka. — I tak zawsze było? Nie kochał cię nigdy?

— Kochał, pani. Ale jak wszystko, tak i to kochanie się rozbiło, i nawet mu tych dni pamięć uleciała.

— A przecie on cię skrzywdził. Musisz być bardzo dobra, jeśliś mu wszystko przebaczyła. Zmarnował ci żywot. Mowa twoja niepospolita jest i prawa dusza z oczu ci wygląda. Musiałaś kiedyś w dobrym bycie żyć i szczęśliwa.

— Bez niego nigdy, proszę pani. I żeby wstecz wrócić, to samobym zrobiła.

— Ale teraz ci ciężko być musi. Niedostatek może cierpisz, dziewczę, powiedz. Radabym każdemu dopomóc, a ciebie mi szczególnie żal.

— Bóg pani zapłać stokrotnie. Niczego nam nie trzeba. Byle państwu dogodzić i zostać tam, w tej głuszy.

— Nędznie wyglądasz i w tych samych łachmanach chodzisz! Wszakże, słyszę, on wziął pensję? Może cię krzywdzi?

— Uchowaj, Boże! Nic mi nie brak. Pieniądze szczędzimy na jaką złą chwilę. Dobrze nam z łaski pańskiej.

— Pamiętajże, w razie potrzeby, śmiało do mnie przychodź. Stara jestem, mogłabym ci babką być, a różne niedole sama przechodziłam, więc i cudze zrozumiem. A bacz duszy swojej, dziecko, pilnie bacz.

Kostusia usunęła się jej do kolan i nogi ucałowała.

— Weź sobie ten zwitek bielizny. Zda ci się może. Każę ci też zapasów z apteczki udzielić. Zaopatrzcie się w jadło na wiosnę, bo gdy lody puszczą, długo będziecie od świata odcięci. Dajże ci, Boże, pociechę!

Kostusia, obdarzona, wychodziła już za bramę, gdy ją ekonom spotkał.

— Słyszę, zwierzyny i ryby panu przyniosłaś. A o mnie, swym dobrodzieju, nie pamiętacie! Źle robicie!

Dziewczyna przestraszyła się ogromnie.

— No, no, drugi raz miejcie rozum! Ręka rękę myje, noga nogę wspiera — powtórzył swe ulubione zdanie.

— Przyniosę ryby — szepnęła Kostusia.

— To dobrze. Obdarzona wracasz? Oho? Wstąpże do mojej chałupy. Żona ma do starej jakiś interes.

Wstąpiła Kostusia, a gdy wyszła, zwitek od pani był o połowę mniejszy, a natomiast na plecach spory worek wełny do przędzenia.

W domu zastała biedę. Sewer się zbudził, a nie ujrzawszy jej, poszedł sam w las. Mamkę, która go powstrzymywała, od drzwi odepchnął i zginął. Już go stara szukała daremnie, wołała, ile siły, nie odzywał się.

Kostusia, rzuciwszy swe skarby, pobiegła, strasznie zatrwożona. Przetrząsła las cały, kąty i zakąty. Wieczorem zaledwie, półżywa z rozpaczy, znalazła go. Siedział skulony pod wywrotem, gdzie zwykle obiadowali. Siły go snać odbiegły, a mróz obezwładnił doreszty. Na jej widok mroczne jego oczy zajaśniały i coś niewyraźnego wybełkotał, a ona rzuciła się do niego, wołając najsłodszym głosem, głaszcząc go po głowie i twarzy.

Zarzekła się od tej pory zostawiać go choć na chwilę samego, bez siebie. A on od tego dnia stał się gorzej niespokojnym i o nią podejrzliwym. Zauważyła nawet Kostusia, że nie lubił, gdy siadała obok mamki. Wtedy złe się robiły jego oczy. Nie powiedziała tego starej, ale odtąd zajmowała miejsce na ławie przy nim, a on wtedy był spokojny i cichy.

Mijały znowu tygodnie w pracy i zwykłym niedostatku. Zaspy poczęły maleć wkoło boru, oparzeliska zwiększać się, ścieżki czernieć, na rzece wystąpiła woda. Dach straży od południa zdobiły wspaniałe sople, w izbie wilgoć dawała się czuć dotkliwie. Pleśniały ściany, podłoga, zielenił się chleb na półce. Zaczęła też przeciekać strzecha.

Kostusia, wracając z obchodu, nie miała na sobie suchego szmatka odzieży, kaszlała po nocach i febra ją męczyła. Mamka rybołówstwo swoje przypłaciła tygodniową gorączką. Zima rzucała biedakom ostatnie swe ciosy.

Słońce już grzało o południu i gęste wiatry szły od zachodu, niosąc od boru odrodzenia szumy. A bór słuchał i tracił swój surowy koloryt. Czerniały pnie, łozy, krzaki, gdzie niegdzie po wzgórkach mech wytykał swą zieloność. A woda rosła i lód stawał się szorstkim i matowym, podziurkowany przez słońce jak strzałami.

Nareszcie pewnego dnia Kostusia załamała się na rzece i wróciła do chaty. O obchodzie nie można było myśleć. Ciepło było, parował śnieg i topniał w oczach, zewsząd do rzeki biegły strumyki: a wiatr już nie kąsał, ale całował. Biedakom radowały się serca. Wiosna była krzepicielką, karmicielką. Pogoi odmrożenia bolące, zastąpi im dziurawe świty i szczątki kożuchów, oszczędzi buty. Zmniejszą się wiązki chróstu, dźwigane z lasu, pranie szmat będzie zabawką,

a szczególnie — jeść ziemia da, pożywi ich bór-dobrodziej.

Tak się cieszyli dzień i wieczór. Wreszcie szmer pacierzy napełnił chatę, ogień spopielał i tylko ciche oddechy przerywały ciszę. Na dworze marcowy wicher dokazywał i szalał, wpychał kominem do środka i rozrzucał po izbie ostatnie iskierki. Świat do niego należał przecie.

Wśród nocy zbudziło Kostusię, śpiącą na ziemi, uczucie chłodu. Wpółsennie wyciągnęła dłoń, nagle oprzytomniała i zerwała się z krzykiem. Woda zajęła chatę, posłanie jej już pływało. Na krzyk ocknęła się mamka.

— Co ci, zazulo? — spytała.

— Woda w chacie!

— O, Jezu! — jęknęła stara. — Cóż my poczniemy teraz?

— Pod dach się schowamy. Zbierajcie sprzęty i chleb.

Brodząc po wodzie w ciemności, przerażone, zziębnięte, chwytały, co wpadło pod rękę. Kostusia zbudziła Sewera, śpiącego na piecu, i prawie gwałtem pociągnęła do sieni. Ledwie mu wytłumaczyła, jak ma się drapać na drabinę, ledwie doprowadziła na strych. Mamka już tam była, przytulona do komina, szczękając zębami i lamentując.

— Zabraliście wszystko, i ten woreczek z za pieca, gdzie moje pamiątki i jego papiery?

— Zabrałam, zabrałam. Ale zostały się motki ekonomowej i strzelba pańska. O, Jezu!

— Ja motki przyniosę. Może co więcej jest w wodzie.

— Trzewiki moje i garnuszek. Zabierz, zazulo, garnuszek.

Kostusia zniknęła w czarnej otchłani pułapu. Sewer, szczęściem, był tak oszołomiony, że jej odejścia nie spostrzegł. Po chwili wróciła, obładowana resztą ruchomości. Składała wszystko u komina i sama wreszcie spoczęła, ciężko dysząc.

— Wody wyżej kolan, — rzekła — zaraz po oknach pójdzie. Musiała rzeka puścić. Bóg łaskaw, że choć z życiem wyszliśmy.

— A jak i dach zajmie albo tydzień tak postoi? Pomrzemy głodem albo się potopimy.

Dziewczyna milczała chwilę, grozą zdjęta.

— Żeby choć dzień! W tej nocy tak straszno — szepnęła.

Wtem Sewer się poruszył, czegoś szukał wkoło siebie.

— A Mały? — zapytał żałośnie.

Mały był to psiak-sierota. Sypiali razem na piecu. Sewer nie zasypiał bez niego i co wieczór zabierał z sobą na posłanie. Teraz, w tej ciemności, brak mu było towarzysza.

— Mały? Niema Małego! — zawołała Kostusia.

Jakby w odpowiedzi z dołu podniósł się pisk żałosny.

— Zabierze go woda!

— Mały! Mały! — powtarzał Sewer jak dziecko.

Kostusia spuściła się w dół. Plusnęła woda i ucichło. Ale po chwili lament szczeniaka ustał.

— Kostuśka! Kostuśka! Zginiesz! — wołała mamka.

— Nic, nic! — odparła dziewczyna urywano. Zaraz będę. Drabina pływa. Podam ją wam, potrzymajcie z góry.

— O, Jezu! O, Jezu! — biadała mamka, potykając się w ciemności.

Na dole znowu coś plusnęło; to Kostusia dobywała się z wody i ociekająca, zmęczona, wydostała się do komina.

— Masz Małego, Sewer, masz! A trzymaj go dobrze, bo już drugi raz nie wydostanę, skoro upuścisz. Wody pod ramiona, ledwiem zgruntowała.

— Wywróci prąd chatę! Potoniemy! — lamentowała mamka.

— Jak Bóg da! — odparła spokojnie Kostusia.

Przytulili się do komina i każde, myślami czarnemi zajęte, milczało, wyglądając dnia z niecierpliwością. Komin był jeszcze trochę ciepły. Kostusia, nie mając suchej odzieży na zmianę, suszyła się przy nim, drżąc z zimna i przestrachu. Mamka odmawiała głosem złamanym, przeciągłym pacierze. Sewer machinalnie, nie zdając sobie sprawy z położenia, gładził Małego i milczał, obojętny. A z minut dla nich robiły

się godziny i zdawało się, że ten dzień nigdy nie przyjdzie.

Przyszedł, chociaż późno, bo niebo chmur było pełne. Przez otwór w szczycie wyjrzała na świat Kostusia. Wkoło niej było morze, pokryte krą i pianą. Rzeka porwała lody. Ani śladu krzaków, oczeretów, łozy — tylko drzewa boru wyrastały z tej topieli i o nie kra biła. Deszcz, mgła, pary zasłaniały widnokrąg. Nie widać było nic prócz wody, wody, wody... Chata była prawie pod dach zajęta.

— Zginiemy teraz! — ponuro rzekła stara.

— Może ze dworu czółnem przypłyną na ratunek.

— Ale, spodziewaj się! Każdy siebie ratuje! Toć pewno i dwór zajęło. A kraj to, kraj! Bez Boga chyba.

— Niema takiego pod słońcem! Bóg i nas widzi. Nie bójcie się. A pamiętacie ową noc na mogiłkach w kaplicy? Bliżej była zguba, a przecie wyszliśmy. Takci i teraz Bóg patrzy...

— Takaś ty święta, zazulo.

— Nie świętam, ale tak myślę, że im śmierć bliżej, tem i Boże poratowanie bliższe! Zobaczymy, czy woda przybywa.

Stara nie śmiała dalej się skarżyć. Zajrzały w sień. Po wodzie pływały pęki kaliny, wrzeciona, drzazgi, deski z ław i stołu.

— Podmyje piec! — szepnęła mamka.

— Zdaje się, nie więcej wody, jak było — zadecydowała Kostusia.

— Byle prędko spadła, nim nam chleba zabraknie.

Chleba rzeczywiście było niewiele. Jedli go oszczędnie, po kęsie. Najlepszą część miał Sewer i pies. Kobiety obchodziły się prawie samą wodą i okruchami, przesypiając głód.

Tak im minął dzień jeden i noc druga. Około drugiego południa zauważyła Kostusia, że woda w sieni spada. Odsłoniły się dwa szczeble drabiny, do wieczora ukazał się trzeci. Nadzieja wstąpiła w serca.

Tej nocy mało spały z niecierpliwości i ledwie świt zabielał, skoczyły do otworu pułapu. Wody było ledwie po ostatni szczebel drabiny.

— A ot i Boże poratowanie! — zawołała Kostusia. — Nie mówiłam wam, nie mówiłam!

I uściskała starą.

Powódź tegoroczna była straszna. Nie pamiętali takiej ludzie tamtejsi i nie rachowali ci, co stawiali straż w Temrze. Zwykle woda dochodziła ledwie progu. We dworze pierwsza przypomniała biedaków samotnych staruszka pani i poleciła ich mężowi. Gdy trochę kra zbiegła, kazał pan najtęższym parobkom czółna dwa wziąć i posłał do straży. Czółno jedno, pełne zapasów, mieli tam do użytku strażnika zostawić, drugiem wrócić, upewniwszy się co do bezpieczeństwa tych opuszczonych.

Parobcy zastali już chatę wolną od wody. Kobiety zatykały szczeliny, poprawiały szkody; wiatr marcowy i ogień suszył wilgocią przesiąkłe ściany i podłogę. Kostusia ucieszyła się najwięcej ze słomy, którą skrzętnie z łodzi wybrała. Posłanie ich uniosła woda. Potem ludzie odjechali i tegoż wieczora ona rzekła do mamki:

— Już ja się położę. Złodzieje nie przyjdą, ekonom nie przyjedzie. Żebyście wiedzieli, jak mi się chce trochę spocząć!

I spoczęła na tej słomie dłużej, niż chciała — całe dwa tygodnie, mało co czując i wiedząc i o nic się nie troszcząc. Nad siły bo brała tyle czasu. Musiała zapłacić. Doglądali ją, kto mógł i umiał. Mamka karmiła gwałtem i gwoli poceniu okrywała wszystką odzieżą. Pies przychodził i lizał ją po twarzy, Sewer nie odstąpił. Mało co jedząc i nic nie mówiąc, całemi dniami wpatrywał się w nią, siedząc naprzeciw. Zapewne bał się instynktownie, by mu nie uszła i nie zostawiła samego. Biedak, nie rozumiejąc, przeczuł, że to odejście groziło mu co chwila, odejście ciche i niepowrotne.

Czasem i ona to czuła. Otwierała oczy zmienione i obejmowała go spojrzeniem rozdzierającego żalu i niemych przeprosin, że go zostawi bez siebie, a wargi jej spieczone powtarzały jego imię, jakby go wołała i tam za sobą, jak wszędzie, przez wszystkie bóle. Przecie nie odeszła. Chował ją Bóg, w którego poratowanie na chwilę nie zwątpiła.

Bledziutka jak opłatek zwlekła się pewnego dnia, ucałowała mamkę, pogładziła psa i usiadła obok Sewera.

— Łaska Boża! Myślałam, że zamrzesz, zazulo — rozrzewniona szeptała stara.

— Zamrzeć! A jakże mi wolno porzucać was i jego — odparła, przesuwając rękę po głowie Sewera i uśmiechając się po swojemu.

Nie poznała świata, wyszedłszy na próg. Łąki stały jeszcze pod wodą, ale bór już się wyłonił, zakwitł, zamaił się, rozbrzmiewał gwarem ptactwa, niósł do wycieńczonej chorobą piersi wonie żywicy, liści, kwiatów — cały się jak na gody wystroił. Rzeka płynęła o krok, żółtem kwieciem okryta, wirowały nad nią w słońcu ćmy owadów z monotonnym brzękiem.

Doczekali się tedy wiosny karmicielki, krzepicielki.

Do dworu młody pan zjechał. Pustak to był i swawolnik pomimo swoich trzydziestu lat i doktorskiego dyplomu. Może tam w mieście w powagę się ubierał, tutaj, w domu, swawolił, śmiał się, śpiewał, był pieszczochem, ukochaniem, bożyszczem i używał tych skarbów całą piersią.

Dwa tygodnie cieszył się rodzicami, domem, sąsiedztwem; wreszcie odezwała się żyłka łowiecka i przyrodnicza, opatrzył dubeltówkę, zaopatrzył się w naboje, książki, cygara od komarów; matka obładowała go zapasami, mogącemi starczyć na rok oblę-

żenia w fortecy, siadł do swej łódki i bez przewoźnika, sam popłynął do Temry.

Było południe, gdy stanął pod strażą, czółno na brzeg wsparł i wyskoczył, gwiżdżąc wesoło. Chatę lato oplotło zielenią, otuliło zewsząd brzózkami w majowej szacie. Zbliska dopiero ujrzał pan młody, że na przyzbie, w słońcu, siedział człowiek rosły, smukły, blady na twarzy, z odkrytą głową czarną i kędzierzawą i nic nie mówiąc, bawił się ze szczeniakiem może półrocznym, rzucając mu kawałki kory, które pies, poszczekując, do rąk mu podawał.

Twarz tego człowieka była zamyślona i smutna, młoda i przystojna, ale dziwnie nędzna i z tępym wyrazem. Bawił się machinalnie, zapatrzony gdzieś daleko w cienie boru. Ubrany był czysto, ale ubogo, w płótno szare, gęsto łatami upstrzone, i bardzo stare i dziurawe buty. Zarost jego czarny i włosy były krótkie, strzyżone, koszula świeciła czystością, ręce były białe i zgrabne, tylko ruchy ich miały w sobie coś nieprzyjemnego.

Wszystko to jednym ruchem oka objął pan i lekko brwi zmarszczył.

— Któż to wam pozwolił psa trzymać na straży! Nie wiecie, że tego nie wolno? — zawołał.

Na głos ten niespodziany człowiek oczy podniósł. Strach odbił się w jego źrenicach, a zaraz potem dzikość. Nic jednak nie odrzekł, tylko w nieznajomego wpatrywał się nieruchomie.

Aż wtem na ścieżce od studni z wiadrem w ręku, oczy od blasku przesłaniając, stanęła kobieta. Nie poznała głosu i sądziła, że to ekonom. Teraz, ujrzawszy obcego, rzuciła wodę i podbiegła.

Młody pan przyjrzał się jej zkolei z widocznem odrazu upodobaniem. Szczupła była i młoda, a zręczna jak topola. Nie zobaczył jej nóg, obutych w lipowe chodaki, łatanej barchanowej spódniczki, grubej koszuli i wytartego kaftanika, który nie na nią był pierwotnie skrajany. Zobaczył tylko małą głowę, otoczoną ciemnemi warkoczami, szyję smukłą, złotawą od słońca, młodzieńcze linje ramion i kibici, wdzięk i harmonję wszystkich form. Zobaczył też twarz ściągłą, zbyt może mizerną, ale którą zdobiły przepyszne, gęsto ocienione oczy i młode usta, małe, różowe, delikatnego rysunku. Pierwszą jego myślą było, że chętnieby te usta pocałował. A kobieta tymczasem stanęła przed nim i blednąc prędko, zestraszona, pochyliła się, jakby rękę jego chciała pocałować.

Odskoczył i schował ręce w kieszenie, a ona, rumieńcem oblana, ozwała się głosem cichym, proszącym, dźwięcznym:

— Proszę pana... nie powiedział nam nikt, że psa trzymać nie można! Nie wiedzieliśmy. Proszę darować... Oddamy go zaraz na wieś — daleko!

A gdy mówiła, młody pan zobaczył i wyraz tej twarzy, nieziemski spokój i słodycz, i nieludzką do-

broć, i czystość. I druga myśl była, że dla tej kobiety uczyniłby wszystko, o coby prosiła.

Zaczął tedy rozmowę zupełnie innym tonem, ciągle się jej przypatrując.

— Dawnoście tutaj?

— Pół roku mija.

— A ten mruk nigdy się nie odzywa?

— Proszę pana, on dobrze pańskiego pilnuje Pan zobaczy. Tylko że on taki bojaźliwy!

— Wygląda na idjotę — rzekł pan Michał, ale to nie ma nic do rzeczy, jeśli służbę pełni.

— Pełni, proszę pana! Niema nigdzie szkody, a od zwierzyny aż się roi po lesie!

— No, zobaczymy! Dotąd tylko widzę, że żonę ma ładną do zazdrości — zaśmiał się młody człowiek.

Kobieta zbladła i spojrzała mimowoli na stronę. Ale on nie słuchał i nie rozumiał, spokojny od chwili, gdy ona przyszła.

— Jeść mi się chce — ozwał się pan znowu. — Wstąpię do chaty, tam chłodno, a ten, jak on się nazywa?

— Sewer, proszę pana!

— A Sewer niech mi z czółna przyniesie strzelbę, torbę i koszyk z przekąską.

— Zaraz! Sama skoczę, bom skorsza.

Ale nie zrobiła dwóch kroków, a już Sewer wstał i poszedł za nią, nie spuszczając z niej oka.

Pan tymczasem wszedł do chaty i obejrzał ją. Wyglądała ogromna, tak była pusta. Jedno posłanie na ziemi, drugie na ławce, trzecie na piecu. Kądziel, dzieżka na chleb, dwa garnuszki, drewniane łyżki, w kącie siekiera i rydel. Na ścianach czarnych nago też było, tylko nad posłaniem wisiał krzyżyk, nożem niezgrabnie wycięty, a pod nim dwa obrazki jakieś, świeżemi kwiatami ubrane.

Pan się ku nim zbliżył. Były to dwa dagerotypy, tak wybladłe, że trzeba było wiedzieć, kogo przedstawiają, by cośkolwiek rozpoznać. Wisiała też na ścianie strzelba, jednorurka, drutem związana, i jakieś szmaty kożuchów i świt. Posłanie stanowiła słoma i mech.

W tej chwili kobieta wróciła i złożyła na stole dobyte z czółna przedmioty, za nią jak cień wsunął się strażnik i nic nie mówiąc, usiadł przy piecu.

— Jest tu u was ktoś trzeci? — spytał pan.

— Nasza stara.

— No, nie dostatnio się macie, widzę!

— Dobrze nam, proszę pana! — odparła z uśmiechem.

— Pewnie się bardzo kochacie? Co? Ten mruk sam na sam z wami musi się nielada rozchmurzać?

Pan rozłożył swe przekąski i śmiejąc się, to mówił.

— A jakże wam na imię?

— Kostusia.

— Wypijmyż, Kostusiu! Ty za moje zdrowie, ja za twoje piękne oczy, a oboje na dobrą znajomość.

Nalał jej kieliszek złotawego wina.

— Dziękuję panu! Bóg widzi, jak państwu dobrze życzę, alem pić nie zwykła. Doprawdy, nie mogę!

— No, to niechże za ciebie mąż wypije. Masz, Sewer!

— Sewer! — powtórzyła ona — wypij, co ci pan daje, i podziękuj!

Mówiła spokojnie, ale stanowczo. Strażnik wstał, wypił.

— Dziękuję panu! — rzekł z wysiłkiem.

Przecie się odezwał. Siadajże, Kostusiu. Nie lubię ceremonij.

Pies wcisnął się do izby i jakby czuł, że go wygnanie spotka, usiadł u nóg Kostusi, zdaleka tylko, nieśmiało węsząc rozkoszne zapachy pańskiej zakąski.

Pan spostrzegł, jak go gładziła zlekka, bojąc się, by nie poddał się pokusie łakomstwa.

— Skądże macie tego psa? Kapitalnie brzydki.

— Brzydki! — zdziwiła się, pochylając głowę. — Znalazła go nasza stara we dworze pod płotem, zimą. Ktoś wyrzucił ślepe jeszcze na mróz. Wyhodował się przy nas, razem jedząc i śpiąc. Bardzo ucieszny i zmyślny.

Wciąż gładząc tego towarzysza nędzy, pomyślała, że go jutro nie będzie już i bardzo nisko schyliła głowę, żeby pan, broń, Boże, nie zobaczył, że na tę myśl oczy jej we łzach stanęły. Ale pan przecie spostrzegł i zrozumiał i pożałował swego wyroku.

— Nie godzi się go zatem tracić — rzekł. — Byle zwierzyny nie płoszył, może u was zostać.

— Dziękuję panu — zawołała i znowu do ręki jego się schyliła, ale on się cofnął.

— Jeżeli już koniecznie chcesz mnie pocałować, to pozwalam tylko w twarz! — półserjo, półżartem odparł.

W tej chwili ukazała się mamka i pokłoniła mu się do kolan.

— Stara wiedźma! Przecież nie matka! — pomyślał, a głośno rzekł: — pić mi się chce! Macie pewnie mleko?

Mamka na to przypuszczenie skamieniała, otworzyła bezmiernie oczy i usta. Kostusia odparła z żalem:

— Nie mamy mleka, panie.

— Jakto? Krowy nie trzymacie?

— Nie, panie.

— Cóż wy zatem jadacie, nie mając mięsa ani mleka?

— Nie głodniśmy, z łaski pańskiej. Wody świeżej panu uczerpię!

— Chyba z twoich rąk będzie mi smakowała.

Mamka patrzała, coraz bardziej zdziwiona tą mową i zachowaniem się młodego. Tak dawno nie słyszała nic więcej od ludzi jak groźby i grubjaństwa.

Pan wypił wodę, zapalił cygaro i wcale się do boru nie kwapiąc, rozparł się na koszlawym stole i ścigał oczami Kostusię, krzątającą się po izbie.

— Nie chłopi wy? — zagadnął.

— Nie, panie, szlachta.

— I nie tutejsi? Jakże tu przywędrowaliście?

— Chleba szukając i spokoju.

— No, chleb to nie bardzo tuczy, jak po was widzę, ale co spokój, to prawdziwy. W tej głuszy, by wytrzymać, trzeba być albo bardzo szczęśliwym, albo bardzo nieszczęśliwym. Cóż, piękna Kostusiu, was do których zaliczyć?

Nie zauważył, że do nędzarki, sługi swej najniższej z hierarchji oficjalistów, odzywał się wyrażeniami i pojęciami swego świata, że ją pytał o uczucia ludzi wykształconych. Mowa jej czysta i zachowanie niezwykle odurzyło go. Kostusia na to ostatnie pytanie spojrzała mu jasno w oczy.

— My, proszę pana, biedni, więc szczęśliwi u Boga — odparła poważnie.

Żarty jego obijały się o nią bez wrażenia. Dusza jej zanadto trosk była pełna. Uśmiechnęła się, ale jak się uśmiechają bardzo smutni niekiedy, kurczem ust; odpowiadała, jak odpowiadają mędrcy dzieciom. Zapominał się coraz bardziej. Zajmowała go ta kobieta, to spotkanie niezwykłe, ciekawe w straży, gdzie przyjechał dla bezmyślnej zabawy.

— A tam, skąd idziecie, zostawiliście kogo?

— Zostawiliśmy, ale tych zawsze odnajdziemy na miejscu.

— Rodzinę?

— Groby, panie!

— A dawnoście się pobrali?

Krew purpurą oblała twarz dziewczyny.

— Zda się bardzo dawno, choć nie na lata! — zcicha odparła.

Mamka tymczasem dobyła z piecyka obiad w garnuszku i wylała w miskę. Zupa to była nieokreślonego koloru. Kostusia wzięła dwie łyżki, ukroiła kromkę chleba, usiadła obok Sewera, miskę umieściwszy między sobą a nim. Zaczęli jeść, dzieląc się chlebem i strawą.

Panu wstyd się zrobiło rozłożonych przed nim specjałów na widok tej strawy zielonawej, po której pływały nieliczne szperki.

— To wasz obiad? — spytał.

— Lebioda z mąką! — pochwaliła się stara.

Kombinacja ta była jej pomysłu i wykonania.

Skończywszy jeść, Kostusia umyła statki, zebrała okruchy dla psa.

— Zabawię tu u was dni parę — rzekł pan. — Przygotujcie mi nocleg w komorze. Jest tłumoczek w czółnie. A tymczasem, Sewer, pokaż mi, co masz w lesie. Ruszajmy!

— Pańską łodzią, czy naszą? — spytała Kostusia, biorąc wiosło z kąta, u drzwi.

— Moją. Co? I ty ruszasz?

— Pomogę mu wiosłować — rzekła.

— A i owszem! Zgodziłbym się nawet na zostawienie go tutaj w takim razie.

Smiejąc się, wyszedł naprzód, Kostusia niosła za nim torbę i strzelbę.

I stało się, że zamiast pomagać Sewerowi, sama zepchnęła łódkę, usiadła w końcu i jednocześnie sterując oraz wiosłując, wypłynęła na rzekę. Pan się rozłożył w środku, na dywanie, Sewer usiadł na przedzie i ruszyli.

Gorąco było i cicho. Prąd rzeki, zwykle wolny, teraz był prawie niewidzialny, łódź się ślizgała bez oporu wśród masy wodnych roślin, ocierała się o krzaki nadbrzeżne. Pan nie przed siebie patrzał, ale na Kostusię. Zginała się i prostowała miarowo z ruchem wiosła, bez żadnego, zda się, wysiłku. Ręce jej spracowane i ciemne ściskały silnie drzewo, ramiona, odsłonięte do połowy, naprężone były, muskularne, zdrowe, pełne żywej krwi. Upał zabarwił szkarłatem jej cerę złotawą, trud rozchylał usta i nozdrza.

— Ile masz lat, Kostusiu? — spytał.

— Dwadzieścia.

— A wiesz, że ładna jesteś i możesz łatwo w głowie zawrócić. Cóż? Nie podziękujesz mi za komplement?

— Gdyby mi pan powiedział, żem dobra, tobym podziękowała. Że ładne — mówi codzień słońce kwiatom, ptakom, muszkom, wszystkiemu, co duszy nie ma i co ginie każdej jesieni.

— Nim się duszę zobaczy, widzi się piękność. Jedno drugiego nie wyklucza. No, przyznaj się, że ci Sewer częściej mówi, żeś ładna, niż żeś dobra.

— Ale żebym duszy nie miała i jego dusza nie była moją, gdzieby on był, a gdzie ja! — szepnęła, zapominając się, że do pana mówi... sługa.

Ale on dawno o tem nie pamiętał i z odcieniem zawiści spytał:

— Bardzo go kochasz?

— Jak życie ludzie szczęśliwi! — odparła spokojnie.

Pan się powoli obrócił. Ciekawy był, jak teraz wygląda ten człowiek, który przecież musiał słyszeć słowa Kostusi.

Strażnik siedział, nad wodą pochylony, i ręką łowił pływające rośliny, uśmiechając się, gdy którą uchwycił, i wciągając zdobycz do łodzi. Zmęczony był i oblepiony drobniutką rzęsą! Dzika mięta, której stos miał pod nogami, roztaczała mocną woń!

Pan Michał zaczął mu się przypatrywać bacznie i poważnie. Myśl jakaś niejasna jeszcze była w jego wzroku, badanie, ciekawość, zdziwienie. Umilkł, tknięty nagle przypuszczeniem nadzwyczajnem. Człowiek ten nie słuchał widocznie ich poprzedniej rozmowy ani rozumiał nic. Absorbowało go dziecinne zajęcie.

— Sewer, — ozwał się głos Kostusi — co ty robisz! Zamoczysz dywan pana. Zaraz mi wyrzuć wszystko i nie rób więcej! Nie rób, Sewer — powtórzyła.

Strażnik, swoje imię posłyszawszy, podniósł na nią oczy przestraszone, niepewne, jak ktoś, nagle prze-

budzony, ale nieco głuchy. Zaruszał ustami, ale nie wydał dźwięku i z biernem, zwierzęcem posłuszeństwem spełnił żądanie. Pęk mięty plusnął w rzekę, zapachniał na pożegnanie i wplątał się między łozy. Sewer patrzał tam i tak pozostał nieruchomy, zgarbiony, z obwisłemi ramiony, jakby drzemał.

Pan Michał ciągle mu się przypatrywał, już teraz nie ciekawie, ale z natarczywością. Zagadka jakaś, tajemnica wychylała mu się z zachowania tych ludzi względem siebie. A kobieta tymczasem zwróciła łódź na jeden z tysiącznych zygzaków wodnych, przerzynających Temrę, i opowiadała, to lub owo wskazując.

— Tu, panie, wiosną tokowały cietrzewie, teraz już małe wodzą starki. Pozawczoraj spotkałam dwa stada, po piętnaście sztuk naliczyłam. Żerowały po wrzosach, a takie nietrwożne, żem ręką jednego pojmała. Może pan zechce przybić i polować!

— Nie, potem — odparł obojętnie.

Mijali przestrzeń płaską, łysinę wśród boru, pokrytą oczeretem, kępami, bagnem. Woda w tem miejscu bura, nieprzeźroczysta wyglądała jak szmat pomyj.

— Tu i zimą lodu nie było — mówiła Kostusia, — kaczek po kępach, w trzcinie, niezliczone roje. Zimowały one tutaj.

— Wiem — mruknął pan.

— Są głuszce i jarząbki w gąszczach, po jagodnikach — mówiła dalej. Są bekasy i hryce na skrajach, przy błocie. Wiosną co tu za gwar był, dniem

i nocą, nigdy nie przerwany. Sewer się nauczył każdego ptaka naśladować.

— Żeteż was dotychczas komary nie zjadły — zawołał pan, zapalając cygaro i spoglądając na wsze strony. — Tych ptaków to chyba tu najwięcej.

— Dokuczają... — spokojnie potwierdziła Kostusia — wiosną więcej było!

Sewer spoglądał na cygaro pana i dym chciwie wciągał w nozdrza.

— Palisz tytoń? — zagadnął go młody człowiek znienacka. — Masz...

Ale Kostusia potrząsnęła doń głową, więc rękę, już podniesioną, opuścił.

— Niech mu pan nie daje! Przywyknie, a potem zawsze będzie chciał.

— No, to sobie kupi.

— Na tytoń on pieniędzy nie ma. Grosz zima weźmie. Kożuchy, buty, czapki...

— Więc nic nie odkładacie z pensji?

— Nie, proszę pana. Troje nas na jego zarobek.

— Na jego! Alboż on co robi? — wątpliwie pan spytał.

— Proszę pana, zimą ścieżki po całym borze wydeptał, od świtu do nocy chodząc i pilnując. Latem cały dzień na czółnie. Toć pan widzi, że dobro pańskie całe.

— Widzę, że ty jesteś strażnikiem, moja droga — żartobliwie odparł, wciąż Sewera obserwując. Chciał coś jeszcze rzec, ale się wstrzymał.

Łódź wbiegła w wąską szyję rzeki. Odwieczne olchy, prądem podmyte, schylały się nad wodą i w górze się stykając, tworzyły zielony tunel.

Wtem ujrzał pan połową na brzegu, a napół w rzekę spuszczoną gładką osikę, bez śladu kory, bielejącą zdala. Krzaki koło niej były też podcięte wkoło.

— A to co? — spytał. — Jest i szkoda. Kostusiu, chłopi tu łyka darli.

Dziewczyna zcicha się zaśmiała i zniżając głos, rzekła:

— Proszę pana, te chłopy całe życie boso chodzą — ot, tam ich chaty. — Wskazała ręką na wąski przesmyk wodny i u wejścia doń zatrzymała łódkę.

Pan ujrzał wpoprzek tej smugi jakby tamę z mniejszych i większych pni i gałęzi; nad tamą wyrastały regularne, stożkowate wypukłości; było ich siedm.

— Bobry! Naprawdę bobry! — zawołał radośnie. — Od tylu lat marzę, by je mieć u siebie. Siedm chat. Co za nabytek nieoceniony. Cała osada!

Wyjął portmonetkę z kieszeni i podał Kostusi dziesięciorublową asygnatę. Ona się okropnie zawstydziła, sczerwieniała.

— Dziękuję panu, nie wezmę! Toć nam płacą, dają chleb, od śmierci rodzice pana nas uratowali. Nie chcę pieniędzy, dziękuję. Albom te bobry kupiła? Z wiosną same przyszły.

— Przyszły, bo tu cicho, spokojnie i strażnik ich pilnował i strzegł, nie jak tamci, co pewnie strzelali dla siebie. Należy ci się nagroda!

— Jeśli pan łaskaw, to proszę o inną!

— No, a jaką?

— By nas stąd nie rugowali. Dobrze będziemy pracowali, jak dotąd. Byle tu już ostać.

— Jeśli to ma być ci łaska, to i owszem. Ale to nie nagroda! No, hardaś, nie chcesz pieniędzy, nie powinienem był ci ich ofiarować. Dostaniesz coś innego! A teraz podpłyń do tych chat.

— Nie można, panie, spłoszą się. Jutro przed świtem możemy tu wrócić. Zobaczy je pan przy robocie na grobli.

Niech i tak będzie. Znasz lepiej ich obyczaje. Zrobiłaś mi przednią niespodziankę. Mam ochotę uściskać cię za to!

Dziewczyna żart ten przyjęła jak poprzednie, jakby nie rozumiała.

Płynęli dalej. Teraz już zmęczenie znać na niej było, wysiłek i osłabienie. Pot kroplami wystąpił na czoło, spływał po ramionach, wzdłuż nabrzmiałych muskułów. Nie pomyślała jednak dać się Sewerowi wyręczyć i prędko dysząc, wiosłowała bez przerwy, pokazując panu zakątki boru, głębie, zalewy, opowiadając o zwierzynie.

Słońce zaczęło się chylić na wieczór, komary wdwójnasób dokuczać, ptaki leśne cichły, a nato-

miast błotne gotowały się do nocnego koncertu. Hasło dały fleciki kurek wodnych, bekasy zaczęły stroić swe instrumenty, dwa chóry żab próbowały zgodności głosów. Za chwilę kapelmistrz-derkacz rozpocznie grę i muzykę, za chwilę bąk stanie z basetlą do wtóru. Ciepło, nazbierane przez dzień, wyłaniało się teraz z wód kłębami gęstej, mlecznej pary, w której drzewa i gąszcze stały jak widma, szczyty ich złociło niknące słońce, a na czystem niebie do chmurki srebrnej podobny odznaczał się wąski księżyc.

Łódź się ślizgała bez szelestu i nikt się nie odzywał. Nareszcie pan westchnął z głębi piersi i rozkładając się wygodniej, cicho rzekł:

— Co za rozkosz! Tutaj tylko kochać i marzyć...

Obejrzał się na dziewczynę i dodał:

— Zaśpiewaj co, Kostusiu! Pewnie umiesz?

Potrząsnęła głową.

— Nie śpiewam nigdy, panie. Śpiewaków tu lepszych Bóg osadził. Słuchając ich, dusza śpiewa Bogu!

— Czy już wracamy?

— Jak pan każe. Połowę opłynęliśmy!

— Więc wracajmy! Jeść mi się chce, a tobie jeszcze bardziej po tej zupce z lebiody. Zmęczyłaś się?

— Nie, panie!

Słońce zapadło, ale nie noc to przecie była, ale zmrok srebrny, przeźroczysty, parogodzinny odpoczy-

nek dla ziemi, nadmiarem życia nabrzmiałej, dla kwiatów, w słońcu rozkochanych, dla pracowitych istot.

Jeszcze daleko byli od chaty, ale opiekunów swoich pies przeczuł i radosnem skomleniem witał.

— Mały! — zawołał Sewer, ożywiając się.

I Kostusia się uśmiechnęła, silniej popychając czółno. Trzeba było wylądować tuż przy chacie, bo łysy ten wzgórek otaczały wkoło trzęsawiska. Nie mieli nawet biedacy ogrodu.

W izbie na przyjęcie pana palił się suty ogień. Mamka pochwaliła się, że komorę wykadziła szyszkami, znajdując zapewne, że lżej było umrzeć przez uduszenie niż cierpieć od żądeł komarów.

Młody człowiek kazał sobie zrobić herbaty i skosztował ich zacierki, nawzajem zmusiwszy Kostusię do swego jedzenia. Kobiety usłały mu w komorze posłanie i chwilę zabawiwszy z niemi, udał się na spoczynek. Na rozstanie żądał bezskutecznie od Kostusi buziaka.

Nie położył się jednak, ale rozmyślał. Co to za człowiek, posiadacz tej pięknej kobiety? Jakie wichry ich tu przygnały do tej głuszy? Byłże on z natury takim mrukiem zaklętym i z zasady mordował żonę robotą? Czy miał zbrodnie może na sumieniu albo mścił się na niej, za jakie winy? Albo — albo — był chory na umyśle, a kobieta nie rozumiała tego lub też kryła przed ludźmi. W Temrze łatwiej się to mogło udać niż gdzie bądź.

Pocichu pan wyśliznął się na świat wolny, obszedł chatę, zajrzał przez szybkę nadtłuczoną do izby — i słuchał. Kobieta, snać śmiertelnie znużona, blada, siedziała obok Sewera, z głową o ścianę opartą, cała w blaskach ogniska. Starej widać nie było. Z mroku jej głos się dobywał, powolny, drżący, z akcentem przeciągłym chłopskiego biedaka.

— Czemuż on cię, ten panicz młody, nie widział, kiedy ci zima skórę do kości przybiła; czemu nie widział, kiedy cię nędza żarła, głód i mrozy sinością oblekały. Czemu cię nie widział w tej cmentarnej kaplicy, po drogach, pod płotami, na dachu tej chaty, wśród wody. Czemuż zobaczył, jak cię pomalowały ciepłe wiatry, ukrasiło słonko, gdy ci warkocze do kolan urosły, w oczach się gwiazdy zapaliły, kości ciałem oblekły. Boś ty ładna, zazulo! Ładna i słodka, i dobra! Teraz cię ta ładność precz wygoni — precz, precz!

Powtarzała coraz wolniej, ciszej, smutniej to: precz. Widziała znowu zimę i mrozy, głód i poniewierkę, a może już wątpiła w swe siły...

Powoli Kostusia oczy z ognia na Sewera przeniosła.

— Mamko, — rzekła głosem złamanym i łzawym — jeśli nam taka dola do końca ma być, cóż poradzimy? Odpoczęliśmy, pójdziemy znowu.

Była rozpacz w tej rezygnacji. Wstała i wzięła za rękę Sewera.

— Chodź na pacierze, biedaku, i choć słów nie rozumiesz, wołaj do Boga, wołaj, nie ustając. Może do Niego twój głos przecie doleci, może On na twoją biedną głowę wejrzy i coś stracił, ci odda. Powtarzaj za mną, Sewer.

Uklękli, twarzami do okna zwróceni, i pan widział tylko dwie głowy pochylone i słyszał tylko szept pacierzy. Wiedział już wszystko, co wiedzieć pragnął, i niepostrzeżony, wrócił do komory.

XIV.

Gdy nazajutrz pan Michał przypatrzył się Kostusi, zdała mu się wcale inną. Nie zmieniła się przecie przez tę jedną noc, ale zmieniły się myśli jego i oczy, któremi się jej przyglądał. Teraz zobaczył niezgrabne chodaki na jej nogach, łaty i wytarte szwy odzienia, twarde i czarne ręce, zamyślenie czoła, ból ust, rozszerzone łzami i troską źrenice.

Woziła go znowu łodzią o świcie do bobrowych chat, rozpowiadając o skarbach i tajniach boru. Zauważył, wyjeżdżając, że tylko Sewera nakarmiła, a sama nie tknęła chleba i teraz pracowała, jak wczoraj, sama, wyprostowana u końca łodzi, pozornie zajęta tem, co mówiła, i służbą swoją, a wewnątrz targana niepokojem i myślą dalszej włóczęgi.

Pan jej mówić pozwalał, ale już nie żartował, a potem zajął się znowu obserwacją Sewera. Ona to spostrzegła i trwogą zdjęta, usiłowała uwagę jego odwrócić, pokazując to stadko wzlatujących kaczek, to zakręt dziki, to przemykającą rybę. Daremnie. Panu Michałowi głęboko wpadły jej słowa, wczoraj usły-

szane: „Może On na twoją biedną głowę wejrzy i coś stracił, ci odda. Wołaj do Boga!" Jakże sztuczny był jej głos w porównaniu z tamtym.

Obejrzeli bobry i ruszyli dalej. Sewer, usłyszawszy nawoływanie kaczek, począł je naśladować, uśmiechając się bezmyślnie. Wtedy pan Michał raptem do Kostusi się zwrócił.

— Słuchajno, — rzekł — wczoraj myślałem, że oszukujesz siebie, więc ci nie chciałem bólu sprawić. Dzisiaj wiem, że ból ten twój i tylko mnie oszukujesz. Zapomniałaś albo nie wiesz, żem doktór. Ten człowiek jest idjotą.

Dziewczyna zbladła aż po usta, straciła na chwilę mowę, opuściła ręce. Była jak posąg rozpaczy.

— Proszę pana, wyjąkała wreszcie — ja nie chciałam oszukiwać! Myślałam, że panu wszystko jedno, kto boru pilnuje, byle bór był cały. Jak pan nie rad, pójdziemy sobie.

— Nie o to idzie! Nie myślę przecie o głupich ptaszkach, ale o człowieku, który cierpi. Opowiedz mi teraz wszystko. Swoje dzieje i jego. Dawno on jest w tym stanie?

— Dawno, panie. Więcej niż rok.

— Tylko! To jeszcze nie dawno. Dziedziczne to u niego w rodzie czy przypadkowe?

— Wypadkowe i z mojej winy. On taki okropnie gwałtowny był, ale mnie słuchał, gdym go prosiła. A wtedy mnie przy nim nie było, chorowałam. A kie-

dym pozdrowiała i poszła go szukać, takim już znalazłam.

Przestała mówić i łzawemi oczami popatrzyła na biedaka.

Potem się opamiętała i czerpiąc śmiałość z poważnych a poczciwych oczu młodego pana, mówiła dalej, nie chełpiąc się ani rozszerzając nad nieszczęściem, ale tylko nagie fakty cytując i jakby się tłumacząc.

— Żeby on choć rodzinę miał, choć przyjaciół, krewnych, tedybym do nich po ratunek i pomoc poszła, ale on sierota był i ja sierota. Więc pomyślałam sobie: Bóg wiedział, że go to spotka, i dlatego nasze dusze połączył, by on w swej nędzy sam nie został i bym mu poratowaniem była. Więc go takim, jakim go mi Bóg uczynił, wzięłam i takim aż tu przywiodła, boć to przecie mój obowiązek był i taka droga wyznaczona.

Mąż to twój?

— Żeby mąż był, tobym prawa miała wobec ludzi i ludzkiejbym sprawiedliwości dla niego szukała. Ale on mi nie mąż, ni brat, ni kochanek, a jednak więcej niż brat i mąż, i kochanek.

— Ktoś ty? Skąd?

— Sierota bezdomna, panie. Nie wiem, gdzie ojca mogiła i gdzie domu węgły, i gdzie granice ziemi, która ojcowską kiedyś była. Hodowali mnie krewni, służyłam im, potem odeszłam.

— Daleko stąd ci krewni?

— Bardzo daleko. Szliśmy lato i jesień, do Bożego Narodzenia. Nikt nas przyjąć nie chciał, ulitowali się rodzice pana. Żeby za nich krew dać było, dałabym rada.

— Jakże ty się nazywasz?

— Skowrońska, a on Stamierowski. Ojczym go takim uczynił. Warjatem okrzyczał, aż on się nim stał naprawdę, w lochu jak pies wściekły zamknięty.

— A przez ten rok nie było nigdy polepszenia? Nie miał ataku furji?

— Nie, panie, jak trup żywy zawsze. Zpoczątku tom go wiodła za rękę, głosu mojego przez tę martwotę nawet słuchał. Potem tak do mnie przywyknął, że niewołany, jak cień chodzi, nie zostanie beze mnie na chwilę, a gdym raz do dworu pobiegła, to mnie po całym borze szukał i odchorował. Nie rozumie, a czuje, że beze mnie gorzejby mu było, biedakowi.

Umilkła na chwilę i wtem, w nagłem ożywieniu, pochyliła się do ręki pana i niespokojnie zawołała:

— Pan doktór! Proszę pana, czy takim nigdy nie wraca już rozum? Taki on do śmierci zostanie?

Nie postało jej w myśli przy tem pytaniu jej własne przeznaczenie, tylko jego niedola. Uwielbieniem zdjęty, pan Michał ją uścisnął.

— Kostusiu, — rzekł — on ma przecie ciebie za orędowniczkę u Boga i ludzi! — Bóg może cud

sprawić, a ja uczynię, co tylko jest w mocy ludzkiej. Wracajmy do chaty, muszę go zbadać szczegółowo, zanim się wezmę do kuracji. Daj mi rosołu, a sama spocznij.

Nie zmęczonam, proszę pana! Dziękuję.

— Dajże pokój i nie czyń mi wstydu patrzenia bezczynnie na twój trud. Napracowały się twoje biedne ręce, nacierpiała dusza. Taki rok za dziesięć się liczy.

Za powrotem do straży podzieliła się Kostusia nadzieją i otuchą z mamką. Pan Michał obejrzał Sewera, ostukał, opukał skrupulatnie. Chory poddawał się temu niechętnie. Ze strachem spostrzegła Kostusia, że dzikość jego względem pana nie zmniejszała się, ale rosła. Widocznie bał się go albo instynktownie nie lubił.

Potem pan siadł na łódkę i odpłynął, obiecując wrócić nazajutrz. Kobiety z obudzonej nadziei i wrażeń przeróżnych nie spały tej nocy, i tylko Sewer przez sen coś mruczał.

Ale nazajutrz nie przyjechał pan Michał. Kostusia wyglądała go dzień cały, przesłaniając od słońca oczy i wpatrując się w szlak rzeki, ciągnącej się przez bezbrzeżne łąki i błota, aż het, gdzie kępa topoli dwór oznaczała. Słońce purpurą zaszło, gdy dojrzała dwie łodzie na rzece i radośnie zawołała mamki.

Ale na łodzi nie było pana, tylko dwóch chłopów, na drugiej także chłopi i bydlak jakiś. Kobiety

sądziły, że to ludzie, wracający z miasta, i że ich miną, kierując się na inne rzeczne ramię, ale ci skręcili ku chacie i wnet dobili. Parobcy to byli dworscy, a łódź wyładowana sprzętami, pościelą i żywnością. Na drugiej była krowa.

— To pani wam przysłała, a to pan młody tę cieluszkę — oznajmili ludzie i pozdejmowali przed Kostusią kapelusze. Łaska pańska natchnęła ich niezwykłym szacunkiem.

Kobiety popłakały się z radości. Mamka natychmiast objęła rząd nad krową, ludzie znieśli graty do izby, jako tako uprzątnęli obórkę, zniszczoną wylewem, krzątali się żywo i chętnie. Kostusia ciągle ku rzece spoglądała, wyczekując.

— Nie przyjedzie sam pan? — spytała wreszcie.

— U pana goście. Zajęty. Gadał, że jutro przyjedzie.

Zdjął ją smutek i zniechęcenie. Co jej po tych dostatkach, kiedy ich Sewer ani widzi, ani ceni. Ratunek, pomoc, tak gorąco spodziewana, umykała znowu wdal.

Łodzie wypróżnione odjechały, mamka gospodarzyła w chacie, ona pozostała na dworze, niemożliwego czekając. Sewer obok niej na przyzbie siedział, a ona, patrząc nań, zapłakała.

Kiedy dla niego ratunek przyjdzie, kiedy nad nim się ulitują? Jej zawsze dobrze było w głodzie, w chłodzie, w nędzy.

I znowu dzień przyszedł i pan się nie zjawił. Nazajutrz Kostusia o świcie do boru odpłynęła.

— Zapomniał. Co robić! — szepnęła mamce na rozstanie. Trzeba do roboty wrócić, pozbyć się próżnych nadziei.

Zabrała tedy Sewera i zniknęła w gąszczu z łodzią swoją.

Ale nadziei trudno się pozbyć, trudno i boleśnie. Trawiły ją łzy dzień cały. Półgłosem skarżyła się, tłumaczyła przed biedakiem.

— Pan mówił, że ci może zdrowie wrócić, że rok to nie długo, że dla ciebie ratunek będzie. Mój Boże, co ja ci uczynić mogę, mój ty serdeczny! Dokąd ja cię zawiodę? Życie za ciebiebym dała, ale kto je przyjmie. Drugie tyle nędzy zniosę, ale gdzie ona nas zaprowadzi? Żebyś ty mi choć słowo rzekł, czy ci lepiej, czy gorzej, czego ci trzeba, co boli? Sewer! O, Sewer!

Ale chory milczał i tylko patrzał na nią spokojnie, mgławo, jak dziecko bezmyślne.

Ona, zmęczona łzami i wiosłowaniem, zawróciła wreszcie zpowrotem. Chata zdaleka jaśniała blaskiem lampy. Gęsty dym buchał z komina, snać mamka warzyła sutą wieczerzę. Kostusię już nic nie cieszyło. Przybiła do brzegu, wzięła wiosło na ramię i zawoławszy Sewera, weszła do sieni.

Stanęła raptem. W izbie rozmawiano. Serce jej zabiło młotem, pan sobie ich przypomniał. A przecie

nie głos to pana był, co ją pierwszy doleciał. Obcy, a jednak tak znany, tylko skąd on się tu wziął — taki daleki. Z drżeniem otworzyła drzwi. Jasność buchnęła na nią i aż oślepiła, a wtem, gdy jeszcze stała ze zdziwienia skamieniała, od stołu ktoś wstał, ramieniem za szyję ją objął i ucałował.

— Kazio! — wyjąkała, myśląc, że śni.

— Moja serdeczna siostrzyczko! Przeciem trafił do ciebie. A niepoczciwa! Zapomnieć o koledze, przyjacielu!

— Kazio! — powtarzała, wpatrując się w niego ze łzami i broniąc rąk, które teraz chciał całować. — Skądeś? Wiedzą w Podgaju o mnie?

— Nie wiedzą! Ziemię i niebo przetrząsnęli. Ja do kolegi Michała przyjechałem w gościnę i takem trafił. Jakaś mizerna, Kostusiu, biedaczko!

— A tyś tak urósł i zmężniał! Głos twój poznałam w sieni, ale nie wierzyłam i teraz ledwo wierzę, że to ty sam, we własnej osobie.

— We własnej. We dwóch z kolegą Michałem będziemy go ratowali! Myślisz, że on mnie pozna?

Kostusia obejrzała się na Sewera. On wcale na Kazia uwagi nie zwracał, patrzył na pana Michała, patrzył źle, ostro, a doktór przyjmował to spojrzenie i badał, słowa nie mówiąc.

Dziewczyna się przeraziła wyrazem tych oczu.

— Sewer! — krzyknęła.

Zwrócił się do niej, dłonią mu przeszła po oczach.

— Co tobie się dzieje? Widzisz, Kazio przyjechał! Poznajesz go? Takeście dokazywali w Podgaju!

Ale Sewer nie okazał, aby co słyszał lub uważał. Otarł się o Kazia i w kąt najdalszy izby się wszył jak dzikie zwierzę.

— Proszę go tam zostawić! — rzekł pan Michał do stroskanej dziewczyny. — Dobrze tak jest dla mnie. Od dzisiaj zaczynamy kurację. Pani tutaj usiądzie z nami i nawet w tamtą stronę nie będzie patrzała. Tak trzeba, pani! — dodał, widząc jej wahanie.

Ona żałośnie raz tylko spojrzała w kąt na biedaka i posłuszna, usiadła u stołu przy Kaziu. Pan Michał dalej mówił:

— Przywiozłem lekarstwo i zostaniemy tu z Kazimierzem, aż coś stanowczego nie nastąpi. Uważała pani, że on mnie nie lubi?

Poczerwieniała, nie śmiejąc potwierdzić.

— To dobrze! — rzekł — stąd nastąpi wybuch! Jego z tej martwoty wyrwać trzeba, koniecznie! Wybuch to ocalenie...

Kazio spoważniał i zwracając się do niego, zcicha się odezwał:

— Czemuż jej i tego nie powiesz, Michale, że wybuch może też być... śmiercią — głucho zakończył.

Kostusia wzdrygnęła się. Przerażeniem rozszerzone źrenice utkwiła w swym młodym panu, ale milczała.

— Nie powiedziałem, — odparł on — bo mam nadzieję, że to nie nastąpi. Widziałem wyzdrowienia, daleko mniej spodziewane.

— Boisz się, Kostusiu? — zagadnął Kazio, biorąc ją za rękę i z serdecznem współczuciem patrząc w oczy.

Ona długą chwilę pasowała się z sobą.

— Mnie się zdaje, — rzekła — że zgrzeszyłabym względem niego, gdybym swój lęk samolubny stawiała między nim a ratunkiem! Nieprawda, Kaziu?

Teraz się Kazio zawahał pod jej jasnem, a tak rozdzierająco smutnem spojrzeniem.

— Trzeba próbować, Kostusiu! — szepnął wreszcie. — Może twój strach jest próżny! Michał zrobi, co w ludzkiej jest mocy. Trzeba ufać!

Kostusia wstała i podeszła do pana Michała.

— Pan się nie gniewa na mnie za ten lęk! — prosząco szepnęła. — Mnie tak straszno o niego. Ale już teraz czynić będę, co pan każe...

— Gniewać się? Oprócz bezmiernego szacunku, przyjaźni i uznania nic więcej dla pani czuć nie potrafię — odparł wzruszony.

Trochę spokojniejsza, zaczęła rozmawiać z Kaziem, ale ukradkiem ku Sewerowi rzucała spojrzenia.

Panie! — nieśmiało po chwili spytała — on głodny. Mogę go nakarmić?

— Mamka niech to zrobi.

— On jej nie usłucha. On tak przywykł do mnie.

— Trzeba właśnie, żeby pani brak poczuł.

— Więc go zupełnie porzucić muszę?

— Zupełnie.

— Panie, to pozwólcie tylko pacierz z nim odmówić.

Pan Michał zachwiał się w swej stanowczości.

— Niech pani odmówi — rzekł cicho.

Sewer nie przyjął od mamki posiłku. Ze swego kąta wciąż patrzył ku światłu i tym trojgu, nieruchomie, z jakiemś dzikiem natężeniem. Nic nie mówił ani się poruszał.

Kazio zaczął o rodzinie mówić z Kostusią. Fela zamąż wyszła w karnawale świetnie. Mieszka w Warszawie. Pan Odachowski od czasu zniknięcia Kostusi stracił humor i wesołość. Wspominali ją często z synem i Podgaj bez niej dla nich obu był jakiś smutny i pusty. Rudakowski ożenił się z wdową jakąś. Rozsiedli się jak na dziedzictwie w Stamierowie. Sewera podają za nieżyjącego, a ludzie, trochę pogadawszy, ucichli już i tolerują bogacza. Kazio mogiłki wśród pól odwiedzał. Stoją brzozy i szumią wśród zbóż i mamki chata stoi, i znowu w niej starucha bezdomna mieszka.

Ożywiła się Kostusia i poczęła rozpytywać o ludzi i stosunki, przypominali sobie zabawy wspólne, dzieciństwo, swawole. Tylko już słonecznych jej uśmiechów nie odnalazł Kazio, tak je powaga bólów omroczyła,

i nie jak na rówieśnicę patrzył, ale jak na kogoś, stokroć nad się wyższego, z wielką czcią.

Wieczerzali wspólnie. Pan Michał opowiadał, że matka jego chciała koniecznie zabrać biedaków ze straży, ale że on woli chorego tu zostawić tymczasem. Że tu spokojniej, ciszej, swobodniej. Zostaną też obadwa z Kaziem aż do rezultatu starań.

Rozmawiali długo w noc, radzili się, urządzali plan. Kostusia, raz się przemógłszy, już nie sprzeciwiała się niczemu, słuchała, patrząc ufnie na młodego lekarza.

Sewer z kąta swego wciąż patrzył, nieruchomy. Patrzył to na Kostusię, to na pana Michała. Patrzył uparcie i gdy się rozchodzili, przeprowadził młodego człowieka aż do progu i pozostał z wzrokiem, w drzwi utkwionym, złowieszczym.

Kostusia zbliżyła się do niego.

— Sewer! Zmówimy pacierz — rzekła.

Ani drgnął, ani słyszeć zdawał.

— Sewer! — powtórzyła, przyklękając przed nim — nie patrz tak strasznie. Toć twoje zbawienie blisko. Bóg na cię wejrzał i dobrego pana litością natchnął. Ale w wołaniu do Boga ustawać nie można. Chodź.

Nie odwrócił oczu od drzwi.

— Sewer, czy ty już mnie zapomniałeś? Czy ty mnie nie pamiętasz? Nieboże moje serdeczne, jestem przy tobie.

Zapłakała wreszcie, żalem zdjęta, ale on ani jej słów, ani łez nie świadomy, w drzwi się wpatrywał. Godzina minęła, zanim go uspokoiła, zanim usłuchał i do pacierza klęknął. Ale już nie powtarzał za nią. Zawziął się w jakiemś okropnem milczeniu, które ją, biedną, zgrozą przejmowało. Przeczuwała poza tem milczeniem straszny rozstrój w nieprzytomnej głowie. Niechętnie przyjął lekarstwo, niechętnie dał się do snu ułożyć. Czuwała nad nim, aż zasnął, wyczerpany.

XV.

Minęło dni dziesięć. Co rana Sewer budził się w chacie samotny. Kostusi nie było. Wstawał tedy i niespokojny, rozdrażniony, szukał jej, nic nie mówiąc. Znajdował ją przed chatą w towarzystwie pana Michała. Nie patrzyła na niego, siedziała z głową, pochyloną nad robotą, z oczami, pełnemi łez, z sercem, okropnie ściśniętem. Kaziowi, patrzącemu na nią, krajało się serce.

Sewer siadał opodal, na ziemi, i tak dzień cały pozostawał, z dnia na dzień coraz chudszy, dzikszy, straszniejszy. Kazio drżał, ilekroć na niego spojrzał.

— Nie boisz się go, Michale? — pytał kolegi, gdy sami zostawali.

— Nie. Widzę tylko, jak wybuch coraz jest bliższy. Spodziewam się go lada chwila.

— On cię udusi?

— Nie da rady, bo to chwila będzie, a potem ogólna niemoc. Zresztą obronicie mnie — dodał spokojnie.

— Tymczasem stan ten jest okropny — westchnął Kazio — i nie wiem, nad kim się więcej litować: nad nim, czy nad nią. Z niej już cień tylko został.

Istotnie, żal było patrzeć na mękę Kostusi, mękę cichą, uległą, niczem nie zdradzaną. Nie wolno jej było zagadać do biedaka, nakarmić go, uspokoić — nie wolno było spojrzeć. I on zdawał się jej nie spostrzegać, nie odzywał się, nie wołał. Przestał jeść i spać, przestał się czemkolwiek zajmować, wpadł w stan ciągłego niepokoju i rozdrażnienia. Jedzenia wylewał, psa kopał nogami, nie dawał się nikomu dotknąć, nie słyszał niczyjego głosu, nie rozumiał już swego imienia.

Jakaś gniotąca atmosfera ogólnego naprężenia, oczekiwania ogarnęła wszystkich. Mało się kto odzywał i tylko oczy wszystkich śledziły ruch każdy chorego. A ruchy to były nienaturalne, gwałtowne, przerażające, w połączeniu z kompletnem milczeniem i ponurą dzikością błędnych oczu, zawsze utkwionych w doktora. Mamka tak się go lękała, że nie sypiała po nocach, bezsennie też spędzała je Kostusia, tak zmieniona męką i trwogą, że trudno ją było poznać. I ona wreszcie stała się jak automat, spełniający biernie rozkazy pana Michała.

A wokoło chaty świat się ustroił jak na gody, w barwy, w zieleń, w słońce. Wodne lilje pokryły rzekę śnieżnemi kielichy, bór się mienił wszystkiemi

odcieniami zieloności, łąki wkoło chaty zasiały się puchami bawełnianki i siwemi kitami szuwarów. Wzgórek, gdzie się krowina pasła, mamki faworytka, czerwienił od macierzanki, złocił się od dzikich nieśmiertelników.

— Cudny świat, cudny zakątek! — rzekł pewnego popołudnia Kazio, wciągając z rozkoszą w płuca zapachy boru. — Chory tu pozdrowieć musi, a nieszczęśliwy z dolą się pogodzić.

— A on nie widzi! — szepnęła Kostusia.

Pan Michał, obserwujący Sewera, podniósł głowę.

— Jutro już może zobaczyć — rzekł.

— Jutro? Czemu jutro, panie?

— Tak sądzę. Jutro o świcie pani łódką do boru odpłynie. Zostaniemy z nim sami.

— O, panie! A jak on... — nie dokończyła, ale taki miała wyraz twarzy, że Kazio się wmieszał.

— Michale, nie oddalaj jej w takiej chwili.

— Trzeba — lakonicznie pan Michał odparł. — Przy niej nic nie nastąpi ostatecznego. Niech się pani nie lęka. O południu proszę wracać, prawdopodobnie będzie już po wszystkiem.

Umilkli. Nagle barwy i blaski zniknęły z przed oczu Kostusi, rękami objęła głowę, zachwiała się, a potem zmartwiała zupełnie. Tak nieprzytomna była resztę dnia. Wieczorem, niepomna obietnicy, usiadła obok Sewera w kącie, trzymała go za rękę roz-

paloną, drgającą, odzywała się doń ze słodyczą. Ale on już żadnej pamięci nie miał, szału bliski, i tylko bezwiednie poddawał się jej wpływowi łagodzącemu. Lekarstwa już nawet z jej ręki nie przyjął. Do pacierza sama uklękła, do tego ostatniego wołania przed zgubą lub ratunkiem.

O świcie czuwającą wciąż wywołał Kazio. Sewer nibyto spał, rzucając się niespokojnie. Podeszła ku niemu, popatrzyła i przeżegnawszy jego i siebie, wyszła.

Młodzi ludzie przeprowadzili ją do czółna. O nic nie prosiła, ale oni przysięgli zawołać ją wcześniej, gdyby zaszła potrzeba; przysięgli, że czuwać będą nad nim wszystkiemi siłami.

I odjechała cicha, a oni ją ścigali oczyma, aż im znikła w zielonej gęstwinie na załomie rzeki. Potem wrócili do chaty. Kazio w izbie przy oknie usiadł i czatował na zbudzenie się chorego, pan Michał czekał sygnału nazewnątrz izby. Wzruszeni byli, skupieni, milczący. Mamkę płaczącą oddalono z chaty.

Słońce podniosło się z nad łąk i pierwszym promieniem załechtało powieki Sewera. Zerwał się z posłania i zaraz wkoło siebie spojrzał, niespokojny, przerażony. Wstał i izbę obszedł nerwowym ruchem zwierzęcia w klatce. Wtedy ku drzwiom zmierzał z głową zwieszoną, potykając się z osłabienia. Kazio nieznacznie na kolegę skinął. W chwili też,

gdy chory za klamkę brał, drzwi się otworzyły i pan Michał, stanąwszy na progu, zatamował mu przejście.

Sewer o krok się cofnął, potem znowu ku drzwiom szedł. Pan Michał ani drgnął; oparli się piersią o pierś, wówczas doktór ramię podniósł i odepchnął go. Chory zachwiał się, ale w tej chwili wydał z siebie chrapliwy, nieludzki odgłos, skupił się i jak zwierz skoczył na młodego człowieka. Rękami, zwiniętemi jak szpony, porwał go za gardło i począł dusić. Usta mu piana pokryła, oczy bielmem zaszły, rysy pokrzywiły się strasznie. Wył, zgrzytał zębami.

Kazio poskoczył na ratunek kolegi. Warjat już go na ziemię powalił siłą furji rozpętanej; leżał na nim, szarpał, kąsał, rwał odzież w kawałki. Kazio schwycił go raz i drugi za ramiona, odrzucił go Sewer jak piłkę; dobierał się do gardła ofiary, sam skrzecząc i chrapiąc, jakby cierpiał nieznośnie.

— Sznur! Sznur! — wyjąkał pan Michał, szamocąc się resztą sił.

Kazimierz porwał sznur, na oknie przygotowany, zarzucił na ręce Sewera, ściągnął, ile sił mu starczyło, przewrócił nieszczęśliwego nawznak, ogłuszył na chwilę. Pan Michał, własnego poturbowania niepomny, skoczył mu z pomocą. We dwóch skrępowali biedaka, podnieśli z ziemi i położyli na łóżku.

Teraz piana jego była trochę różowa i twarz z bladej stała się czarna od nawału krwi. Nieregularne drgania wstrząsały całem ciałem, włosy się zjeżyły, oczy krwią zabiegły.

— Lodu! — rozkazał pan Michał, obnażając mu szyję i piersi, przecinając sznur na rękach.

Uczuwszy się wolnym, chory zaruszał rękami, jakby coś od siebie odpędzał. Musiało go coś strasznie w głowie zaboleć, bo dłonie do czoła podniósł i rysy wykrzywił jak do krzyku, który już się wyrwać nie zdołał. Zamrugał oczami jakby od nagłych blasków. Kazio przyłożył mu lodu do głowy i wtedy oczy przymknął i tylko dyszał, już do żadnego ruchu niezdolny.

I tak go Kostusia znalazła za powrotem, bez czucia, bez wzroku, objętego niszczącem tleniem gorączki. Lód topniał od żaru jego głowy, pierś się podnosiła gwałtownie, członki gorzały.

W swej odzieży poszarpanej, ze śladami walki na twarzy pan Michał czuwał nad nim. Kazio odpłynął do dworu po lekarstwa, mamka w kącie rwała z rozpaczy odzież na sobie. Izba była w strasznym nieładzie.

Kostusia nie wydała jęku, spojrzała na chorego, potem na doktora. Zrozumiał to spojrzenie i głową jej skinął.

— Najgorsze minęło — szepnął. — Teraz pilności trzeba i spokoju. Da Bóg! wszystko się dobrze

skończy! Spodziewałem się gorączki. To właśnie przesilenie.

Nie odpowiedziała nic i stanęła do pilności tej najcichsza, najlepsza, najwytrwalsza. Żywotem swoim na wszystko zahartowana, czekała zmiłowania boskiego.

XVI.

Było to w nocy — nocy księżycowej, cichej na niebiosach, rozbrzmiewającej na ziemi śpiewaków-chórem.

Okienka chaty stały otworem, a wnętrze tylko miesiąc oświetlał — łóżko chorego i ciemną głowę Kostusi, czuwającej przy nim. Gdzieś z mroku biegły westchnienia starej mamki i same tylko przerywały spokój.

Trzecia to noc była. Chory na chwilę nie odzyskał przytomności i mowy, nie rozwarł powiek. Tylko dyszenie nierówne, ciężkie podnosiło jego piersi, tylko żar gorączki zdradzał życie.

Zmęczeni wielogodzinnem czuwaniem, pan Michał i Kazio usnęli w komorze. Nie spodziewali się rychłego zwrotu w przebiegu choroby. Kostusia nie czuła się wcale zmęczoną. Na ławce, obok posłania siedząc, patrzała na chorego, zmieniała na głowie jego zimne okłady, co godzinę wlewała mu do ust łyżkę lekarstwa. Zresztą suche były jej oczy, milczące usta.

Wśród nocy — przez okienko wtargnął do izby leciuchny, wonny powiew, dotknął oblicza chorego, musnął policzki Kostusi. Mimowoli przymknęła oczy, spuściła głowę. Wietrzyk upajający był i rozmarzający. Zdało się jej, że wkoło niej kłosy falują, nad głową płączące brzozy szepcą. Pole to było, gdzie ojciec leży, brzozy to były, co rosną wokoło matczynej mogiły. Woniały słabiutko zbożowe kwiaty, złocienie, bławatki, dzikie powójki. Z rękami, pełnemi kwiecia, stała, zasłuchana w tę cichą piosenkę, co do niej szła od pól rozkołysanych, od rubieży, gdzie mamki chata była.

Naco mają ludzie wiedzieć,
Gdzie dziewczyny wrota,
Naco mają ludzie wiedzieć,
Gdzie kocha sierota.

Dziewczynę przejęła ta melodja. Oto nisko głowę skłania i zrozumieć chce, skąd piosenka płynie: czy od ojca mogiły, czy od matczynej? Zda się, wskróś ziemi idzie! Głowa jej osuwa się na posłanie Sewera, wspiera się na jego ręce i tak pozostaje, na chwilę uspokojona, na chwilę szczęśliwa.

A w tej chwili otwierają się powoli oczy chorego i podnoszą się na błękitnawy blask księżyca, co w nie ze dworu zagląda, a potem podnosi się ręka i kładzie się na tej głowie uśpionej z przeczuciem, że tam ktoś żyje i kocha. Kostusia budzi się i spotykają się ich wejrzenia milczące. W źrenice chorego

napływa nagle falą myśl, pamięć i natychmiast bezmierne uradowanie. Zadrgały kąty ust Sewera i po wysiłku poruszyły się szeptem:

— Kostusiu! Kostusiu!

Wówczas ona osunęła się na kolana i zcicha spytała:

— Poznajesz mnie, Sewer?

Bała się podnieść głosu, by tej iskry samowiedzy nie spłoszyć. On wciąż patrzał na nią, tylko wesele tego spojrzenia poczynał dojmujący ból ćmić i gasić.

— Kostusiu... moja! — wyszeptał.

Ją wielkie wrażenie pozbawiało prawie czucia.

— Jedyny mój, lepiej ci? — spytała słodko.

Już nic nie odparł. Oczy jego znowu na księżyc przeszły, zamgliły się nagle, potem znowu stały się jasne, głębokie, a takie wpatrzone w jeden punkt daleki, jakby nagle jasnowidzenie miały wielkich tajemnic i światów. Sekundę to trwało. Dojmujący ból znowu wrócił i białka siatką krwawych żyłek nabiegły. Moc nienaturalna pozwoliła mu podnieść ramię. Wyciągnął je i het ku błękitnawym smugom skinął.

— Ja... tam... — urywanemi słowy mówił, ruchem warg raczej niż dźwiękiem.

I nagle znowu na nią popatrzał. Powieki usuwały się, ołowiane, ciężkie.

— Tylko... ty... przyjdź .. prędzej! — dokończył, rękę opuszczając na jej włosy.

— Sewer! — jęknęła rozpaczliwie.

Rozpalona dłoń osunęła się bezwładnie po jej głowie, z pod powiek stoczyło się kilka łez, z za warg w spazmie bólu błysnęły zacięte zęby.

Ani drgnął, ani stęknął. Tak go ta moc nad moce zdmuchnęła prędko jak gromnicę.

* * *

Odpłynął z chaty łodzią, wysłaną brzozowemi gałęźmi i miętą wodną; odpłynął w białej sosnowej trumnie, szarem płótnem wybitej.

Pan Michał i Kazio inaczej chcieli, ale Kostusia rzekła:

— W takiej on będzie, jaką mu zarobiłam.

Więc nikt więcej nie protestował.

Odpłynął w odzieży, jej rękami na święto mu uszytej, łatanej i czystej i w butach nowych, które mu na zimę chowała, a w ręku trzymał krzyżyk drewniany, który sama wycięła kiedyś i kwiatami umajony, na ścianie chaty zawiesiła.

Odpłynął na cmentarz wioskowy; położono go tam niedaleko owej kapliczki, co ich skryła przed śniegiem i zgubą w noc wigilijną. Teraz tam rozchodniki bujały i mchy przeróżne, a z sosen spoglądały dzięcioły pstre.

Odpłynął, a ona wróciła bez niego już, widząc mamkę i psa-sierotę — sama — do chaty, przed

którą zdaleka bielały heblowiny trumny, gdzie sień i izbę wyścielały jodłowe gałązki i świec zapach przenikał.

Trzy dni zostawiono ją w spokoju. Co wieczór tylko młodzi ludzie podpływali pod chatę, wywoływali cichaczem mamkę.

— Bardzo boleje? — pytali.

— Taka cicha jak obrazek!

— A czegóż? — odpowiadała apatycznie stara, spoglądając to na bór, to na obórkę krowy, to na rzekę.

Czwartego dnia zrana Kostusia siedziała na ławie w izbie i czytała coś z książki do nabożeństwa, gdy pies przed chatą ujadać począł. Po chwili drzwi się otwarły i weszła staruszka pani i pan Odachowski; za nimi ukazali się pan Michał i Kazio.

— Niech będzie Jezus pochwalony! — ozwała się pani.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała głucho Kostusia, podnosząc się z miejsca.

Zresztą ani się zdziwiła, ani uradowała z tych niesłychanych odwiedzin. Stępiała na wszelkie wrażenia.

Staruszka podeszła do niej, obu rękami objęła za głowę, przygarnęła do piersi i pocałowała we włosy.

— Moje kochane dziecko! — powiedziała zcicha.

— Serdecznie mi ciebie żal, Kostusiu! — dodał wuj smutno.

Szczerze był zmartwiony i przybity. Wezwany depeszą przez syna, stawił się natychmiast.

Młodzi ludzie usunęli się na podwórze i milcząc, siedzieli na przyzbie chaty.

Staruszka, wciąż dziewczynę gładząc po głowie, zaczęła:

— Nie godzi się, moje dziecko, długo w cierpieniu zasklepić. Krótki ci czas daliśmy na boleść, ale im prędzej do pracy i czynu się weźmiesz, tem ci lżej będzie. Dlatego przyjechaliśmy dzisiaj.

Kostusia oczy na nią wzniosła.

— Ja wiem, proszę pani, że czas już mi stąd odejść. Chciałam jutro do pani wstąpić, podziękować za wszystko!

— My tymczasem z panem Odachowskim spór wiedliśmy o ciebie. Chcę ja cię dla siebie, chce i on. Większe jego prawo, ale on córki ma, a my nie.

Kostusia patrzyła nieprzerwanie na staruszkę.

— Została mi tylko Jadwisia niezamężna — rzekł pan Odachowski. — Ty, Kostusiu, sypiałaś z nią w jednej kołysce. Twoje miejsce jest zawsze w Podgaju. Nie lękaj się! Nikt cię nie zrani ani słowem, ani nawet spojrzeniem. Ja ręczę!

Kostusia chwilę walczyła z sobą, wyglądając okienkiem na świat, a nic z tego nie widząc, na co patrzyła. Potem delikatnie zdjęła rękę pani i podniosła ją do ust.

— Kiedy przyszłam do pani taka nędzna, taka obdarta, wzgardzana w jej własnej garderobie, pani nie bała się ani wzdragała ręce mi swoje dać i nazwała mnie wtedy: moje dziecko! Jeżeli ja teraz pani potrzebnam na co, to ja do pani pójdę. Tylkom ja teraz, proszę pani, bardzo słaba i nie na wiele się zdam. A przytem i moja stara mnie, a ja jej nie porzucę. Więc może pani tylko kłopot z nami mieć będzie i koszt, a żadnego pożytku.

— Moje dziecko, mnie córki trzeba na moje stare lata, a nie sługi i pożytku. Dziękuję ci za ofiarę.

Znowu ujęła ją w ramiona, ale Kostusia do nóg jej padła i zapłakała, od śmierci Sewera raz pierwszy.

Nikt jej nie pocieszał. Wuj odstąpił do okna i wąs markotnie na palec nawijał, staruszka wciąż płaczącą gładziła po głowie. Nareszcie Kostusia pohamowała się z wysiłkiem, powstała i podeszła do wuja.

— Proszę się nie gniewać na mnie, wuju! — rzekła błagalnie. — Ale żebym wróciła w tamte strony, to ujrzawszy mnie, może kto powiedziałby lub pomyślał co złego o nim. I mnieby tak ciężko było stąd iść, od niego. Proszę się nie gniewać na mnie, wuju. Tu potrzebniejszam!

— Rób, jak ci lepiej, Kostusiu. Będziemy się widywali. Będę o tobie zawsze dobrze pamiętał.

— Dziękuję, wuju! Proszę, jeżeli łaska, o matczynej mogile pamiętać! To tam wśród zboża, pod lasem.

— Wiem, wiem! Nie zapomnę. Bądź spokojna.

— Więc cię zabierzemy z sobą, Kostusiu — rzekła staruszka, siląc się na uśmiech, a z oczami pełnemi łez.

— Proszę pani, jeszcze tę jedną, ostatnią noc pozwólcie zostać. Jutro rankiem sama się stawię — szepnęła żałośnie, wzdrygając się na tę straszną myśl opuszczenia izdebki.

Zgodzono się na jej żądanie i wszyscy odpłynęli zpowrotem do dworu.

Późnym wieczorem mamka zebrała manatki, opróżniła izbę zupełnie i wśród pustki siedziały jak ptaki, co nocują w przelocie na wierzchu dachu, by zrana dalej odlecieć. Wreszcie usnęła stara, a Kostusia u okienka siadła, u tego samego, przez które księżyc na Sewera w chwili skonania spoglądał.

Bór, głaskany lekkim ruchem powietrza, coś sobie bajał poważnie, wdzięczyła się toń rzeki do księżyca, co ją drżącą ścieżyną blasków przecinał, z błot chóralne wzbijały się śpiewy. Zdawało się Kostusi, że bór jej mówił: Dopuszczenie Boże, dopuszczenie Boże! że woda szemrała: Życie mija, życie mija! a chór ptaków daleki a radosny dopowiadał: Po nocy dzień, po nocy dzień!..

Wtem zadrżała nagle. Między temi szmerami w jej duszy był jeszcze jeden i ten mówił ludzkim, smutnym głosem: „Gdzie ona?... Gdzie ona?“...

I odpowiedziała na ten głos szeptem:

— Poczekaj! Przyjdę... Nie skróci mi jednak drogi nikt — chyba Bóg! Tedy nie wołaj mnie, ale Jego proś, boś u Niego w służbie.

Głos umilkł, a ona, pełna ciszy i rezygnacji, czekała ranka, raz ostatni żyjąc dla siebie.

KONIEC

„WYDAWNICTWO POLSKIE", LWÓW—POZNAŃ.

Andruszewski Jan: Nowele dawne i nowe. ... Na tom ten złożyły się utwory tak piękne, jak odznaczony na konkursie *Kroniki Powszechnej* „Obraz" i t. p. Książka ta jest po latach wojny jakby zwiastunem ciszy i zapomnienia, niosącym ukojenie wszystkim cierpiącym, przygnębionym ogromem nieszczęść i bólów przeróżnych... (*Tygodnik Ilustrowany*).

... Nowele jego są wykwintne pod względem stylowym, wcale żywą obrazowością okraszone, budzą zajęcie nietyle przedmiotem, ile sposobem przedstawienia, fakturą. Nie wzniecają zaniepokojenia, nie denerwują; poruszają te subtelne struny, które każdy z nas nosi w piersi, a o których dzisiejsze nowe kierunki zdają się zapominać. (*Gazeta Lwowska. ski*).

Bandrowski Jerzy: Krwawa chmura, Pielgrzymi, Czerwona rakieta. ... wierność w odtwarzaniu rzeczy i ludzi, wsparta ogromną bystrością obserwacji, nadaje (książkom Bandrowskiego) szczególną wagę.
Na osobliwe podkreślenie zasługuje kolorystyka Bandrowskiego, jego malarska wrażliwość na barwy tudzież odtwarzanie ich z niepospolitą subtelnością i wdziękiem. Zastanawia zwłaszcza tak częsta u niego transpozycja dźwięków na barwy. Sopran w wysokich tonach jest dlań świecący — dusza ludzka rozbija się w pianę śpiewającą, jęk jak gwiazdę rzucając w powietrze. Cały rozdział o Dnieprze mieni się i skrzy niby łucki pas... (*Gazeta Wieczorna. Ida Wieniewska*).

Bryła St.: Ameryka. ... Autor w sposób jasny, prosty i wszystkim dostępny opowiada o kulturze tego wielkiego i dzielnego narodu amerykańskiego, któremu tak dużo mamy do zawdzięczenia... (*Kurjer Lwowski*).

... Książka ta jest cennym nabytkiem literatury podróżniczej; na 300 zaledwie stronach podaje taką masę obserwacyj, oświetla tak wszechstronnie całość życia amerykańskiego, tak dokładnie oddaje ducha zamorskiego olbrzyma, że czegoś podobnego niema w literaturze naszej... (*Tygodnik Ilustrowany*).

Flaubert Gustaw: Kuszenie św. Antoniego. Poemat ten wprowadza czytelnika w błędne koło życia umysłowego ludzkości. Pociągana fatalnie i kuszona wszelkiego rodzaju postaciami

ułudy powszechnej, występuje tu w osobie przerażonego pustelnika, wciągniętego w chaos świata, w wir pokus życiowych.

Pannenkowa Irena: Walka Galicji z centralizmem wiedeńskim (z 11 portretami i 17 karykaturami). Kto chce... zdać sobie sprawę z obecnego typu rodaków naszych małopolskich, ten niechaj przeczyta tę pracę, opartą na źródłach i najlepszym materjale. Autorka, pisząc tę książkę, jeszcze nie przewidywała końca panowania Austrji nad Galicją. Tem bardziej książka jej jest interesująca... (*Myśl Niepodległa*).

Szelągowski A., prof.: Walka o Bałtyk, wyd. II, ilustrowane. Przystępnie, barwnie — a przecież wyczerpująco — kreśli autor dzieje zabiegów Polski około zdobycia sobie dostępu do morza, zabiegów, które dotąd jeszcze nie zostały uwieńczone należytym skutkiem, a których wynik ściśle wiąże się z gospodarczym rozkwitem kraju.
Bliższe zaznajomienie się z treścią tej książki jest polecenia godne dla każdego, komu dobro kraju naszego leży na sercu. Dziś jest ona może bardziej na czasie niż kiedykolwiek. *(f.)*

Turnau Jerzy: „Muszka", „Mona Lisa", „Wnuczka p. rotmistrza". Zapytywałem w wypożyczalniach książek, które powieści są najbardziej rozchwytywane, wymieniono mi prawie wszędzie powieści Jerzego Turnaua... Czyta się książki Turnaua, jakby się patrzyło na słoneczny, piękny krajobraz lub na miluchne dzieło sztuki. Stąd zapewne zdobywa sobie autor czytelników, i powinszować mu należy, że zdołał zaprzątnąć umysły szerokich warstw rzeczami pięknemi, które wnoszą do duszy pogodę i umiłowanie piękna, dobra i światła... (*Gaz. Lwowska*).

Wasylewski St.: Historje lwowskie. ...Jakżeż potrzebne były dzisiaj właśnie piękne, głębokim sentymentem przesycone karty tej książki! Są one jak most, rzucony pomiędzy skłóconemi duszami Warszawy i Lwowa.
Bo cóż mówi nam Lwów przez usta swojego misternego historjografa: „Kochałem z wami i cierpiałem z wami, nie mniej od was, i mam w martyrologji polskiej imię własne, nie cudze".
Trzeba o tem pamiętać, trzeba myślą wznosić się ponad swary dnia. Książka Wasylewskiego do tego właśnie prowadzi i dlatego nietylko jest dziełem wykwintnego pióra, które podziwiać należy w jego gibkości i fosforescencji, ale i czynem obywatelskim, za który i Lwów, i Warszawa jednakowo mu wdzięczne być powinny... (*Kur. Warsz. Z. Dębicki*).

— **Na dworze króla Stasia.** ...Wasylewski wczuł się w epokę, a że posiada intuicję prawdziwie twórczą i jest poetą, napisał książkę piękną, niezmiernie zajmującą i bardzo pożyteczną...

Sam temat już był ciekawy, a ubrany jeszcze w piękne słowa, przedstawiony w formie ujmującej swą nieraz rokokową lekkością i subtelnością kunsztu pisarskiego, skrzącego się delikatnym dowcipem, niezbyt ostrą ironją i miłością rzeczy minionych bezpowrotnie, przemienił się w dzieło trwałej wartości. *(Artur Schröder).*

— **Opowieści dziewczęce.** Z korespondencyj i pamiętników panienek polskich od schyłku XVIII w. po drugą połowę w. XIX zebrał p. Wasylewski sztambuch jedyny w swoim rodzaju, historję epoki, widzianej i oglądanej oczętami dziewczątek. Z tych pachnących kart wynurzają się ku nam twarze, jedne zapłonione rumieńcem i życia ciekawe, płaczące albo dumne, znękane bólem i tęsknotą, zakochane w wieszczach i jenerałach, oglądające zbliska wielkie fakty dziejowe... bukiet, zebrany przez p. Wasylewskiego, jest obfity, wonny i poprostu rozkoszny. (*Czas*).

WYDAWNICTWO POLSKIE, LWÓW—POZNAŃ

ANDRUSZEWSKI JAN.

NOWELE DAWNE I NOWE — 1921

BANDROWSKI JERZY:

CZERWONA RAKIETA — POWIEŚĆ — 1921
KRWAWA CHMURA — POWIEŚĆ — 1920
PIELGRZYMI — POWIEŚĆ — 1920
SYN DNIEPRU — POWIEŚĆ — 1920
WŚCIEKŁE PSY — POWIEŚĆ — 1921

BRYŁA ST. WŁ.:

AMERYKA — OPOWIADANIE PODR. — 1921

BUNIKIEWICZ WITOŁD:

WAZON I RÓŻA — KOMEDJA — 1922

GAWALEWICZ MARJAN:

GĄBKA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921

PANNENKOWA IRENA:

WALKA GALICJI Z CENTRALIZMEM WIED. — 191

RODZIEWICZÓWNA MARJA:

ANIMA VILIS — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE — 1921
ATMA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921
BARCIKOWSCY — POWIEŚĆ — WYD. TRZECIE — 1922
BŁĘKITNI — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE — 1920
JASKÓŁCZYM SZLAKIEM — POW. — WYD. CZW. — 1921
JOAN VIII, 1-12 — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 1920
KĄDZIEL — POWIEŚĆ — WYDANIE CZWARTE — 1922
MACIERZ — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 1921
MAGNAT — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE — 1920
NA WYŻYNACH — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 192
NA FALI — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 1921
STRASZNY DZIADUNIO — POWIEŚĆ — WYD. PIĄTE — 1922
SZARY PROCH — POWIEŚĆ — WYDANIE PIĄTE — 1921
WRZOS — POWIEŚĆ — WYDANIE TRZECIE — 1921
Z GŁUSZY — WYDANIE TRZECIE — 1922

STRUG ANDRZEJ:

OJCOWIE NASI — WYDANIE DRUGIE — 1921
PORTRET — WYDANIE DRUGIE — 1921

PROF. SZELĄGOWSKI ADAM:

WALKA O BAŁTYK — WYDANIE DRUGIE ILUSTR. — 1921

TURNAU JERZY:

MONA LISA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921
MUSZKA — POWIEŚĆ — WYDANIE DRUGIE — 1921
WNUCZKA PANA ROTMISTRZA — POWIEŚĆ — 1921

WASYLEWSKI STANISŁAW:

HISTORJE LWOWSKIE — 1921
NA DWORZE KRÓLA STASIA — WYD. DRUGIE — 1921
OPOWIEŚCI DZIEWCZĘCE — 1920